

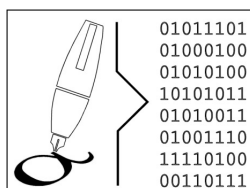
**DEAN R. KOONTZ**

# **Ściana Strachu**

**The Face Of Fire**

**Wydanie oryginalne: 1988**

**Wydanie polskie: 1992**



*Dla Barbary Norville*

---

# Część pierwsza

---

Piątek od 12:01 do 20:00

## 1

Frank Bollinger zaparkował na ulicy po przeciwnej stronie niskiego, trzypiętrowego domu mieszkalnego z piaskowca. Był czujny. Nie spodziewał się problemów, choć zawsze był na nie przygotowany. Gdy wyłączył silnik, usłyszał syrenę policyjnego radiowozu wyjąca gdzieś niedaleko.

„Może jadą po mnie”, pomyślał. „Może w jakiś sposób doszli do tego, że to ja”.

Uśmiechnął się. Nie pozwoliłby sobie na założenie kajdanków. Nie poddałby się tak łatwo. To nie w jego stylu.

Niełatwo było przestraszyć Franka Bollingera. W gruncie rzeczy sam nie pamiętał, czy kiedykolwiek się czegoś bał. Wiedział, jak zatroszczyć się o samego siebie. Już w wieku 13 lat mierzył metr osiemdziesiąt sześć wzrostu i nie przestał rosnąć, aż osiągnął dwa metry. Kark miał gruby, szerokie ramiona i mięśnie młodego ciężarowca. W wieku 37 lat był faktycznie w tak samo dobrej kondycji fizycznej, jak w wieku lat 27, a może nawet — 17. I co ciekawsze, nigdy nie uprawiał kulturystyki. Nie miał nigdy ani czasu, ani ochoty, żeby powtarzać serie pompek, przysiadów czy podskoków. Jego wymiary i możliwości wynikały po prostu z genetyki, były darem natury. Chociaż nigdy nie narzekał na brak apetytu i nigdy nie pościł, nie odkładały mu się na brzuchu ani na biodrach fałdy tłuszczu, co bywało już zmartwieniem mężczyzn w jego wieku. Lekarz ostrzegł go, że wynikiem ciągłego napięcia nerwowego, w jakim żył, i odmowy brania leków, które by kontrolowały stan jego zdrowia, może być przedwczesny zgon z powodu nadciśnienia. Ale właśnie to ciągłe przeciążenie, lęk i napięcie były czynnikami — zdaniem lekarza — którym zawdzięczał młodzieńczą sylwetkę. Wiecznie aktywny, jakby napędzany wewnątrz przez jakiś motorek, spalał tłuszcz, niezależnie od tego, ile zjadł.

Ale Bollinger uważał, że może zgodzić się z tą diagnozą tylko do połowy: napięcie — tak, nerwowe — nie. Nigdy się nie denerwował i nawet nie wiedział, co to słowo znaczy. Natomiast zawsze był napięty. Dążył do napięcia, budował je tam, gdzie go nie było, traktując jako element przetrwania. Zawsze czujny. Zawsze trzeźwy. Zawsze napięty. Zawsze gotów. Gotów na wszystko. To dlatego niczego się nie bał. Po prostu nic na świecie nie mogło go zaskoczyć.

Ponieważ syrenę słyszeć było coraz głośniejsze, spojrzął w tylne lusterko. Przy sąsiedniej przecznicy mignęło czerwone, obrotowe światelko.

Wysunął z naramiennika rewolwer, kaliber 38, i z jedną ręką na klamce czekał na najbardziej dogodny moment, by otworzyć drzwi.

Radiowóz ruszył, minął go i skręcił dwie przecznice dalej.

A więc na pewno nie jechali za nim.

Poczuł lekkie rozczarowanie.

Schował pistolet i rozejrzał się po ulicy. Chodnik, budynki i zaparkowane przy nich samochody, wszystko skąpane było w niesamowitym, mlecznopurpurowym świetle rzucanym przez rtęciowe latarnie, po dwie na każdym z końców tego odcinka ulicy. Znajdowały się tu wszędzie te niskie, dwu — i trzypiętrowe domy z piaskowca lub cegły, wiele z nich wymagało solidnego remontu. Nie widział nikogo w żadnym z oświetlonych okien. To dobrze; nie chciał, żeby ktoś go zauważył. Przy krawężnikach walczyło o przetrwanie kilka drzew, chude płatany, klony, brzozy — to wszystko, czym Nowy Jork mógł pochwalić się poza granicami parków publicznych. Skarłowaciałe, suche drzewa wyciągały do nocnego nieba swe obnażone z liści konary. Delikatny, acz chłodny, styczniowy wiatr targał wzdłuż rynsztoka jakieś papierzyska, a gdy powiał mocniej, szarpiąc korony drzew, te odpowiadały mu przeraźliwym skrzypieniem. Zaparkowane auta były puste i wyglądały jak zwierzęta skulone przed zimnym powietrzem. Również na chodnikach nie było ani żywej duszy.

Bollinger wysiadł z samochodu, szybko przeszedł przez ulicę i wstąpił na schodki prowadzące do drzwi wejściowych jednego z budynków.

W jasno oświetlonym foyer panowała czystość. Mozaikę podłogową, przedstawiającą bukiety wyblakłych róż na beżowym tle, gładko wypolerowano i nie brakowało w niej ani kafelka. Wewnętrzne drzwi prowadzące do foyer były zamykane i otwierały się za pomocą odpowiedniego klucza lub przez domofon.

Na ostatnim piętrze znajdowały się trzy mieszkania, na pierwszym również trzy i trzy na parterze. Mieszkanie 1 A należało do państwa Nagly, właścicieli domu, przebywających właśnie na dorocznej pielgrzymce do Miami Beach. Małe mieszkanie w szczycie pierwszego piętra zajmowała Edna Mowry. Bollinger przypuszczał, że właśnie teraz robi sobie przekąskę lub pije zasłużoną lampkę martini, by lepiej móc się odprężyć po długiej, nocnej pracy.

Przyszedł zobaczyć się z Edną. Wiedział, że będzie w domu. Śledził ją od sześciu dni i upewnił się, że jej życiem rządzi ścisła rutyna, może zbyt ścisła, jak na taką młodą i atrakcyjną kobietę. Wracała z pracy do domu zawsze o dwunastej, pięciominutowe poślizgi zdarzały się rzadko.

„Śliczna, mała Edna”, pomyślał. „Masz takie piękne, długie nogi”.

Uśmiechnął się.

Nacisnął przycisk do mieszkania państwa Yardleyów na drugim piętrze.

Odpowiedział mu męski głos, dźwięczący metalicznie z głośnika nad skrzynką na listy.

— Kto tam?

— Czy to mieszkanie państwa Hutchinson? — spytał Bollinger dobrze wiedząc, że nie.

— Wcisnął pan niewłaściwy guzik. Oni mieszkają na pierwszym piętrze. Ich tabliczka jest obok naszej.

— Przepraszam — powiedział Bollinger, gdy Yardley już się wyłączył.

Zadzwoił do Hutchinsonów.

A oni, widocznie oczekując gości i nie będąc zbyt ostrożni, zwolnili blokadę zamka i wpuścili Bollingera do środka, nie pytając nawet, kto dzwoni.

Klatka schodowa otuliła go miłym ciepłem. Podłoga z kafelków i ściany, utrzymane w brązowej tonacji, były nieskazitelnie czyste. W połowie korytarza stała pod ścianą marmurowa ławeczka, a na wprost niej wisiało lustro w kształcie wielokąta. Drzwi do obu mieszkań, wykonane z ciemnego drewna i wyposażone w mosiężne klamki, znajdowały się po prawej stronie.

Zatrzymał się przed drugimi drzwiami. Zaczął gimnastykować ubrane w rękawiczki dłonie, to prostując, to znów kurcząc palce. Potem z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął portfel, a z zewnętrznej dobył nóż. Był to sprężynowiec o wypolerowanej rękojeści i dwudziestocentymetrowym ostrzu, cienkim i ostrym jak brzytwa.

Połykujące ostrze wprawiło Bollingera w quasi-hipnotyczny trans. Na chwilę zapadł się w swój wewnętrzny świat.

Był miłośnikiem poezji Williama Blake'a. Co więcej, uważał się za jego duchowego ucznia. Nic więc dziwnego, że akurat w tym momencie przypomniał sobie strofy z Blake'a. Popłynęły one przez mózg Bollingera rwącym strumieniem jak krew nieboszczyka podczas sekcji.

*I poczuli wtedy wszyscy ludzie — wielkich miast mieszkańcy*

*Że ucieka ich witalność w kosmosu pustkę*

*I agonia się zaczyna*

*W chorobach strasznych i udrękach,*

*Przemocy, drzeniu ciała i rozdzierającym bólu*

*Wybrzeże ogarnia całe i dalej się rozszerza,*

*A zmysły słabnące do wnętrza swego się kierują*

*Kurcząc pod czarną siatką zarazy.*

„Agonia się zaczyna, to macie jak w banku”, pomyślał Bollinger. „Dostanę was, wielkich miast mieszkańcy, choć kryjecie się po zmroku za drzwiami swych mieszkań. Tyle że ja nie jestem zarazą” lecz remedium. „Wyleczę cały świat ze wszystkich jego utrapień”.

Zadzwoił do drzwi. Po chwili usłyszał, jak Edna krząta się za drzwiami, i zadzwoił jeszcze raz.

— Kto tam? — spytała.  
Miała przyjemny, melodyjny głos, naznaczony teraz nutką lęku.  
— Panna Mowry? — spytał.  
— A co?  
— Policja.  
Bez odpowiedzi.  
— Czy pani tam jest, panno Mowry?  
— O co chodzi?  
— Małe kłopoty w pani klubie.  
— Ja nigdy nie stwarzam kłopotów.  
— Nie mówię, że pani. Ta sprawa pani nie dotyczy. Przynajmniej nie bezpośrednio.  
Ale może zauważyła pani coś ważnego. Może jest pani świadkiem.  
— Czego?  
— Tego nie da się tak szybko wytłumaczyć.  
— Nie mogłam być świadkiem. W pracy noszę ciemne okulary.  
— Panno Mowry — powiedział surowo — jeśli po to, żeby zadać pani kilka pytań, mam przynieść nakaz aresztowania, to zrobię to.  
— Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jest pan z policji?  
— To właśnie jest Nowy Jork — powiedział z udanym politowaniem. — Czy to nie cudowne? Każdy podejrzewa każdego!  
— Tak trzeba.  
Westchnął.  
— Może... Niech pani posłucha, panno Mowry. Czy ma pani łańcuch?  
— Jasne.  
— Jasne. To niech go pani założy i wtedy otworzy drzwi. Pokażę pani odznakę.  
Nie bez wahania założyła łańcuch. Pozwalał on na uchYLENIE drzwi nic więcej niż na trzy centymetry. Podniósł do góry portfel z odznaką.  
— Detektyw Bollinger — powiedział.  
Pod płaszczem w lewej ręce opartej o drzwi trzymał nóż.  
Edna Mowry puściła zęza przez szparę. Przez chwilę patrzyła na odznakę, potem dokładnie przestudiowała zatopiony w plastiku identyfikator ze zdjęciem.  
Gdy skończyła zezować i spojrzała na niego, zauważył, że nie miała błękitnych oczu, jak myślał, ale szarozielone. Pomyłka wynikała stąd, że nigdy jej nie widział z bliska. Zawsze była daleko na scenie, a on na widowni. Ale i tak były to najpiękniejsze oczy, jakie widział.  
— Zadowolona? — spytał.  
Fala puszystych, ciemnych włosów spłynęła jej na twarz, zakrywając jedno oko, ale szybkim ruchem usunęła je na bok. Miała długie i zgrabne palce, paznokcie pomalowała krwawoczerwonym lakierem. Gdy skąpana w intensywnym świetle reflektora tańczyła na scenie, te same paznokcie wydawały się czarne.

— O jakich kłopotach pan mówił? — spytała.

— Chciałbym zadać pani niejedno pytanie, panno Mowry. Czy będziemy tak konwersować przez tę szparę przez następne dwadzieścia minut?

— Nie, raczej nie — powiedziała marszcząc brwi. — Niech pan chwilę poczeka, założę szlafrok.

— Mogę poczekać. Cierpliwość jest kluczem do zadowolenia.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Mahomet — objaśnił.

— Gliniarz cytujący Mahometa?

— Czemu nie?

— Jest pan... tego wyznania?

— Nie. — Sposób, w jaki zadała pytanie, rozbawił go. — Ja po prostu dużo czytam różnych rzeczy, żeby potem szokować takich ludzi, jak pani, którzy myślą, że policjanci to beznadziejni debile.

Skrzywiła się.

— Przepraszam.

I zaraz uśmiechnęła się. Przedtem nigdy, ani razu przez cały ten tydzień od dnia, kiedy pierwszy raz ją zobaczył, nie widział jej uśmiechu. Zawsze stała zimna na scenie podrygując w takt muzyki, oświetlona reflektorem, zdejmując ubranie, kręcąc biodrami i pośladkami, głaszcząc się po obnażonych piersiach i patrząc na publiczność zza czarnych szkieł z beznamiętnym wyrazem twarzy. A uśmiech miała czarujący.

— Niech pani zakłada ten szlafrok, panno Mowry.

Zamknęła drzwi.

Bollinger obejrzał się na drzwi od klatki schodowej. Miał nadzieję, że nikt się tu teraz nie przyplącze i nie zobaczy go.

Schował portfel.

Nóż trzymał w lewej ręce.

Wróciła w niespełna minutę. Zdjęła łańcuch, otworzyła drzwi i powiedziała:

— Proszę wejść.

Wszedł za nią do mieszkania.

Zamknęła drzwi, przekręciła zamek i obróciła się do niego.

— Cokolwiek mi pan... — zaczęła, lecz nie zdążyła dokończyć.

Bollinger poruszając się niezwykle szybko, jak na takiego ciężkiego mężczyznę, przycisnął ją do drzwi. Podniósł do góry nóż, przełożył go do prawej ręki i przytknął kobiecie do gardła.

Jej zielonkawe oczy nieomal wyszły z orbit. Z trudem łapała oddech i nie mogła wydać z siebie absolutnie żadnego dźwięku.

— Żadnych hałasów — Bollinger zagrzmiał złowrogo. — Jeśli będziesz próbowała wzywać pomocy, to ten rzeźniczy nóż przerznie twój śliczny gardziołek od ucha do ucha. Zrozumiałaś?

Wybałuszyła na niego oczy.

— Zro-zu-mia-łaś?!

— Tak — jęknęła cienko.

— Będziesz mi pomagać?

Nic nie powiedziała. Jej wzrok wędrował od oczu Bollingera w dół, poprzez jego dumny nos, grube wargi i ostro zarysowaną szczękę, na dłoń zaciśniętą na trzonku noża.

— Jeśli nie będziesz mi pomagać — powiedział spokojnie — to cię tu, w tym miejscu, przebiję na wylot, aż nóż wbije się w drzwi.

Edna Mowry chaotycznie łapała oddech przez usta.

Nagle cała zadrżała.

Skrzywił się.

Wciąż trzęsąc się spytała:

— Czego pan chce?

— Niewiele. Naprawdę niewiele. Tylko trochę miłości.

Zamknęła oczy i spytała:

— Czy to pan nim jest?

Spod cienkiego ostrza trysnęła wąska, ale doskonale widoczna strużka krwi, pociekła wzdłuż gardła i wsiąknęła w czerwony szlafroczek. Bollinger obserwował z upodobaniem jej ślad, jakby to była jakaś rzadka bakteria pod mikroskopem, a on był naukowcem. Był nieomal zahipnotyzowany tym widokiem.

— Nim? Kto jest „nim”? Nie wiem, o czym mówisz — powiedział.

— Pan wie — wydusiła słabo.

— Przykro mi, ale nie wiem.

— Czy pan nim jest? — Zagryzła wargi. — Tym, który... zasztyletował wszystkie te kobiety?

Odwracając wzrok od jej gardła powiedział:

— Rozumiem. Rozumiem, o co ci chodzi. Chodzi ci o tego, którego nazywają Rzeźnikiem. Myślisz, że ja jestem Rzeźnikiem.

— A nie jest pan?

— Dużo o nim czytałem w „Daily News”. Podcina im gardła, prawda? Od ucha do ucha? Zgadza się? — Bawiło go niezmiernie drażnienie się z nią. — Czasami nawet wypruwa im flaki, prawda? Popraw mnie, jeśli się mylę. Prawda, że tak czasami robi?

Nic nie powiedziała.

— Wydaje mi się, że czytałem w „News”, iż jednej z nich odciął uszy. Gdy ją policja odnalazła, uszy leżały na szafce nocnej koło łóżka.

Drżała coraz bardziej.

— Biedna mała Edna. Myślisz, że jestem Rzeźnikiem. Nic dziwnego, że tak się boisz. — Poklepał ją po plecach i pogłaskał po głowie, jakby oswajał dzikie zwierzątko.



— Gdybym był teraz na twoim miejscu, też bym się bał. Ale nie jestem. Nie jestem na twoim miejscu i nie jestem tym facetem, którego nazywają Rzeźnikiem. Możesz się odprężyć.

Otworzyła oczy. Chciała z jego spojrzenia wyczytać, czy mówi prawdę.

— Co ty sobie o mnie myślisz, Edna? — spytał, udając, że zabołało go jej podejrzenie.  
— Ja ci nie chcę zrobić żadnej krzywdy. Ale zrobię, jeśli będę musiał. Jeśli nie będziesz mi pomagać, to bardzo cię skrzywdzę. Za to, gdy będziesz rozsądna, gdy będziesz dobra dla mnie, to i ja będę dobry dla ciebie. Uczynię cię szczęśliwą, jaką jeszcze nigdy nie byłaś. I potem sobie pójdę, a ciebie zostawię tu taką, jaką byłaś i jesteś — piękną i bez skaży. Twój oddech pachnie truskawkami, czy to nie miłe? To wspaniały akcent na początek naszego spotkania. Prawda, że jadłaś truskawki, zanim tu przyszedłem?

— Ty jesteś chyba jakiś wariat — powiedziała spokojnie.

— Edna, noo... Miałaś mi pomagać. Odpowiedz — jadłaś truskawki?

W oczach zaczęły jej się zbierać łzy. Przycisnął jej mocniej nóż do gardła. Zatkaną.

— No więc? — spytał.

— Wino.

— Co?

— Piłam wino.

— Truskawkowe?

— Tak.

— Zostało coś?

— Tak.

— Też bym się napił.

— Przyniosę ci.

— Sam sobie przyniosę — powiedział. — Ale najpierw zaprowadzę cię do łazienki i zwiążę. No, już, już! Nie bój się! Jeśli cię nie zwiążę, to prędzej czy później będziesz próbowała uciec. A jeśli będziesz próbowała uciec, to będę musiał cię zabić. Tak więc widzisz, że muszę cię związać dla twego własnego dobra. Nie chcę, żeby spotkało cię jakieś nieszczęście.

Pocałował ją, ale nóż nadal trzymał jej na gardle. Usta miała zimne i sztywne.

— Proszę, nie... — powiedziała.

— Odpręż się i postaraj stworzyć miły nastrój, Edna. — Rozwiązał jej pasek i szlafroczek spadł na podłogę. Była naga. Powoli zaczął masować jej piersi. — Jeśli będziesz mi pomagać, to nic ci się nie stanie. A będziesz miała świetną zabawę. Nie mam zamiaru cię zabić, o ile mnie do tego nie zmusisz. Ja nie jestem Rzeźnikiem, Edna... jestem tylko normalnym, zwykłym gwałcicielem...

## 2

Graham Harris czuł, że zdarzy się coś niedobrego. Kręcił się w swym fotelu, ale każda pozycja była dla niego niewygodna. Spojrzał na stojące w studiu trzy kamery i poczuł się, jakby był otoczony przez inteligentne, wrogie roboty. To dziwaczne wrażenie sprawiło, że uśmiechnął się pod nosem. Ale musiał również wyglądać niewyraźnie — faktycznie, kręciło mu się w głowie — bo Anthony Prine spytał:

— Nerwy?

— Trochę.

— Nie ma powodu.

— Może, gdy lecą reklamy, to nie, ale...

— Gdy znów wejdziemy na wizję, również nie będzie powodu — powiedział Prine.

— Jak na razie, bardzo dobrze pan wypadł.

Prine, choć podobnie jak Harris był urodzonym Amerykaninem, miał wygląd typowego brytyjskiego dżentelmena: całkowicie zrelaksowany, pewny siebie (może nawet nieco przemądrzały), zmęczony życiem konserwatysta. Siedział w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, takim samym, jaki Graham Harris uznał nagle za niewygodny.

— Jest pan najciekawszym gościem, jakiego miałem — powiedział.

— Dziękuję. Pan też jest interesującym człowiekiem. Zawsze się zastanawiałem, jak daje pan radę zachować formę, robiąc na żywo te programy przez pięć nocy w tygodniu...

— Ale to właśnie fakt, że robione są na żywo — powiedział Prine — działa na mnie tak mobilizująco. Jak jestem na wizji, to wszystko ryzykuję — mogę zabłysnąć, a mogę zrobić z siebie ostatniego głupka. To mi właśnie pozwala zachować formę. I dlatego waham się, czy przyjąć oferty zakupu programu przez duże stacje. Oni by chcieli wszystko przed emisją nagrywać na taśmę, montować i puszczać równo przycięte, żeby przypadkiem nie przekroczyło swojego czasu. A to nie byłoby to samo, co teraz.

Reżyser programu, zwały facet w białym golfie i spodniach w kratkę, powiedział:

— Wchodzimy za dwadzieścia sekund, Tony.

— Proszę się odprężyć — powiedział Prine do Harrisa. — Najbliższe piętnaście minut należy do pana.

Harris przytaknął. Prine wydawał się usposobiony do niego przyjaźnie. Przynajmniej na razie nic nie wskazywało na to, że zamierza wykręcić mu jakiś numer.

Anthony Prine był prowadzącym i autorem dwugodzinnego programu „Manhattan o północy”, składającego się z luźnych wywiadów ze znanymi ludźmi i emitowanego przez lokalną stację telewizyjną miasta Nowy Jork. Można tam było usłyszeć — jak zresztą w każdym programie typu „talk show” — aktorów smęcających o swych najnowszych filmach, pisarzy — o swych najnowszych książkach, muzyków — o swych najnowszych płytach i polityków — o swych najnowszych programach wyborczych. Wyjątkiem było może tylko to, że u Prine’a zdecydowanie dużo więcej miejsca zajmowały sprawy parapsychologii i UFO. Prine był jednym z tych, którzy słuchali i „wierzyli”. Był na tyle dobry w tym, co robił, że krążyły pogłoski, iż sieć ABC pragnie pozyskać go do swoich programów o zasięgu ogólnokrajowym. Nie był tak dowcipny jak Johny Carson ani tak ciepły jak Mike Douglas, ale nikt nie potrafił lepiej od niego zadawać pytań. Większą część czasu był spokojny i leniwie dyrygował audycją. Siedział w swym fotelu z dobrotliwym wyrazem twarzy i wyglądał jak Święty Mikołaj po kuracji odchudzającej: siwiuteńkie włosy, krągła, zaróżowiona buzia i błękitne oczy. Wyglądał jak uosobienie grzeczności. Ale czasami, zwykle raz w ciągu programu, a nawet raz w ciągu całego tygodnia, zaczynał nagle atakować gościa z wielką bezwzględnością, sprawdzając podchwytliwymi pytaniami, czy mówi prawdę, wprawiając go w zakłopotanie i upokarzając. Nie trwało to nigdy dłużej niż 3-4 minuty i było równie bezwzględne i brutalne, co niespodziewane.

Właśnie dzięki temu elementowi zaskoczenia, który potęgował grozę sytuacji, „Manhattan o północy” miał liczną i wierną widownię. Ale gdyby Prine napastował każdego gościa, program szybko stałby się nudny. Tu trzeba było zagrywać tak, by utrzymać przy sobie tę wielomilionową rzeszę widzów, która mając do wyboru wiele programów ukazujących przemoc wszelkiej maści, wybierała właśnie Prine’a. Jego recepta na sukces opierała się na chłodnej kalkulacji, że tym większa przyjemność w oglądaniu poniżonego człowieka, im mniej widzi się tego spodziewa. Dlatego nie atakował swych gości w każdym programie, ale gdy już do ataku dochodziło, to ciosy spadały na nieszczęśnika z siłą uderzenia maczugi.

Zaczął dwadzieścia pięć lat temu jako aktor kabaretowy w nocnych klubach. Grywał w tanich lokalach opowiadając stare dowcipy i parodiując znane postacie. Przeszedł długą drogę.

Reżyser dał mu znak. Nad obiektywem kamery zapaliło się czerwone światełko.

— Moim gościem jest dzisiaj — przypomniał swej niewidocznej widowni — pan Graham Harris z Manhattanu, który twierdzi, że jest jasnowidzem, a więc człowiekiem, który ma „jasne wizje”. Czy jest to trafna definicja, panie Harris?

— Ujdzie — odparł Graham. — Chociaż w tej postaci trąci ona nieco religią, a religia nie ma z tym nic wspólnego. Nie przypisuję swych zdolności percepcji pozazmysłowej, Bogu, ani żadnej innej sile nadnaturalnej.

— Stwierdził pan wcześniej, że w pańskim przekonaniu zdolności do jasnowidzenia są wynikiem urazów głowy, których doznał pan kiedyś w poważnym wypadku. Wtedy zaczęły się te wizje. Jeśli to robota Pana Boga, to trzeba przyznać, że straty wyrównał panu z nawiązką.

Graham uśmiechnął się.

— Dokładnie.

— Każdy, kto czyta gazety, wie, że policja poprosiła pana o pomoc w ustaleniu tożsamości mordercy zwanego Rzeźnikiem. Ale co z ostatnią pańską sprawą, z zabójstwem sióstr Havelock z Bostonu? To również bardzo ciekawa historia. Proszę nam o tym opowiedzieć.

Graham poruszył się w fotelu niespokojnie. Wciąż czuł, że wydarzy się coś niedobrego, ale nie mógł ustalić, co to ma być ani jak można tego uniknąć.

— Siostry Havelock...

Dziewiętnastoletnia Paula i dwudziestodwuletnia Paige mieszkały w przytulnym mieszkaniu niedaleko uniwersytetu. Paula miała rozpocząć tam wyższe studia, a Paige pisała pracę dyplomową z socjologii. Rankiem, 2 października ubiegłego roku, narzeczony Paige, Michael Shute, przyjechał po nią do domu. Wieczorem poprzedniego dnia umówili się bowiem, że razem pójdą na lunch. Zadzwoił do drzwi. Ponieważ nikt mu nie otworzył, wyciągnął swój klucz i wszedł do mieszkania, by w środku poczekać na nieobecne siostry. Wewnątrz okazało się, że jednak były obecne. W nocy ktoś wtargnął do ich domu, związał grubym sznurem, rozebrał (piżamy leżały rozrzucone na podłodze), zgwałcił i zastrzelił w ich własnym salonie.

Ponieważ lokalna policja nie mogła dać sobie rady z ustaleniem sprawcy (lub sprawców), rodzice Pauli i Paige zwrócili się do Harrisa z prośbą o pomoc. Dwa dni później był już w Bostonie. Chociaż policja sceptycznie odnosiła się do jego zdolności — a niektórzy policjanci otwarcie okazywali mu swą wrogość — to jednak nikt nie przeszkadzał, by nie narazić się państwu Havelock, którzy mieli w mieście pewne wpływy polityczne. Zawieziono go do opieczętowanego mieszkania i zezwolono na wizję lokalną. Ale nic mu to nie dało: nie doznał tam żadnych emanacji, nie miał żadnych wizji. Poczł tylko, jak zimny dreszcz wędruje mu w dół po krzyżu, by zatrzymać się w żołądku. Potem pozwolono mu, pod czujnym i podejrzliwym nadzorem oficera pilnującego dowodów rzeczowych, na dotknięcie poduszki, której użyto do stłumienia odgłosu strzałów. Następnie Graham wziął w swe dłonie piżamy ofiar i ich szlafroki. I dopiero gdy trzymał te zakrwawione kawałki materiału, doznał nagle olśnienia. Jego umysł został zalany wizjami, które napierały nań jak wzburzone fale na morski brzeg.

— Chwileczkę — Anthony Prine przerwał Grahamowi. — Myślę, że musimy tu parę rzeczy wyjaśnić, bo nie wszystko jest dość zrozumiałe. Chciał pan powiedzieć, że zwykła czynność dotknięcia zakrwawionych piżam wywołała wizje?

— Nie. Ona ich nie wywołała. Ona je uwolniła. Piżamy były czymś w rodzaju klucza, który otworzył zamknięte obszary mego mózgu, w których mieszczą się zdolności do jasnowidzenia. Takim kluczem właśnie zwykle bywają rzeczy noszone przez ofiarę w feralnym momencie, jak również broń, z której dokonano morderstwa.

— Dlaczego tak jest?

— Nie wiem — powiedział Graham.

— Nigdy się pan nad tym nie zastanawiał?

— Zastanawiam się nad tym nieustannie — odparł Graham — ale nie doszedłem jeszcze do żadnych wniosków.

Chociaż głos Prine'a nie zdradzał ani cienia wrogości, Graham był całkiem pewien, że gospodarz szukał już punktu wyjścia do jednego ze swoich słynnych ataków.

Przez chwilę pomyślał, że to właśnie ten rodzaj kłopotów przez ostatni kwadrans nasywały mu jego super-zmysły. Ale wtedy zrozumiał nagle dzięki swemu szóstemu zmysłowi, że nieszczęście przytrafi się komuś obcemu, poza murami telewizji.

— Gdy trzymał pan te piżamy — powiedział Prine — to czy widział pan w swej wizji dokładny przebieg morderstwa, tak jak to miało miejsce w rzeczywistości?

— W pewnym sensie tak, tyle że wszystko rozgrywało się w moim umyśle, a więc — że tak powiem — nie przed, a z a moimi oczami.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Że są to jakieś sny na jawie?

— Można tak powiedzieć. Ale są bardziej żywe. Więcej w nich barwy, dźwięku i kształtów.

— Czy zabójcę też pan widział?

— Tak, całkiem wyraźnie.

— Czy może pan wyobrazić sobie jego imię i nazwisko?

— Nie — powiedział Graham. — Ale byłem w stanie podać policji jego dokładny rysopis. Wysoki mężczyzna, mniej więcej metr osiemdziesiąt do dwóch metrów, po trzydziestce. Dobrze zbudowany. Wysokie czoło. Błękitne oczy. Cienki nos. Ostre rysy twarzy. Miał dołek w podbródku... Jak się później okazało, był to dokładny rysopis dozorczy tamtego domu.

— Którego pan nigdy nie widział?

— Po raz pierwszy widziałem go w swojej wizji.

— Nigdy nie widział pan też jego zdjęcia?

— Nie.

— Czy był on na liście podejrzanych, zanim podał pan policji jego rysopis? — spytał Prine.

— Tak. Ale obu morderstw dokonano wczesnym rankiem w dniu, kiedy miał wolne. Przysiągł, że nocował wtedy u swej siostry, a więc w momencie, kiedy zamordowano dziewczęta, dawno już nie powinno go tam być, gdyż siostra mieszka ponad sto trzydzieści kilometrów od Bostonu. Potwierdziła jego wersję.

— Kłamała?

— Tak.

— Jak pan to udowodnił?

Trzymając w rękach ubrania ofiar, Graham czuł, że morderca, owszem, był w domu swej siostry, ale dopiero w kilka godzin po dokonaniu zbrodni. Czuł też, że pistolet, z którego strzelano — Smith & Wesson Terrier kaliber 32 — został ukryty w jej domu w dolnej szufladzie chińskiej szafki. Zaskoczona jego wiedzą, siostra dozorczy zaprzeczła przez chwilę, po czym przyznała się do wszystkiego.

— Zabawne — powiedział Prine. — I nigdy pan nie był w tamtym domu przed nadejściem wizji?

— Nigdy.

— Dlaczego miałyby osłaniać brata wiedząc, że dokonał tak straszliwej zbrodni?

— Nie wiem. Potrafię zobaczyć obraz wydarzeń, które miały miejsce oraz — choć bardzo rzadko — które będą miały miejsce i tam, gdzie nigdy nie byłem. Ale w myślach czytać nie potrafię. Nie mogę więc wyjaśniać motywów ludzkiego postępowania.

Reżyser dał znak Prine'owi, że za 5 minut robią przerwę na reklamy. Prine nachylił się do Harrisa i spytał konfidencjonalnie:

— Kto poprosił pana o pomoc w ujęciu mordercy zwanego Rzeźnikiem? Czy rodzice którejś z ofiar?

— Nie. Jeden z detektywów przydzielonych do tej sprawy nie jest tak sceptyczny, jak jego koledzy. Sądzi, że jeśli naprawdę potrafię robić te rzeczy, o których mówię, to należy dać mi szansę.

— Czy miał już pan wizje wszystkich dziewięciu mordów?

— Pięciu spośród nich.

— Dotykając rzeczy zamordowanych kobiet?

— Tak.

Prine wychylił się ze swojego fotela i konspiracyjnie zapytał:

— Co może nam pan powiedzieć o Rzeźniku?

— Niewiele — powiedział Graham Harris i spochmurniał, ponieważ dręczyło go, że w tym przypadku ma dużo więcej problemów niż zwykle. — To duży mężczyzna. Przystojny. Młody. Bardzo pewny siebie i...

— Ile się panu płaci? — spytał Prine.

— Za co? — spytał Graham zmieszany.

— Za pomoc policji — odpowiedział Prine.

— Nic.

— A więc robi to pan po prostu społecznie?

— Robię to, ponieważ powinienem. Ponieważ muszę...

— A ile zapłacili panu Havelockowie?

Harris zrozumiał, że Prine nachyla się do niego nie konspiracyjnie, ale przygotowując do ataku, niczym drapieżnik na upatrzoną zwierzynę. Jego podejrzenia okazały się słuszne: ten skurwysyn wybrał go na ten wieczór, by zniszczyć. Ale dlaczego?

— Panie Harris?

Graham na chwilę zapomniał o kamerach i o telewizzach; nagłe przypomnienie sobie o ich obecności było bardzo niemiłe.

— Havelockowie nic mi nie płacili.

— Jest pan tego pewny?

— Oczywiście!

— Czasami jednak płacą panu za usługi, prawda?

— Nie. Żyję z...

— Szesnaście miesięcy temu na środkowym zachodzie zamordowano brutalnie pewnego chłopca. Nie podam nazwy miasta, by oszczędzić rodzinie ewentualnego niezdrowego zainteresowania ciekawskich. Matka chłopca poprosiła pana o współpracę przy poszukiwaniu mordercy. Wczoraj z nią rozmawiałem. Powiedziała, że zapłaciła panu tysiąc dolarów, a pan się nie popisał.

Co on chce, do cholery, udowodnić? Graham nie wiedział. Przecież musiało być dla niego jasne, że Graham bynajmniej nie był biedny i nie musiał latać na drugi kraniec kontynentu, by zarobić paręset dolarów.

— Po pierwsze, powiedziałem im, kto zabił chłopca i gdzie mogą znaleźć na to dowody. Ale zarówno matka chłopca, jak i policja zrezygnowali z pójsia tropem, który im wskazałem.

— Dlaczego?

— Ponieważ człowiek, którego wskazałem, był synem dobrze postawionych ludzi w mieście. W dodatku sam był poważnym pastorem oraz... ojczymem ofiary.

Wyraz twarzy Prine'a miał wyraźnie dać teraz do zrozumienia, że o tym kobieta mu nie powiedziała. Niemniej jednak kontynuował atak. To nie było dla niego typowe. Zwykle szedł na całość, gdy wiedział, że ma wystarczające informacje, by zniszczyć swego gościa. Choć nie można było pochwalać jego postawy, to jednak trzeba było przyznać, że w swej pracy nigdy nie robił błędów.

— Ale tysiąc dolarów panu zapłaciła?

— To były moje koszty. Przeloty, wypożyczenie samochodu, wyżywienie i zakwaterowanie w czasie pracy...

— Czy zwykle zwracane są panu koszty? — zapytał Prine z uśmiechem, jak gdyby osiągnął swój cel.

— Oczywiście. Trudno chyba oczekiwać, żebym jeździł po całym kraju na własny koszt. To są tysiące dolarów...

— Czy Havelockowie panu zapłacili?

— Otrzymałem tylko zwrot kosztów.

— Ale przecież przed chwilą powiedział pan, że Havelockowie nic panu nie zapłacili?

Graham westchnął niezadowolony i wyjaśnił:

— Nie zapłacili mi za pracę, natomiast dokonali zwrotu poniesionych przeze mnie kosztów.

— Panie Harris, proszę mi wybaczyć, jeśli sprawiam wrażenie, że chcę pana oskarżyć o coś, co nie miało miejsca. Ale wyobrażam sobie, że człowiek o takiej reputacji, jeśli chodzi o magiczne cuda, mógłby korzystając z naiwności wielu ludzi bez problemu wyciągać od nich tysiące dolarów. Oczywiście, gdyby był pozbawiony skrupułów.

— Panie Prine...!

— Rozumiem, że owego „zwrotu kosztów” domaga się pan za każdym razem? — spytał Prine.

Graham osłupiał. Potem nachylił się w stronę Prine’a i wykrzyknął:

— Co też mi pan chce wmówić?

Prine rozsiadł się wygodnie w fotelu krzyżując nogi, zadowolony, że wyprowadził gościa z równowagi. To było cwane posunięcie. Graham zdał sobie sprawę, że jego desperacka samoobrona wypadła słabo, jakby faktycznie był winien zarzucanych mu czynów. Zaczął mówić spokojnie:

— Dobrze pan wie, że ja nie potrzebuję pieniędzy. Nie jestem milionerem, ale ustawiony jestem dobrze na całe życie. Mój ojciec był dobrze prosperującym wydawcą. Otrzymałem duży spadek. Poza tym sam prowadzę zupełnie niezłe idący interes.

— Wiem, że wydaje pan trzy drogie czasopisma dla alpinistów — powiedział Prine. — Ale one mają niskie nakłady. A co do spadku... nic o nim nie słyszałem.

„Kłamie”, pomyślał Graham. „Przecież bardzo precyzyjnie przygotowuje się do tych programów. Wie o mnie teraz nie mniej, niż ja sam wiem o sobie. Dlaczego kłamie? Co chce osiągnąć zniesławiając mnie? Co tu się, do cholery, dzieje?”

*Ta kobieta ma zielone oczy; czyste i piękne zielone oczy, ale czai się w nich teraz strach. Jej oczy patrzą na ostrze, lśniące ostrze; kobieta zaczerpuje powietrza, by krzyknąć, ale ostrze nagle rusza w dół jej gardła...*

Obraz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Graham był wstrząśnięty. Nie zdarzało mu się często, by wizje przychodziły w trakcie prowadzenia rozmowy, nie zakłócając jej przebiegu. Wiedział, że było to udziałem jedynie kilku jasnowidzów, w tym najsłynniejszego, Petera Hurkosa, oraz jego kolegi, Duńczyka Gerarda Croiseta. W przypadku Grahama wizje zwykle wyrывały go z rzeczywistości. Zdarzało się nawet, gdy obraz dotyczył szczególnie brutalnego mordercy, że Graham jakby przenosił się w inny wymiar. Wizje były czymś więcej niż przeżyciem umysłowym, gdyż absorbowały go również emocjonalnie i duchowo. Przez chwilę — wtedy, gdy przed oczami miał tę zielonooką kobietę — nie był całkiem świadom otaczającego go świata: telewizzów, studia, kamer, Prine’a. Trząsł się cały.



— Panie Harris? — powiedział Prine.

Graham opuścił dłonie, pod którymi skrył na chwilę twarz.

— Zadałem panu pytanie — powiedział Prine.

— Przepraszam. Nie dosłyszałem.

*Z jej gardła trysnęła krew, zanim zdążyła krzyknąć. Wyciągnął nóż, opuścił go, po czym znów lekko podniósł i wbił pomiędzy jej odsłonięte piersi. Nie zdradzał przy tym żadnych emocji, wykonywał wszystkie te czynności metodycznie, jak człowiek przy rutynowej pracy. Nie sprawiał wrażenia maniaka, ale profesjonalisty poważnie traktującego swe zajęcie, jakby niczym nie różniło się od sprzedawania samochodów lub mycia okien, choć polegało na tym, by wbić nóż, rozpruć ciało i patrzeć, jak krew tryska strumieniami, po czym pójść do domu i położyć się spać w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku...*

Graham trząsał się cały i nie mógł tego opanować. Twarz miał mokrą od potu, choć wydawało mu się, że siedzi w przeciagu. Przeraziła go jego własna moc. Od czasu wypadku, w którym nieomal stracił życie, przerażało go wiele rzeczy, ale obecne wizje były czymś szczególnie zatrważającym.

— Panie Harris — powiedział Prine. — Dobrze się pan czuje?

Ostatnia część wizji trwała tylko trzy lub cztery sekundy, choć mogłoby się wydawać, że dłużej. W tym czasie całkowicie stracił świadomość tego, co działo się w studiu.

— On znów to robi — powiedział z wysiłkiem Graham. — Dokładnie w tej chwili.

Prine zmarszczył brwi.

— Kto? Co robi?

— Morduje.

— Mówi pan o... Rzeźniku?

Graham skinął głową i oblizwał wargi. Miał tak wyschnięte gardło, że mówienie sprawiało mu ból i czuł w ustach metaliczny posmak. Prine był w siódmym niebie. Odwrócił się do kamery i powiedział:

— Pamiętajcie, szanowni telewidzowie, że jako pierwsi widzicie to i słyszycie właśnie w moim programie!

Potem obrócił się do Grahama i spytał:

— Kogo morduje?

— Kobietę. Ma zielone oczy i jest ładna.

— Jak się nazywa?

Pot zaczął Grahamowi spływać z czoła na oczy. Wytarł go grzbietem dłoni i pomyślał, że dla setek telewidzów musi wyglądać idiotycznie.

— Czy potrafi podać nam pan jej nazwisko? — spytał Prine.

*Edna... śliczna mała Edna... biedna mała Edna...*

— Ma na imię Edna — powiedział Graham.

— A nazwisko?

— Jeszcze... jeszcze nie wiem.

— Niech pan się postara! Musi się pan postarać.

— Może... tancerz.

— Edna Tancerz?

— Nie wiem... Może nie... Może to tylko część nazwiska... Ale na pewno Edna...

— Niech pan idzie dalej tym śladem — powiedział Prine. — Może pan coś jeszcze wydobędzie.

— Nic z tego.

— A on, jak się nazywa?

— Daryl... Nie, Dwight.

— Jak Eisenhower?

— Nie jestem pewien, czy to jego imię, czy nazwisko. Ale w każdym razie tak na niego mówią. Tak, mówią na niego Dwight, a on to akceptuje.

— Nie do wiary — powiedział Prine zupełnie zapominając, że właśnie zamierzał zniszczyć reputację swego gościa. — Czy może pan podać jego nazwisko lub pierwsze imię?

— Nie. Ale czuję, że... policja o nim wie... że jest im w jakiś sposób znany... dobrze znany.

— Twierdzi pan, że jest na liście podejrzanych? — spytał Prine, a kamera zrobiła zbliżenie twarzy Grahama. Ten wolałby, żeby program dobiegł już końca. Nie powinien był tu dziś przychodzić. Co więcej, zapragnął, by jego cudowna moc wywołana wypadkiem powróciła tam, skąd przyszła, i zostawiła go w spokoju.

— Nie wiem — powiedział. — Przypuszczam, że... że może znajdować się wśród podejrzanych. Ale tak czy owak, oni go znają.

Wstrząsnął nim dreszcz.

— Co się stało? — spytał Prine.

— Edna...

— Tak?

— Nie żyje.

Graham czuł się, jakby rozkładała go jakaś choroba.

— Gdzie to miało miejsce? — spytał Prine.

Graham zanurzył się w fotelu usilnie starając się nie utracić nad sobą kontroli. Czuł się prawie tak, jakby sam był Edną, jakby jemu przyłożono nóż do gardła.

— Gdzie ją zamordowano? — spytał ponownie Prine.

— W jej własnym mieszkaniu.

— Adres?

— Nie wiem.

— Ale jeśli policja mogłaby tam dotrzeć na czas...

— Zgubiłem ślad — powiedział Graham. — Już wszystko zniknęło. Bardzo mi przykro.

Czuł się wydrążony i było mu zimno.

### 3

Dochodziła druga w nocy, kiedy Anthony Prine skończył naradę z reżyserem i zjechał na dół do swego biura, które jednocześnie służyło mu jako garderoba i mieszkanie, gdy nie miał czasu wracać do prawdziwego domu. Skierował swe kroki natychmiast do barku, wrzucił do szklanki dwie kostki lodu i sięgnął po butelkę bourbona.

Jego menedżer i wspólnik, Paul Stevenson, siedział na kanapie. Nosił drogi, szyty na miarę garnitur. Prine lubił ubierać się elegancko i cenił tę umiejętność u innych. Niestety Stevenson zawsze psuł wrażenie jakimś nie pasującym do reszty elementem. Dziś nosił wełniany garnitur dwurzędowy w popielatym kolorze, z jedwabnym chabrowym podbiciem, do tego ręcznie tkaną koszulę w kolorze jasnobłękitnym, kasztanowy krawat i czarne buty z krokodylej skóry. Ale na nogach miał różowe skarpetki w zielone zegary! Robiło to takie wrażenie, jak karaluch na torcie weselnym!

Stevenson był doskonałym wspólnikiem z dwóch powodów: miał pieniądze i robił to, o co został poproszony. Prine czuł wielki respekt wobec dolara. A poza tym uważał, że jeszcze nikt się taki nie urodził, kto miałby tyle doświadczenia i inteligencji, by je mu mówił, co ma robić.

— Czy były do mnie jakieś prywatne telefony? — spytał Prine.

— Nie.

— Jesteś pewien?

— Oczywiście.

— Cały czas tu byłeś?

— Tak, oglądałem twój program — odpowiedział Stevenson.

— Czekam na pewien telefon.

— Przykro mi, nikt nie dzwonił.

Prine spojrzał na niego krzywo.

— Niezły show — powiedział Stevenson.

— Tylko pierwsze pół godziny. Po Harrisie każdy następny gość wypadał, jak jeszcze większy nudziarz, niż w rzeczywistości. Czy były telefony od widzów?

— Ponad setka, wszystkie z pochwałami. Myślisz, że on naprawdę miał wizję zabójstwa?

— Słyszałeś, że podał szczegóły. Kolor jej oczu, imię... Przekonał mnie.

— Dopóki jej nie znajda, nie masz pewności, że były to trafne szczegóły.

— Były trafne — powiedział Prine.

Wypił bourbona i ponownie napełnił szklankę. Mógł wypić dużo whisky i nie upić się. Podobnie z jedzeniem, nigdy sobie nie żałował, a mimo to nie cierpiał na nadwagę. Ustawicznie podrywał ładne panienki, a kiedy tak się składało, że musiał płacić za miłość, to zamawiał od razu dwie call girls. Nie chodziło tu o poszukiwanie młodości przez mężczyznę w średnim wieku. On po prostu walczył w ten sposób ze znudzeniem i szarością otaczającego go świata; whisky, jedzenie i kobiety były paliwem, które pozwalało mu funkcjonować.

— Zielonooka kobieta o imieniu Edna — powiedział przemierzając pokój nerwowymi krokami i sącząc bourbona. — Co do tego ma rację. Przeczytamy dziś o tym w gazetach.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Gdybyś tam wtedy siedział koło niego, Paul, też byś nie miał żadnych wątpliwości.

— Ale czy to nie dziwne, że ta wizja nadeszła akurat wtedy, kiedy już byłeś bliski przygwożdżenia go?

— Jakiego przygwożdżenia? — spytał Prine.

— Noo... że brał pieniądze za...

— Nawet jeśli kiedykolwiek brał więcej niż zwrot poniesionych kosztów, to i tak nie ma na to żadnych dowodów — powiedział Prine.

Stevenson osłupiał.

— To dlaczego przypuściłeś na niego ten atak?

— Chciałem go złamać, zredukować do niezdolnego do obrony głupka. — Prine uśmiechnął się.

— Ale jeśli on nic takiego nie zrobił...

— To zrobił co innego.

— Na przykład?

— Można się domyślić.

Stevenson westchnął.

— Lubisz poniżać ludzi na wizji.

— Oczywiście.

— Dlaczego?

— A dlaczego nie?

— Czy przez to czujesz się silniejszy?

— Wcale nie — powiedział Prine. — Lubię robić z nich głupków, bo są głupkami. Większość ludzi to głupki. Politycy, księża, poeci, filozofowie, biznesmeni, wojskowi. Stopniowo prezentują najbardziej znanych ludzi spośród każdej z grup zawodowych. Chcę pokazać masom ignorantów przed telewizorami, że ich idole są takimi samymi zerami, jak oni sami.

Wychylił łyk bourbona. Gdy odezwał się znowu, jego głos zabrzmiał bardziej twardo.

— Może pewnego dnia całe te rzesze głupków rzucą się sobie do gardeł i świat zostawi dla tych spośród nas, którzy zasługują, żeby na nim żyć.

— Co ty mówisz?

— Czyżbym mówił w obcym języku?

— Jesteś taki... zgorzkniały.

— Mam do tego prawo.

— Ty? Gdy już osiągnąłeś tyle sukcesów?

— Nie pijesz, Paul?

— Nie, Tony. Nie rozumiem...

— Uważam, że powinieneś się napić.

Stevenson wolał nie narażać się zmieniając temat.

— Nie mam ochoty na drinka.

— Czy zalałeś się kiedyś w sztok?

— Nie. Pijam raczej niewiele.

— Poszedłeś kiedyś do łóżka z dwiema dziewczynami naraz?

— Co to ma wszystko znaczyć?

— Ano to, że nie korzystasz z życia, jak się należy — powiedział Prine. — Nie łapiesz go na gorąco. Nie zapominasz się nigdy. Poza tym wszystko w porządku, Paul — z wyjątkiem skarpetek.

Stevenson spojrzał na nogi.

— Nie podobają ci się moje skarpetki?

Prine podszedł do okna. Nie patrzył jednak na rozświetlone miasto, lecz na jego odbicie w szybie. Uśmiechnął się pod nosem. Był w doskonałym nastroju. Już od wielu tygodni nie czuł się tak świetnie, a wszystko dzięki Harrisowi. Jasnowidz wniósł do jego życia trochę podniecenia i ryzyka, nowe elementy i obszary zainteresowania. Graham Harris nawet nie podejrzewał, że był teraz najważniejszym celem w karierze Prine'a. „Zniszczymy go”, pomyślał Prine radośnie, „zmiemy z powierzchni ziemi”. Odwrócił się do Stevensona.

— Jesteś pewien, że nikt nie dzwonił? Na pewno był jakiś telefon.

— Nie, nikt nie dzwonił.

— Może wyszedłeś na chwilę.

— Tony, nie rób ze mnie idioty. Dlaczego mi nie wierzysz? Byłem tu cały czas i na twój prywatny numer nie dzwonił nikt.

Prine dopił drugą szklankę bourbona. Palił go w gardle. Po ciele rozeszło się miłe ciepło.

— Dlaczego nie napijesz się ze mną?

Stevenson wstał i rozprostował kości.

— Bo muszę już iść.

Prine podszedł do baru.

— Masz niezłe tempo, Tony.

— Świętuję — wyjaśnił Prine wrzucając do szklanki lód i zalewając bourbonem.

— Co świętujesz?

— Upadek kolejnego głupka.

## 4

Graham Harris mieszkał w Greenwich Village wspólnie z Connie Davis. Gdy wrócił do domu, czekała już na niego. Odebrała płaszcz i powiesiła do szafy.

Była ładna. Miała 34 lata, szczupłą sylwetkę, ciemne włosy i szare oczy. Do tego szerokie usta i zadarty nos. Jednym słowem, była sexy.

Prowadziła własny sklepik z antykami na Dziesiątej Ulicy. W interesach była równie dobra, jak w łóżku.

Mieszkali ze sobą od półtora roku. Każde z nich uznawało ten związek za największą miłość ze wszystkich dotychczasowych.

Ale nie o miłość tu wyłącznie chodziło. Connie była nie tylko kochanką Grahama, ale i jego lekarzem oraz pielęgniarką. Od czasu wypadku, który wydarzył się pięć lat temu, Graham ustawicznie tracił wiarę w siebie. Z roku na rok coraz mniej się szanował. Ona miała mu pomóc, wyleczyć go. Nie była pewna, czy on to rozumie, niemniej jednak uważała to za najważniejsze zadanie w swym życiu.

— Gdzie byłeś? — spytała. — Jest wpół do trzeciej nad ranem.

— Musiałem zebrać myśli, więc wracałem na piechotę. Czy widziałas program?

— Jeszcze o tym zdążymy porozmawiać. Najpierw musisz się rozgrzać.

— Bezwarunkowo. Na zewnątrz będzie ze dwadzieścia stopni poniżej zera.

— Idź do swojej pracowni, usiądź i odpręż się — powiedziała. — Napaliłam w kominku. Przyniosę ci drinka.

— Brandy?

— Co może być lepszego w taka noc?

— Jesteś prawie doskonała.

— Prawie?

— Przecież nie mogę cię rozpuścić...

— Jestem zbyt doskonała, żeby nie być skromną.

Zaśmiał się.

Connie odwróciła się i poszła do barku, który znajdował się w drugim końcu pokoju.

Jakimś szóstym zmysłem czuła, że wpatruje się w nią. Potem wyszła z pokoju. O to właśnie chodziło, żeby patrzył. Miała na sobie przylegający do ciała biały sweterek i obcisłe dzinsy, które podkreślały jej smukłą sylwetkę. Poczłaby się rozczarowana, gdyby

nie powędrował za nią wzrokiem. Po tym, co tej nocy przeżył, potrzebował czegoś więcej, niż tylko usiąść przy kominku i sączyć brandy. Potrzebował jej. Jej dotyku, pocałunków, miłości. I była gotowa mu to dać, więcej nawet — oczekiwała na tę chwilę z rozkoszą.

Nie odgrywała już więcej roli Matki Ziemi, jak to było w innych związkach. Zwykle występowała u niej tendencja do dominacji nad mężczyznami i ta zaborcza miłość powodowała, że jej kochankowie tracili zdolność decydowania o sobie, uzależniali się od niej. Ale tu wszystko było inaczej. Tu chciała, żeby jednakowo byli od siebie uzależnieni. Chciała otrzymywać nie mniej, niż sama dawała. Był pierwszym mężczyzną, przy którym to czuła. Całym sercem pragnęła, by go zaspokoić, ale równocześnie sama czuła wielkie nienasycenie. Zawsze cechował ją silny popęd płciowy, a Graham nadał jej pożądanemu nowy, ostrzejszy wymiar.

Do kąta, w którym się zaszył, przyniosła dwa kieliszki remy martin. Usiadła koło niego na sofie.

Po chwili milczenia, ze wzrokiem wlepionym w kominek, powiedziała:

— Co miało znaczyć to przesłuchanie? Co on ci chciał udowodnić?

— Prine?

— A któż by inny?

— Przecież nie pierwszy raz oglądałaś jego program. Wiesz, jaki on jest.

— Ale zwykle ma jakiś powód, zanim przystąpi do ataku. I zawsze ma coś na poparcie swoich zarzutów. Dobrze, że zamknęłaś mu gębę tymi wizjami dziesiątego morderstwa.

— One były prawdziwe — powiedział.

— Wiem.

— To było tak pełne życia, jakby działo się w rzeczywistości.

— Czy było to bardzo okrutne i krwawe?

— Nie miałem jeszcze gorszych wizji. Widziałem, jak wepchnął jej nóż w gardło i obracał nim. — Jednym haustem wypił swą brandy.

Connie przechyliła się w jego stronę i pocałowała w czoło.

— Nie mogę zrekonstruować wyglądu Rzeźnika — powiedział zatroskany. — Jeszcze nigdy nie miałem takich trudności z odtworzeniem oblicza mordercy.

— Wyczułeś jego imię.

— Może? Może Dwight. Ale nie jestem pewien.

— Podałeś policji całkiem niezły rysopis Rzeźnika.

— Ale to wszystko, na co mnie stać — powiedział. — Gdy mam już wizję i staram się ukonkretnić obraz tego mężczyzny, tego Rzeźnika, wszystko, co się we mnie koncentruje, to fale... diabelskiej mocy, wszechogarniające zło. Nie wiem, skąd się to bierze, bo Rzeźnik przecież nie jest psychicznie chory. A w każdym razie, nie w klasycznym rozumieniu tego słowa. On nie zabija w szale maniackim, ale na zimno.



— Zgładził dziewięć niewinnych kobiet — powiedziała Connie. — Dziesięć, jeśli policzyć tę, której jeszcze nie odnaleziono. Obcina im uszy, a czasami i palce. Nierzadko rozpruwa im brzuchy. A ty mi mówisz, że to nie jest żaden maniak?

— On nie jest obłąkany, w każdym razie nie kwalifikuje się pod żadną z obowiązujących definicji tego słowa. Za to dam sobie głowę uciąć — przekonywał Graham zawzięcie, ale bez widocznego efektu.

— Może nie wyczuwasz, że to jest szaleniec, ponieważ on sam nie jest świadom swojej choroby? Może cierpi na amnezję?

— Nie jest to ani amnezja, ani schizofrenia. On jest zupełnie świadomy tego, że morduje. Nie jest to więc powtórzenie historii doktora Jekylla i pana Hyde'a. Założę się, że gdybyśmy go mogli zbadać, to przeszedłby negatywnie każdy test psychiatryczny. Bardzo trudno mi to wyjaśnić. A mam takie uczucie, że jeśli on jednak naprawdę jest szaleńcem, to na zupełnie nowy sposób, że jest to zupełnie nowa kategoria szaleńca. Jeszcze nigdy do tej pory nie mieliśmy do czynienia z kimś takim. Myślę, że... Cholera! Ja w i e m, że on nie jest nawet szczególnie wzburzony w chwili, kiedy morduje te kobiety, ani nawet podniecony tym, co robi. Jest za to bardzo staranny i działa metodycznie.

— Przez ciebie ciarki przeszły mi po karku — powiedziała Connie.

Graham obruszył się.

— Przeze mnie? A wiesz, co ja przeżywam? Czuję się teraz tak, jakbym był wewnątrz mózgu tego zbrodniarza. Mnie ciarki przechodzą po karku na okrągło!

Ogień strzelił w kominku. Connie wzięła Grahama za rękę.

— Nie mówmy już ani o Prinie, ani o zabójstwach.

— Jak mogę o nich nie mówić po tym, co się wydarzyło dzisiejszej nocy?!

— Wspaniale wyglądałeś w telewizji — powiedziała próbując zmienić temat.

— O, na pewno wspaniale! Cały spocony, błydy, trzęsący się...

— Przecież nie w trakcie swoich wizji, ale przed nimi. Nadajesz się do mass mediów, nawet do filmu. Reprezentujesz typ przywódczy.

Graham Harris był przystojny. Miał gęste, jasne, może nawet lekko rudawe włosy. W kącikach błękitnych oczu widać było intrygujące zmarszczki. Śniada cera z ostrymi tu i ówdzie bruzdami zdradzała, że Graham lata całe aktywnie spędził bynajmniej nie w domu. Był smukły i silny, choć niewysoki. Miał tylko metr pięćdziesiąt sześć wzrostu. A mimo swych 38 lat wciąż był psychicznie wrażliwy jak mały chłopiec.

— Typ przywódczy? — spytał i uśmiechnął się. — Może masz rację. Zostawię wydawnictwa i tę pieprzoną parapsychologię i zostanę aktorem.

— Następcą Roberta Redforda.

— Roberta Redforda? Myślałem raczej o Borysie Karloff.

— Wolę Redforda — nalegała Connie.

— Ale Karloff bez charakteryzacji był całkiem przystojnym facetem. A co powiesz na Wallace'a Beery?

— Jeśli ty będziesz Wallace'em Beery, to ja będę Marią Dressler.

— Cześć, Mario!

— Panie Beery, czy naprawdę ma pan kompleks niższości, czy tylko jest to część pańskiego image?

Graham uśmiechnął się pod nosem i pociągnął łyk brandy.

— Czy pamiętasz ten ich serial „Tugboat”? Czy myślisz, że Annie kiedykolwiek poszła do łóżka ze swym mężem?

— Jasne!

— Wciąż się sprzeczali. On okłamywał ją przy każdej okazji i notorycznie był pijany.

— Ale na swój sposób kochali się powiedziała Connie. — Żadne z nich nie znalazłoby sobie nigdy innego partnera.

— Zastanawiam się, czym był dla nich ten związek. On był takim słabym mężczyzną, a ona taką silną kobietą.

— Ale pamiętaj, że zawsze stawał się silny, gdy zmuszała go do tego sytuacja, zwykle pod koniec filmu.

— Dobrze i to, co nie?

— Mógłby być silny od początku, ale nigdy nie wierzył w siebie.

Graham wpatrywał się w kominek. Kieliszek z brandy obracał przed nosem wdychając jej aromat.

— A co powiesz na Williama Powella i Myrnę Loy? — spytała Connie.

— Ach, masz na myśli „Thin Man Movies”?

— Oboje byli silni powiedziała. — To coś dla nas. Nick i Nora Charles.

— Zawsze lubiłem ich psa, Astę. To był dopiero pies!

— Jak wyobrażasz sobie, że Nick i Nora uprawiali miłość? — spytała.

— Namiętnie.

— Ale z poczuciem humoru.

— Lubili robić kawały.

— Otóż to! — Zabrała mu kieliszek z ręki i sama zaczęła wdychać aromat brandy. Potem pocałowała go lekko, językiem liżąc jego usta. — Myślę, że możemy zabawić się w Nicka i Norę.

— Nie wiem. To taki wielki wysiłek kochać się i jednocześnie być dowcipnym.

Usiadła mu na kolanach, objęła za szyję i pocałowała, tym razem jeszcze namiętniej. Graham wsunął jej rękę pod sweter, a ona cofnęła się i uśmiechnęła.

— Nora?

— Co, Nick?

— Gdzie Asta?

— Poszedł spać.

— Lepiej, żeby nie przeszkadzał.

- Już śpi.
- Gdyby się obudził i nas zobaczył, mógłby doznać urazu.
- Na pewno się nie obudzi.
- Taak?
- Wsypałam mu do jedzenia proszki nasenne.
- Sprytna dziewczynka.
- A teraz m y pójdziemy do łóżka.
- Bardzo sprytna dziewczynka.
- I pięknie zbudowana — dodała Connie.
- Tak, jesteś godna grzechu.
- Naprawdę?
- O, tak.
- A więc zgrzeszmy.
- Z przyjemnością.
- Mam nadzieję.

## 5

Godzinę później Graham spał, lecz Connie jeszcze nie. Leżała na boku patrząc na jego twarz, skąpaną w mdłym świetle lampki nocnej.

Miał na swym obliczu wyryte ciężkie doświadczenia życiowe. Z twarzy Grahama jasnym blaskiem biły nieustępliwość, chłopięca dobrotliwość, dobre wychowanie, inteligencja, poczucie humoru, wrażliwość. Był do głębi dobrym człowiekiem. Ale jednocześnie z jego twarzy wyczytać można było trwogę, lęk przed powtórzeniem się jakiegoś nieszczęścia i, co gorsza, strach przed własnym strachem.

W młodości, a jeszcze i parę lat po przekroczeniu trzydziestki, był jednym z najlepszych alpinistów na świecie. Wspinaczka, ryzyko i tryumf — to były cele jego życia. Nic się tak dlań nie liczyło. Aktywne uprawianie tego sportu rozpoczął w wieku 13 lat i z roku na rok podnosił sobie poprzeczkę. Gdy miał 26 lat, organizował wyprawy na najbardziej rzucające wyzwanie szczyty w Europie, Azji i Ameryce Południowej. Gdy miał 30 lat, poprowadził trasą od południa ekspedycję na Mount Everest, wspiał się na Zachodnią Grań, zdobył szczyt trawersem i powrócił na dół tą samą drogą. W wieku 31 lat zaatakował Eiger\* w śmiałym, alpejskim stylu i za pierwszym podejściem zdobył złowrogą, pionową ścianę czołową tego szczytu bez użycia lin poręczowych. Takie uzdolnienia, dobra prezencja, poczucie humoru i opinia Casanovy (przesadzona tak przez jego przyjaciół, jak i prasę), uczyniły zeń najbarwniejszą i najpopularniejszą postać w środowisku alpinistów owych lat.

Przed pięcioma laty, gdy niewiele już zostało szczytów, których nie zdobył, zorganizował ekipę na podbój najbardziej niebezpiecznej ze wszystkich ścian skalnych południowo-zachodniej strony Everestu, od której jeszcze nigdy nie próbowano wejść na ten szczyt. Spadł, gdy był blisko celu. Złamał sobie szesnaście kości, nie mówiąc o obrażeniach wewnętrznych. W Nepalu udzielono mu pierwszej pomocy i przewieziono samolotem do Europy, wraz z lekarzem i dwoma przyjaciółmi, którzy sądzili, że już wkrótce będą świadkami śmierci Grahama. Tymczasem Graham spędził ponad pół roku w prywatnej klinice w Szwajcarii i wyszedł z niej właściwie wyleczony. Właściwie... Goliat bowiem nie został jeszcze zabity i dokuczał Dawidowi: Graham kulał na jedną nogę.

Lekarze powiedzieli, że jeśli chce, może dalej uprawiać ten sport, ale już tylko rekreacyjnie i bez porywania się na trudniejsze góry. Po pewnym czasie i oswojeniu się z nową sytuacją mógł nawet, mimo chromej nogi, spróbować sił w ambitniejszych wspi-

---

\*Eiger — szczyt w Alpach Berneńskich, którego północna ściana należy do najtrudniejszych problemów alpinistycznych (przyp. tłum.)

naczkach, choć na pewno nie byłyby to już ani Mount Everest, ani Eiger, nawet od najłatwiejszej strony. Czekały na niego niższe szczyty.

Z początku był przekonany, że, mimo opinii lekarzy, już za rok zdobędzie znowu Everest. Ale gdy trzy kolejne próby wejścia na zupełnie proste ściany zakończyły się odwrotem z wysokości zaledwie kilkudziesięciu metrów, szybko spostrzegł, że tak Everest, jak i inne większe góry są już nie dla niego. Po prostu panicznie bał się wysokości.

Przez następne lata strach ten nie tylko nie zmalął, ale wprost przeciwnie — rozwinął się na wszystkie sfery życia Grahama. Teraz lękał się nie tylko wspinaczki, ale i utraty odziedziczonego majątku poprzez złe inwestycje, przez co stał się utrapieniem dla swojego maklera. Asekuracyjnie, na wypadek spadku wartości swych akcji, założył i wydawał trzy magazyny poświęcone problematyce wysokogórskiej. Miały niskie nakłady, wysoką cenę, ale przynosiły jaki taki dochód. Jednak i w tym przypadku co pewien czas wpadał w panikę, że ludzie przestaną je kupować. W każdym swym przeziębieniu, grypie, bólu głowy czy niestrawności widział złowieszcze widmo choroby nowotworowej. Zdolności do jasnowidzenia przerażały go i wykorzystywał je tylko dlatego, że nie potrafił od nich uciec. Czasami strach pojawiał się w czasie intymnych chwil z Connie i czynił zeń impotentą.

Ostatnio popadł w depresję dużo głębszą niż wszystkie poprzednie, tak że nawet na kilka dni utracił chęć do życia. Dwa tygodnie wcześniej był świadkiem napadu rabunkowego, słyszał wołanie ofiary o pomoc i... odszedł w swoją stronę. Przed wypadkiem bez wahania włączyłby się do akcji. Wrócił do domu i opowiedział Connie o wszystkim. Wieształ na sobie psy, a gdy próbowała go bronić, kłócił się z nią. Bała się, że może zniechęcić siebie samego i że w przypadku takiego człowieka, jak Graham, może doprowadzić to do szaleństwa.

Wiedziała, że nie ma odpowiednich kwalifikacji, by brać się za uzdrawianie psychiczne swego przyjaciela. Wydawało jej się również, że przez swój trudny charakter, nieustępliwość i pewność siebie wyrządziła poprzednim kochankom więcej krzywdy niż dobra. Nigdy nie była emancypantką, ale po prostu, od kiedy osiągnęła pełnoletniość, zawsze cechowały ją pewność siebie i duża odporność psychiczna, co nie zawsze zauważała u swoich znajomych. Wszyscy jej wcześniejsi kochankowie byli emocjonalnie i intelektualnie słabsi od niej, choć tylko kilku z nich nie było skłonnych uważać kobiety za coś gorszego. Ostatniego przyjaciela nieomal doprowadziła do paranoi, gdy podkreślała swą równą z nim pozycję i — przynajmniej w jego pojęciu — lekceważyła rolę mężczyzny. A uznanie tej roli było dla niego warunkiem utrzymania niezachwianej psychiki.

Ze względu na rozdygotane ego Grahama zmuszona była zmodyfikować podstawy swej osobowości na niewyobrażalną dla niej dotąd skalę. Warte to jednak było zachodu, gdyż dostrzegła, że dzięki jej wysiłkom Graham zaczyna powoli przypominać siebie sprzed wypadku. Chciała zerwać okrywającą go skorupę strachu, by wydobyć dawnego Grahama Harrisa, człowieka, który był jej od dawna poszukiwanym ide-

ałem. Człowiekiem równym jej pod każdym względem i nie bojącym się kobiet takich, jak ona. Jednakże próbując przywrócić do życia takiego Grahama, musiała być bardzo ostrożna, by nie rozbił się na kawałki ten Graham.

Podmuch wiatru uderzył w okno.

Choć pod kocami było jej ciepło, wzdrygnęła się.

Zadzwonił telefon.

Wystraszona przeturlała się po łóżku w stronę aparatu. Dzwonek telefonu dźwięczał przeraźliwie i odbijał się od ścian pokoju pełnym grozy echem, jak jęk kojota na prerii.

Złapała słuchawkę w pośpiechu, by dzwonek nie obudził Grahama.

— Słucham? — powiedziała miękko.

— Z panem Harrisem, poproszę.

— Kto mówi?

— Ira Preduski.

— Przykro mi, ale...

— Detektyw Preduski.

— Jest czwarta nad ranem...

— Bardzo mi przykro. Naprawdę. Proszę mi wybaczyć, proszę... Nie powinienem był budzić państwa o tej porze, ale... widzi pani... pan Harris prosił, by powiadomić go natychmiast, gdy pojawi się nowy element w sprawie Rzeźnika.

— Chwileczkę — spojrzała na Grahama.

Nie spał już i patrzył na nią.

— Preduski — powiedziała.

Odebrał słuchawkę.

— Słucham. Harris.

Po upływie minuty skończył rozmowę i Connie odłożyła za niego słuchawkę.

— Znaleźli ciało numer dziesięć?

— Tak.

— Jak się nazywała? — spytała Connie.

— Edna. Edna Mowry.

## 6

Bielizna nocna zalana była krwią. Tak samo dywan z prawej strony łóżka, który wyglądał teraz jak test Rorschacha. Zaschnięta krew pokrywała też zaciekami całe wezgłowie.

W pokoju, pod okiem koronera, pracowało trzech techników z laboratorium policyjnego. Dwóch z nich szukało na kłęczkach śladów w okolicach łóżka. Trzeci zbierał odciski palców, choć musiał wiedzieć, że odcisków mordercy i tak nie znajdzie. To była robota Rzeźnika, a Rzeźnik zawsze pracował w rękawiczkach. Tymczasem koroner studiował na ścianie trajektorię rozprysku krwi, by stwierdzić, czy przestępca był prawo — czy leworęczny.

— Gdzie ciało? — spytał Graham.

— Przykro mi, ale dziesięć minut temu zabrano je do kostnicy — powiedział detektyw Preduski, jak gdyby czuł się odpowiedzialny za niewłaściwe zachowanie swych ludzi.

„Ciekawe”, pomyślał Graham, „czy całe życie tak wszystkich przeprasza?” Detektyw znany był z brania na siebie winy nieomal za wszystko i wszystkich, nawet wtedy, gdy sam absolutnie był bez zarzutu. Miał pozbawioną cech charakterystycznych twarz o bladej cerze i wodnisto brązowych oczach. Pomimo swego wyglądu i niezaprzecznego kompleksu niższości, który go trawił, był wielce poważanym detektywem w Wydziale Zabójstw policji na Manhattanie. Niejeden z jego współpracowników dał Grahamowi jasno do zrozumienia, że Ira Preduski jest największym fachowcem w Wydziale.

— Wstrzymywałem ambulans, ile tylko mogłem. Zbyt późno pan do nas przyjechał. Oczywiście obudziłem pana w środku nocy. Nie powinienem był tego robić. A potem pewnie musiał pan zamówić taksówkę i czekać na nią cholernie długo. Przykro mi. Na pewno wszystko panu popsułem. Powinienem był zatrzymać tu ciało chwilę dłużej. Wiedziałem, że będzie je pan chciał zobaczyć w miejscu, w którym zostało odnalezione.

— To nie ma znaczenia — powiedział Graham. — Ja już ją widziałem w swojej wizji i to bardzo dokładnie.

— Oczywiście — powiedział Preduski — oglądałem pana w programie Prine'a.

— Miała zielone oczy, prawda?

— Tak, jak pan mówił.

— Była rozebrana?

— Tak.

— Ciosy zadane były w wielu miejscach?

— Tak.

— Szczególnie brutalna rana zadana została w szyję?

— Zgadza się.

— Okaleczył ją, prawda?

— Tak.

— W jaki sposób?

— Okrutny — powiedział Preduski. — Wolałbym nie musieć o tym opowiadać. Nikt nie powinien tego słuchać.

Preduski wyglądał tak, jakby chciał złapać Grahama za obie ręce.

— Wypruł jej flaki z brzucha. Wylały się na podłogę. To był okropny widok.

Graham zamknął oczy i wstrząsnął nim dreszcz. Zaczął się pocić i czuł, że łapie go gorączka. To nie była wizja, lecz wyobrażenie tego, co się stało, sugestywny obraz trudny do wymazania z pamięci.

Koroner odwrócił się od poplamionej krwią ściany i popatrzył ciekawie na Grahama.

„Nie patrz tak na mnie”, pomyślał Graham. „Nie chcę nic o tym wiedzieć”.

Większy pożytek miałyby z umiejętności przewidywania spadku kursu akcji na giełdach niż nielicznych przypadków przemocy. Wolałby umieć przewidywać imiona koni, które wygrają na wyścigach, niż ofiar morderstw, które nie on popełnił.

Gdyby mógł pozbyć się swej mocy, już dawno by to zrobił. Ale ponieważ było to niemożliwe, czuł się w jakimś stopniu odpowiedzialny za rozwijanie swych talentów parapsychologicznych. Wierzył, może irracjonalnie, że w ten sposób chociaż kompensował tchórzostwo, które ogarnęło go przed pięcioma laty.

— Może przyda się panu do czegoś to, co napisał? — spytał Preduski. Na ścianie koło buduaru zapisane były krwią następujące wersy:

*Zaryczy i wystrzeli ogień*

*w brzemienym powietrzu;*

*Głodne chmury pochłoną ziemię.*

— Domyśla się pan, co to może znaczyć? — spytał Preduski.

— Obawiam się, że nie.

— Rozpoznaje pan autora wiersza?

— Nie.

— Ja też nie. — Preduski potrząsnął głową żałośnie. — Nie mam wielkiego wykształcenia. Tylko jeden rok college'u. Nie dawałem sobie rady. Ale dużo czytałem, może nawet za dużo. Gdybym był wykształcony, może wiedziałbym, czyja to poezja. Na pewno bym wiedział. Jeśli Rzeźnik traci czas na pisanie tego, to na pewno jest dla niego waż-



ne. To jakiś punkt zaczepienia. Co ze mnie za detektyw, jeśli mając tak wyraźny punkt zaczepienia, nie potrafię go rozgryźć? — Potrząsnął głową wyraźnie zde gustowany samym sobą. — Kiepski ze mnie detektyw. Oj, kiepski...

— Może to jego własna poezja? — powiedział Graham.

— Rzeźnika?

— Może.

— Poeta-morderca? Th.S. Eliot z zacięciem rzeźniczym? — Graham wzdrygnął się.

— Nie — powiedział Preduski. — Człowiek zwykle popełnia ten rodzaj zbrodni, bo to dlań jedyny sposób wyrażenia jakiejś skrywanej manii. Zarzynanie niweluje narosłe napięcie. Ale poeta wyraża swe uczucia słowami. Nie. Gdyby to były jakieś nieudolne rymy, to wtedy Rzeźnik mógłby być ich autorem. Ale one są zbyt dobre, zbyt wyrefinowane. Poza tym coś mi świta. Coś mi świta w tej mojej nie douczony mózgowicy. — Preduski przez chwilę przyglądał się krwawemu przesłaniu ze ściany, potem podszedł do drzwi od łazienki. Były otwarte, więc je zamknął. — A tu mamy to.

Na drzwiach widać teraz było napisaną krwawymi literami linijkę: *Lina rozwieszona nad przepaścią*

— Czy zostawił już kiedyś coś takiego? — spytał Graham.

— Nie. Powiedziałbym panu, gdyby tak było. Ale przy tego rodzaju zbrodniach nie jest to nic niezwykłego. Pewien typ psychopatów lubi komunikować się ze znalazcami ciał swych ofiar. Kuba Rozpruwacz pisywał listy do policji. Rodzina Mansona pisała krwią na ścianie jednowyrazowe przekazy. „Lina rozwieszona nad przepaścią”. Co chciał przez to powiedzieć?

— Czy to z tego samego wiersza?

— Nie mam zielonego pojęcia — westchnął Preduski wkładając ręce do kieszeni. Wyglądał na strapionego. — Zaczynam wątpić w to, czy kiedykolwiek uda mi się go schwycić.

Salon w mieszkaniu Edny Mowry był mały, ale nie ubogi. Dyskretnie umieszczone lampy rzucały w przestrzeń rozproszone, bursztynowe światło. Złote draperie były z welwetu. Brązowawe tapety miały delikatnie tłoczoną fakturę worka jutowego. Do tego sofa pokryta beżowym welurem i dwa dobrane do niej fotele, stojące przy ławie o szklanym blacie i mosiężnych nóżkach. Na ścianie niskonakładowe odbitki grafiki współczesnych artystów. Wszystko ze smakiem, pasujące do domowego wnętrza, i drogie.

Na prośbę Preduskiego Graham usiadł w jednym z foteli.

Sarah Piper siedziała na końcu sofy. Wyglądała tak samo bogato, jak ten pokój. Nosila spodnie i żakiet z ciemnobłękitnej dzianiny z zieloną lamówką, złote kolczyki i elegancki zegarek, cieniutki jak moneta pięćdziesięciocentowa. Nie miała więcej niż 25 lat; była porywająco piękną, dobrze zbudowaną, doświadczoną blondynką.

Przed chwilą skończyła płakać. Oczy miała podkrążone i zaczerwienione. Ale już kontrolowała swoje zachowanie.

— Dopiero co mnie pan przesłuchiwał — powiedziała.

Preduski usiadł koło niej na sofie.

— Wiem — powiedział. — Bardzo mi przykro. Naprawdę. Wiem, że już panią przesłuchiwałem. Lecz zadając te same pytania po raz drugi, a nawet trzeci, zawsze można uzyskać nowe szczegóły. Myśli pani, że mi pani podała już wszystkie mające związek ze sprawą fakty? Ale możliwe, że coś pani przeoczyła. Tak jak ja. Zawsze coś przeoczę. Te pytania mogą się pani wydać zbyteczne, ale mam już taką metodę. Powtarzam wszystkie czynności tyle razy, aż mam pewność, że wszystko zrobiłem dobrze. Nie jestem bynajmniej z tego dumny. Po prostu taki jestem. Inny detektyw poprzestałby na jednym przesłuchaniu. Ale nie ja, niestety. Miała pani pecha, że telefon zadzwonił w czasie, kiedy miałem dyżur. Musi mnie pani teraz cierpliwie znieść. Już niedługo zwolnię panią do domu. Obiecuję.

Kobieta spojrzała na Grahama i zadarła głowę w niemym pytaniu: „Czy ten facet mówi serio?”

Graham uśmiechnął się.

— Jak długo znała pani ofiarę? — spytał Preduski.

— Około roku — odpowiedziała.

— Czy dobrze ją pani znała?

— Była moją najlepszą przyjaciółką.

— Czy myśli pani, że była dla niej również jej najlepszą przyjaciółką?

— Pewnie! Byłam jej jedyną przyjaciółką!

Preduski podniósł brwi.

— Czy ludzie jej nie lubili?

— Oczywiście, że lubili ją — powiedziała Sarah Piper. — Czego można w niej było nie lubić? Ona po prostu nie zawierała łatwo znajomości. Była spokojną dziewczyną. Zamkniętą w sobie.

— Gdzie się panie poznały?

— W pracy.

— To znaczy gdzie?

— Wie pan przecież! W „Rhinestone Palace”.

— Co ona tam robiła?

— To też pan wie.

Preduski pokiwał głową i po ojcowsku poklepał ją po kolanie.

— Zgadza się. Wiem. Ale pan Harris nie wie. Zapomniałem go przedstawić. Moja wina. Przepraszam. Czy powie mu pani?

Odwróciła się w stronę Grahama.

— Edna była striptizerką. Tak jak ja.

— Znam „Rhinestone Palace” — powiedział Graham.

— Był pan tam kiedyś? — spytał Preduski.

— Nie, ale wiem, że to lokal wysokiej kategorii, nie tak, jak większość klubów ze striptizem.

Przez chwilę wodniste oczy Preduskiego nabrały ostrego wyrazu. Wlepił wzrok w Grahama.

— Edna Mowry była tancerką striptizową. Co pan na to?

Graham wiedział dokładnie, o czym myślał detektyw. W programie telewizyjnym powiedział, że nazwisko ofiary brzmi Tancerz. Nie było to w rzeczywistości takie nazwisko, ale Graham nie mylił się aż tak bardzo, zarabiała ona bowiem na życie jako t a n c e r k a.

Sarah Piper zeznała, że Edna przyszła do pracy o piątej po południu. Występowała przez następne siedem godzin, w dziesięciominutowych seansach po dwa na godzinę, pozbywając się coraz to innych kostiumów, by wreszcie zostać zupełnie nagą. Pomiedzy seansami, ubrana w czarną suknię koktajlową, pod którą jednak nic nie miała, zmieszana z tłumem gości, głównie mężczyzn, roznosiła drinki. Ostatni seans zakończyła za dwadzieścia dwunasta i opuściła „Rhinestone Palace” nie dalej jak pięć minut później.

— Myśli pani, że pojechała od razu do domu? — spytał Preduski.

— Zawsze jeździła od razu do domu — powiedziała Sarah. — Nigdy nie chodziła się zabawić. „Rhinestone Palace” to było całe jej nocne życie. Nikt nie może Ednie nic zarzucić.

Głos Sarah się załamał, jakby znów miała zacząć płakać. Preduski wziął ją za rękę i pogłaskał dobrotliwie. Nie protestowała, co wyraźnie sprawiło mu przyjemność, niewinną przyjemność.

— Czy tej nocy pani też występowała?

— Tak, do dwunastej.

— O której tu pani przyszła?

— Za piętnaście trzecia.

— Po co tu pani przyszła o tej porze?

— Edna lubiła siedzieć i czytać całą noc. Nigdy nie kładła się spać przed ósmą lub dziewiątą rano. Często do niej wpadałam, to na śniadanie, to na plotki.

— Zdaje się, że już mi pani o tym mówiła. — Preduski zrobił głupią minę, która wyrażała połączenie zmieszania, przeprosin i frustracji. — Przepraszam. Mam pamięć jak sito. Ale dlaczego nie przyszła tu pani po pracy, zaraz po dwunastej?

— Miałam spotkanie — powiedziała.

Graham mógł z wyrazu jej twarzy i intonacji słowa „spotkanie” wywnioskować, że było to płatne spotkanie z klientem. Trochę go to zmartwiło, bo już ją polubił. Nie mógł jej pomóc, ale polubić mógł. Przechwycił fale, które emitowała, słabe fale, na progu słyszalności. Były pozytywne, miłe i ciepłe. Sarah była cholernie miłą istotą. Wiedział o tym. I nie chciał, by stało się z nią coś złego.

— Czy Edna też miała wtedy spotkanie? — spytał Preduski.

— Nie. Mówiłam panu, że wróciła prosto do domu.  
— Może jej przyjaciel czekał na nią w domu.  
— Nie miała teraz nikogo.  
— Może jej były przyjaciel wpadł, żeby porozmawiać.  
— Nie. Pierwszy lepszy nie mógł tak po prostu do niej wpaść. Bardzo starannie dobierała sobie mężczyzn.

Preduski westchnął, potarł nos i pokręcił głową.

— Bardzo nie lubię zadawać tych pytań... Była pani jej najlepszą przyjaciółką. Nie chcę przez to powiedzieć... Proszę mnie zrozumieć... Ja nie chcę jej oczernić. Ale życie jest brutalne. Wszyscy musimy czasem robić rzeczy, których wolelibyśmy nie robić. Ja też nie jestem dumny z każdego dnia w moim życiu. Bóg mi świadkiem. Moje motto brzmi: „Nie sądź nigdy przedwcześnie”. Tylko jednego rodzaju przestępstwa nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć. Morderstwa. Więc, choć bardzo nie lubię zadawać tych pytań... muszę wiedzieć... czy była... czy kiedykolwiek miała...

— Czy była prostytutką? — pomogła mu Sarah bez ogródek.

— Oj, nie chciałem tego wyrazić tak brutalnie. To takie brzydkie słowo!

— Niech się pan nie przejmuj — powiedziała uśmiechając się słodko. — Nie jestem obrażona.

Grahama rozbawił widok Sarah głaszczącej detektywa po dłoni. Teraz ona jego uspokajała.

— Czasami zarabiam trochę szmalu dając dupy — powiedziała. — Nie za często. Może raz na tydzień. Musi mi się facet podobać i mieć luźne dwieście papierów. To dla mnie naprawdę taki sam sposób zarabiania pieniędzy, co striptiz. Ale Edna nie potrafiła tego robić. Była bardzo dumna.

— Nie powinienem był pytać. To nie mój interes — powiedział Preduski. — Ale przyszło mi do głowy, że w jej zawodzie może zdarzyć się wiele pokus dla dziewczyny potrzebującej pieniędzy.

— Ona zarabiała osiemset dolarów tygodniowo na striptizie i robieniu drinków — powiedziała Sarah. — A wydatki miała niewielkie — książki i czynsz. Resztę odkładała do banku. Nie potrzebowała więcej pieniędzy.

Preduski był przygnębiony.

— Wie pani, dlaczego musiałem o to zapytać? Bo jeśli otworzyła drzwi mordercy, to musiał to być ktoś, kogo znała, choćby przelotnie. W całej tej historii największe trudności sprawia mi znalezienie odpowiedzi na pytanie, co robi Rzeźnik, że wszystkie otwierają mu drzwi?

Graham nigdy o tym nie pomyślał. Ofiary zawsze były młode, ale nie głupie. Reprezentowały różne zawody: jedna była prawniczką, dwie — nauczycielkami, trzy — sekretarkami, były też, po jednej, modelka, sprzedawczyni i gospodyni domowa. Co Rzeźnik robił, że różne kobiety otwierały mu późną nocą swe drzwi?

Stół kuchenny był zaśmiecony resztkami pośpiesznie przyrządzanego i pośpiesznie spożytego posiłku. Okruchy chleba. Wyschnięty brzeg zapiekanki. Rozlana musztarda i majonez. Dwa ogryzki jabłka. Otwarta i opróżniona puszka brzoskwiń w syropie. Nóżka kury ogryziona do kości. Na wpół zjedzone ciastko. Trzy puszki po piwie. Rzeźnik był żarłoczny i nieporządny.

— Dziesięć morderstw — powiedział Preduski — i zawsze potem szedł do kuchni coś zjeść.

Otępiony atmosferą panującą w kuchni, niezwykle silną, natrętną obecnością psychiczną mordercy, która była tu nie mniejsza niż w sypialni ofiary, Graham pokiwał tylko głową. Jego uwagę zwrócił fakt, że zwykle kuchnie ofiar były utrzymane w porządku, a tu taki bałagan... Puszki po brzoskwiń i piwie pokryte były czerwonymi plamami, morderca jadł i pił nie zdjawszy zakrwawionych rękawiczek.

Preduski powlókł się smutny do okna koło zlewozmywaka. Spojrzał na sąsiedni dom.

— Rozmawiałem z paroma psychiatrami o tych ucztach, które morderca urządza sobie po robocie. Podobno są dwa różne rodzaje zachowań psychopatów po dokonaniu zbrodni. Pierwsze reprezentuje typ łagodny. Zabijanie jest dla niego wszystkim, największym celem w życiu, jego jedynym bodźcem i pożądanym. Kiedy skończy mordować, nie ma już nic więcej do zrobienia i sam dla siebie jest nikim. Wraca do domu, ogląda telewizję. Dużo śpi. Zapada w głębokie znużenie do czasu, kiedy napięcie znowu wzrasta i znów rusza zabijać. Typ drugi to człowiek pobudliwy. Pobudza go to, że zabił. Samo zabijanie nie wzbudza w nim żadnych emocji. Dopiero po dokonaniu morderstwa wzrasta u niego poziom adrenaliny, puls i apetyt. Żre jak drwal i czasami bierze kurwy, nawet kilka naraz. My mamy najwyraźniej do czynienia z typem drugim. Z wyjątkiem tego, że...

— Że co? — spytał Graham.

Preduski odwrócił się od okna i powiedział:

— W siedmiu domach istotnie zrobił sobie wielkie żarcie. Ale w pozostałych trzech przypadkach wyjął żywność z lodówki i tylko pozorował jedzenie.

— Pozorował? Nie rozumiem.

— Ofiara numer pięć, pani Liedstrom — powiedział Preduski. Zamknął oczy i zaczął sobie przypominać jej skrwawione ciało. „Już wiedzieliśmy o jego obyczaju i natychmiast poszliśmy sprawdzić kuchnię. Na stole znaleźliśmy puszkę po gruszkach w syropie, opakowanie po twarożku, ogryzek jabłka i parę innych rzeczy. Ale nie było żadnego bałaganu. Pierwsze cztery razy był nieporządny, tak jak ostatnio. Ale w kuchni pani Liedstrom nie zostawił zbyt dużo śmieci. Nie poplamiał też nic masłem, musztardą, majonezem ani keczupem. Nie zostawił śladów krwi na puszcze po piwie”.

Preduski otworzył oczy i podszedł do stołu.

— W dwóch spośród czterech pierwszych kuchni znaleźliśmy niedbale ogryzione jabłka. — Tu wskazał na ogryzek leżący przed nim na stole. — Tak jak ten. W laboratorium zbadali nawet ślady zębów. Ale w kuchni tej Liedstrom starannie obrał jabłko. Skórka i jądro z pestkami leżały na brzegu talerzyka. To była duża różnica w porównaniu z innymi kuchniami. Zastanawiam się teraz, dlaczego cztery razy żarł jak człowiek pierwotny, a piąty — jak dżentelmen? Kazałem chłopcom pogrzebać w worku na śmieci. Zrobili testy i okazało się, że każdy z ośmiu rodzajów wyrzuconej żywności znalazł się w śmieciach w ciągu ostatnich kilku godzin przed naszym przyjazdem. Krótko mówiąc — Rzeźnik nie zjadł w kuchni pani Liedstrom ani kęsa. Wyjął żywność z lodówki i wyrzucił ją do worka na śmieci. Potem urządził stół tak, aby wyglądało na to, że w rzeczywistości jadł. To samo uczynił w przypadku zbrodni numer siedem i osiem.

Owo dziwne zachowanie szczególnie uderzyło Grahama. Powietrze wydało mu się jeszcze bardziej ciężkie i duszne, niż było do tej pory.

— Powiedział pan, że „wielkie żarcie” po dokonaniu morderstwa było częścią wyładowania psychotycznego.

— Tak.

— Jeśli z jakichś przyczyn nie czuł takiej potrzeby w mieszkaniu pani Liedstrom, to po co zaprzętał sobie głowę pozorowaniem?

— Nie wiem — powiedział Preduski i przetarł ręką twarz, jakby chciał usunąć zmęczenie. — To dla mnie naprawdę za dużo. Jeśli to wariat, to dlaczego nie zawsze wariuje w ten sam sposób?

Graham zawahał się, zanim powiedział:

— Nie sądzę, żeby jakikolwiek biegły sądowy uznał go za chorego umysłowo.

— Że co proszę?

— Co gorsza, nawet najlepszy psychiatra — o ile nie poinformowany byłby o morderstwach — uznałby postępowanie tego człowieka za dużo bardziej rozsądne i rzeczowe, niż wielu z nas.

Preduski zamrugał oczami zaskoczony.

— Do diaska, facet tnie dziesięć kobiet tak, że nie nadają się do użytku, a pan twierdzi, że to nie jest wariat?

— Tak samo zareagowała moja przyjaciółka, gdy jej to powiedziałem.

— Nie dziwię się.

— Ale ja nie zmienię zdania. Może on jest szalony. Ale w żaden tradycyjny, łatwy do zauważenia sposób. To zupełnie nowa jakość.

— Tak pan to... wyczuwa?

— Tak.

— Parapsychologicznie?

— Tak.

- Czy może pan podać jakieś dokładniejsze szczegóły?
- Niestety nie.
- Coś jeszcze pan wyczuwa?
- Tylko to, co pan już słyszał u Prine'a w programie telewizyjnym.
- Nic więcej?
- Nie.
- Jeśli on nie jest chory umysłowo, to musi być jakiś inny powód tego, że zabija — powiedział Preduski po chwili zastanowienia. — Musi być jakiś związek między jego psychiką a tym, co robi. Zdaje się, że to chciał pan powiedzieć?
- Tak myślę.
- Ale ja nie wiem, jaki to może być związek.
- Ja też nie wiem.
- Szukałem już motywu. Naprawdę. I miałem nadzieję, że coś się tu panu nasunie. Na przykład trzymając zakrwawione rzeczy ofiary. Albo patrząc na ten bałagan na stole.
- Nic nie widzę — powiedział Harris. — Dlatego mógłbym się zgodzić na hipotezę, że Rzeźnik jest zarówno chory umysłowo, jak i zdrowy. Ta sytuacja tworzy pewną nową jakość. Zwykle gdy oglądam lub dotykam rzeczy związane z morderstwem, potrafię przechwycić motyw, który stał za zbrodnią. To tak, jakby zanurzyć się w rzekę brutalnych myśli, sensacyjnych obrazów... Tym razem wszystko, co mogę pochwycić, to zimna diabelska logika. Nigdy nie miałem tylu kłopotów biorąc na muszkę tego typu przestępcę.
- Ja też — powiedział Preduski. — Nigdy nie mówiłem, że jestem Sherlock Holmes. Nie jestem genialny. Pracuję powoli. Zawsze pracowałem powoli. I zawsze miałem szczęście. Bóg mi świadkiem. Dzięki szczęściu raczej, a nie zdolnościom, miałem zawsze wysoki wskaźnik wykrywalności sprawców przestępstw. Ale tym razem nie mam szczęścia. Nic a nic. Może powinienem odejść już na emeryturę.

Graham zostawił Irę Preduskiego w kuchni, zadumanego nad resztkami makabrycznej wieszery Rzeźnika i, kierując się do wyjścia, wszedł do salonu. Siedziała tam na sofie, z nogami opartymi o ławę, Sarah Piper, której detektyw jeszcze nie zwolnił. Paliła papierosa i patrzyła w sufit, a kółka dymu ulatywały nad jej głową jak aureole świętej. Była odwrócona plecami do Grahama.

Przez moment, kiedy na nią patrzył, przed oczami mignął mu oślepiający, bardzo intensywny i zapierający dech w piersiach obraz: *Sarah Piper cała we krwi*.

Zatrzymał się. Był wstrząśnięty. Czekał na dalszy ciąg wizji.

Ale to już było wszystko.

Natężył umysł. Chciał wychwycić więcej szczegółów z tego pojedynczego obrazu.

Nic. Tylko jej twarz. I krew. Wizja minęła równie szybko, jak się pojawiła.

Spostrzegła jego obecność. Obejrzała się i powiedziała:

— Hej!

Oblizął wargi i wymusił uśmiech.

— Pan to wszystko przewidział? — spytała wskazując ręką na sypialnię.

— Niestety tak.

— To straszne.

— Chciałbym pani powiedzieć...

— Tak?

— ...że miło mi było panią poznać.

Też się uśmiechnęła.

— Wolałbym w innych okolicznościach — dodał wymijająco i zastanowił się, jak jej powiedzieć o swojej krótkiej wizji, i czy w ogóle jej powiedzieć.

— Może...

— Może co...?

— Może spotkamy się w innych okolicznościach.

— Panno Piper, niech pani będzie ostrożna.

— Zawsze jestem ostrożna.

— Ale w ciągu najbliższych kilku dni, niech pani będzie szczególnie ostrożna.

— Po tym, co dziś zobaczyłam — powiedziała nie uśmiechając się już — może pan wierzyć, że będę.



# 7

Mieszkanie Franka Bollingera, położone koło Metropolitan Museum of Art, było małe i urządzone po spartańsku. Ściany sypialni pomalowano na kolor kakaowy, drewnianą podłogę wyfroterowano i zostawiono gołą. Jedynymi meblami w pokoju były: królewskie łóże, szafka nocna i przenośny telewizor. W szafie Bollinger zamontował półki, na których trzymał swoje rzeczy. W salonie była taka podłoga jak w sypialni, ale ściany białe. Jako jedyne meble stały tam: kanapa z czarnej skóry, wiklinowe krzesło z czarną tapicerką, lustrzany stolik i zapełnione książkami półki. Kuchnia była wyposażona standardowo, do tego był tam jeszcze mały stolik i dwa krzesła z prostymi oparciami. Okna chroniły wszędzie żaluzje zamiast zasłon. Mieszkanie bardziej przypominało mnisią celę niż dom, ale on tak lubił.

W piątek o dziewiątej rano wstał z łóżka, wziął prysznic, włączył telefon i zaparzył imbryk kawy.

Do domu wrócił bezpośrednio od Edny Mowry i resztę nocy spędził pijąc szkocką whisky i czytając poezje Blake'a. Gdy doszedł do połowy butelki, był już szczęśliwy, choć wcale nie pijany. Poszedł wtedy do łóżka i zasnął recytując strofy z „The Four Zoas”. Gdy po pięciu godzinach obudził się, czuł się świeży i czysty, jak nowo narodzony.

Właśnie nalewał sobie pierwszą filiżankę kawy, gdy zadzwonił telefon.

— Halo?

— Dwight?

— Tak.

— Tu Billy.

— Wiem.

Dwight to było jego drugie imię (naprawdę nazywał się Franklin Dwight Bollinger), które dostał po dziadku ze strony matki, zmarłym, zanim Frank skończył rok. Dopóki nie spotkał i nie poznał bliżej Billy'ego, tylko babcia używała jego drugiego imienia. Gdy miał cztery lata, opuścił ich ojciec, a matka odkryła, że czteroletnie dziecko nie pasuje do rozgorączkowanego życia towarzyskiego rozwódki. Swoje dzieciństwo spędził u babci, z wyjątkiem kilku pełnych przerw miesięcy, kiedy jego matka, powodowana nieczystymi wyrzutami sumienia, zdobywała się na wybuchy uczuć i zabierała go do siebie. Babcia nie tylko godziła się na opiekę przez resztę czasu, ale wprost hołubiła swego wnuka. Traktowała go jak oczko w głowie, więcej... jak pępek świata!

— Franklin to takie zwyczajne imię — mawiała. — Za to Dwight... To jest coś! To imię twojego dziadka, a to był cudowny człowiek. Nie taki, jak wszyscy ludzie. On był nieprzeciętny! Wyrośnij na takiego, jak on, trzymaj się na osobności, bądź ponad wszystkich i wszystko, ważniejszy od reszty! Niech wszyscy wołają na ciebie Frank. Dla mnie zawsze będziesz Dwight.

Babcia umarła przed dziesięcioma laty. Przez dziewięć i pół roku nikt nie nazywał go Dwight, potem — sześć miesięcy temu — spotkał Billy'ego. Billy rozumiał, co to znaczy być kimś nieprzeciętnym, ponad resztę. Billy też był ponad resztę i miał prawo mówić mu Dwight. Frank lubił słuchać, jak Billy powtarza jego drugie imię. To był klucz do jego duszy, wywalacz przyjemności, który zawsze unosił go ponad przeciętność. To imię przypominało mu, że przeznaczony był wartościom nadrzędnym.

— Dzwoniłem do ciebie wcześniej parę razy — powiedział Billy.

— Wyłączyłem telefon, żeby móc w spokoju napić się szkockiej i pójść spać.

— Widziałeś już dzisiejsze gazety?

— Dopiero wstałem.

— O Harrisie jeszcze nic nie słyszałeś?

— Kto to jest?

— Graham Harris. Jasnowidz.

— Nie, nic nie słyszałem. A bo co?

— Kup sobie gazety, Dwight. A potem spotkajmy się, najlepiej na lunch. Dzisiaj nie pracujesz, prawda?

— W czwartki i piątki nigdy nie pracuję. A co się stało?

— Dowiesz się z „Daily News”. Nie zapomnij kupić. A na lunch spotkajmy się w „Leopardzie” o wpół do dwunastej.

Bollinger zmarszczył brwi i powiedział:

— Słuchaj...

— O wpół do dwunastej, Dwight.

Billy odłożył słuchawkę.

Dzień był posępny i zimny. Wielkie, czarne chmury sunęły z północy tak nisko, że prawie dotykały dachów najwyższych budynków.

Trzy przecznice przed restauracją Bollinger wysiadł z taksówki i poszedł do kiosku kupić „Daily News”. Miał na sobie kilka swetrów, gruby płaszcz, rękawiczki, szalik, wełnianą czapkę narciarską i wyglądał w tym jak mumia.

Dolną połowę tytułowej strony gazety zajmowało zdjęcie Edny Mowry dostarczone przez „Rhinestone Palace”. Była na nim czarująco uśmiechnięta. Górna połowa strony wołała wielkimi, drukowanymi literami:

RZEŹNIK ZABIŁ DZIESIĄTĄ OFIARĘ

JASNOWIDZ PRZEWIDZIAŁ MORDERSTWO.

Bollinger doszedł do rogu i przewrócił stronę. Czekał na przejściu dla pieszych, aż zapali się zielone światło, zaczął czytać dotyczący siebie artykuł. Ale wiatr bił mu prosto w oczy tak, że zaszyły łzami, i szarpał gazetę czyniąc lekturę niemożliwą.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i schował się w podcieniach biurowca. Wciąż szczękał zębami z zimna, ale tu już nie wiał wiatr, więc mógł spokojnie przeczytać o Grahama Harrisie i programie „Manhattan o północy”.

Harris powiedział, że Rzeźnik ma na imię Dwight i że policja go dobrze zna.

Jezu! Skąd ten skurwysyn tyle o nim wie? Siły parapsychologiczne? To gówno war-  
te! To bajeczki dla małych dzieci! A może jednak nie?

Bollinger wyszedł na ulicę lekko strwożony, wyrzucił gazetę do najbliższego kosza na śmieci, skulił ramiona przed wiatrem i pośpieszył na spotkanie.

„Leopard” to miły lokal na Pięćdziesiątej Ulicy przy Drugiej Alei. Jest w nim wprawdzie tylko kilka stolików, ale za to serwują wyśmienite potrawy. Powierzchnia restauracji nie przekraczała rozmiarów przeciętnego salonu. Na środku stał szkaradny kwietnik ze sztucznymi kwiatami, ale był to jedyny odrażający element w ogólnie ładnym wystroju.

Billy siedział przy oknie. Za godzinę w „Leopardzie” roić się będzie od hałaśliwie zachowujących się klientów, urzędników z biur i sal konferencyjnych. Za piętnaście minut zaczną przychodzić pierwsi z nich, a na razie Billy był tu jedynym klientem. Bollinger usiadł na wprost niego. Podali sobie ręce i zamówili drinki.

— Okropna pogoda — powiedział Billy z silnym akcentem Południowca.

— Tak.

Patrzyli na siebie sponad wazonika z różą, który stał na stoliku.

— Okropne wiadomości — odezwał się Billy.

— Tak.

— Co o tym myślisz?

— Ten Harris jest niewiarygodny! — powiedział Bollinger.

— Dwight, nikt oprócz mnie nie zna twojego drugiego imienia, jesteś bezpieczny.

— Moje drugie imię jest na wszystkich dokumentach, nie mówiąc już o kwestionariuszu osobowym w moim Wydziale.

Rozkładając serwetkę, Billy powiedział:

— Nikt nie podejrzewa, że morderca jest policjantem.

— Harris powiedział, że policja zna Rzeźnika.

— Będą myśleli, że chodzi o kogoś, kto już jest na liście podejrzanych.

Bollinger zmarszczył czoło i powiedział:

— Jeśli poda im jeszcze jeden szczegół, jeszcze jeden punkt zaczepienia, to jestem zgubiony.

— Myślałem, że nie wierzysz w jasnowidzów.

— Też myślałem, że nie wierzę, ale ty miałeś rację. Zwracam honor.

— Przyjmuję — powiedział Billy uśmiechając się lekko.

— Ten Harris... Czy można się z nim jakoś... dogadać?

— Nie.

— Nie zrozumiałby?

— On nie jest jednym z nas.

Kelner przyniósł drinki.

Gdy odszedł, Bollinger powiedział:

— Nigdy nie widziałem tego Harrisa. Jak on wygląda?

— Później ci go opiszę. A teraz powiedz mi może, jeśli nie masz nic przeciwko temu, co zamierzasz dalej robić.

Bollinger jeszcze o tym nie myślał. Ale odpowiedział bez wahania:

— Zabić go.

— Aha — powiedział cicho Billy.

— Sprzeciwiasz się?

— Ależ skąd!

— To dobrze! — Bollinger wychylił pół przyniesionej przez kelnera szklaneczki.

— Bo i tak bym to zrobił.

Podszedł drugi kelner, by przyjąć zamówienie.

— Jeszcze nie wybraliśmy. Niech pan przyjdzie za pięć minut — powiedział Billy, a gdy kelner oddalił się, spytał: — Czy zamierzasz zabić go w tym samym stylu, w jakim Rzeźnik zwykł mordować kobiety?

— Czemu nie?

— No tak... Ale on jest mężczyzną...

— To jeszcze bardziej zdezorientuje policję — powiedział Bollinger.

— Kiedy chcesz to zrobić?

— Dzisiaj wieczorem.

— Nie sądzę, żeby mieszkał samotnie... — powiedział Billy.

— Mieszka z matką? — spytał kwaśno Bollinger.

— Nie, chyba z kochanką.

— Młodą?

— Chyba tak.

— Ładną?

— Harris wygląda na mężczyznę o dobrym smaku.

— No, to klawo! — powiedział Bollinger.

— Wiedziałem, że ci to przyjdzie do głowy.

— To będzie podwójna przyjemność — powiedział Bollinger i uśmiechnął się cynicznie.

## 8

- Detektyw Preduski na linii, panie Harris.
- Proszę łączyć. Słucham.
- Przepraszam, że cię niepokoję, Graham. Czy możemy przejść na ty? Czy mogę mówić ci Graham?
- Jasne.
- Mów mi Ira.
- To dla mnie zaszczyt.
- Jesteś bardzo miły. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.
- Nie.
- Wiem, że jesteś ciągle zajęty. A może zadzwonię później? Albo może byłoby ci wygodniej, gdybyś sam za jakiś czas oddzwonił?
- Nie przeszkadzasz mi. Czym mogę ci służyć?
- Pamiętasz te napisy krwią na ścianie w mieszkaniu Edny Mowry?
- Oczywiście, że pamiętam.
- Od kilku godzin usiłuję ustalić, skąd pochodzą te strofy i...
- Wciąż jesteś na służbie? Już druga po północy!
- Nie, nie... Jestem w domu.
- Nie poszedłeś spać?
- Nie mogę, choćbym chciał. Od dwudziestu lat nie sypiam więcej niż cztery, pięć godzin na dobę. Wiem, że nie jest to najkorzystniejsze dla mojego organizmu. Ale w głowie mi ciągle huczy. Pełno w niej różnego rodzaju śmieci, bezużytecznych informacji, które nie pozwalają mi zasnąć. Myślę wtedy o różnych rzeczach, jak na przykład te cholerne napisy w mieszkaniu Edny. Dziś w ogóle nie spałem.
- I może coś wymyśliłeś?
- Mówiłem ci już w nocy, że coś mi świta. „Zaryczy i wystrzeli ogień w brzemienym powietrzu, głodne chmury pochłoną ziemię”. Jak tylko to zobaczyłem, powiedziałem sobie: „Ira, to na pewno coś z Williama Blake’a”. Widzisz, gdy byłem przez ten rok w college’u, moim głównym przedmiotem była literatura. Pisałem referat o Blake’u. To było dwadzieścia pięć lat temu. Rozumiesz, do czego zmierzam? Dzięki śmietnikowi w głowie pamiętam najbardziej bezużyteczne rzeczy. Dziś rano kupiłem sobie tom poezji i prozy Blake’a. Byłem pewny, że znajdę tam znane nam wersy. I znalazłem! W wierszu „Dyskusja” z cyklu „Mariaż Niebios z Piekłem”. Znasz Blake’a?

- Raczej nie.
- Był mistykiem i medium.
- Jasnowidz?
- Nie, ale skłaniał się ku parapsychologii. Uważał, że człowiek jest na tyle potężny, by być bogiem. Większy okres swej twórczości był poetą chaosu i zagłady, ale i tak u podstaw jego poezji leżał nieodparty optymizm. Czy pamiętasz, co Rzeźnik napisał na drzwiach do łazienki?
- Tak. „Lina rozwieszona nad przepaścią”.
- Wiesz, skąd to pochodzi?
- Nie.
- Ja też. Mam w głowie śmietnik. Nie ma w niej miejsca na nic istotnego. Poza tym nie mam solidnego wykształcenia. W ogóle nie mam wykształcenia. Zadzwoiłem więc do kolegi, który jest profesorem na Wydziale Anglistyki Uniwersytetu Columbia. On też nie wiedział, skąd pochodzi ten wers, ale pokazał go innym profesorom. Jeden z nich zaskoczył, wziął słownik filozoficzny i znalazł pod jednym z haseł następujący ustęp: „Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem i Nadczłowiekiem, jest liną rozwieszoną nad przepaścią”.
- Czyje to zdanie?
- Ulubionego filozofa Hitlera.
- Nietzschego?
- Znasz jego prace?
- O tyle, o ile.
- Wierzył, że ludzie mogą stać się bogami lub że przynajmniej pewni ludzie mogą być bogami w swym społeczeństwie, które pozwoli im wyrastać i wzmacniać siły. Wierzył, że ludzkość ewoluuje w stronę boskości. Widzisz, pomiędzy Blakiem a Nietzschem jest pewne podobieństwo. Dlatego Rzeźnik mógł zacytować obu. Ale jest pewien problem, Graham.
- Jaki problem?
- Blake był zawsze optymistą, Nietzsche — niepoprawnym pesymistą. Blake myślał, że ludzkość ma przed sobą świetlaną przyszłość. Nietzsche też uważał, że ludzkość powinna czekać świetlaną przyszłość, ale twierdził, że zanim to nastąpi, zanim ludzkość wykształci Nadczłowieka, sama się unicestwi. Blake nie stronił od kobiet. Nietzsche gardził nimi. Uważał, że kobiety są jedną z największych przeszkód stojących na drodze mężczyzny do stania się bogiem. Chwytasz już, do czego zmierzam?
- Twierdzisz, że jeśli Rzeźnik czerpie inwencję z filozofii Blake’a i Nietzschego, to jest schizofrenikiem?
- Sam przecież powiedziałeś, że on nie jest chory!
- Poczekaj chwilę...
- Minionej nocy...

— Powiedziałem tylko, że jeśli jest szaleńcem, to w zupełnie nowym wydaniu. Powiedziałem, że nie jest szalony w tradycyjnym pojęciu.

— Co wyklucza schizofrenię?

— Chyba tak, Ira.

— Myślę, że to dobry trop... może się myłę... Bóg jeden wie... ale może on uważa się za nietzscheańskiego Nadczłowieka? Psychiatra nazwałby to manią wielkości, tak charakterystyczną dla schizofrenii i paranoi. Czy wciąż myślisz, że Rzeźnik wypadłby negatywnie w testach psychiatrycznych?

— Tak.

— Czujesz to swoimi nadzmysłami?

— Tak

— Czy kiedykolwiek cię one zawiodły?

— Właściwie nie. Tyle że Ednę Mowry nazwałem Edną Tancerz.

— No tak, wiem, że cieszysz się bardzo dobrą reputacją. Wiem, że jesteś znany z nieomyślności. Nie chcę nic sugerować. Rozumiesz mnie? Ale powiedz... czy ja zmierzam we właściwym kierunku?

— Nie wiem.

— Graham... Jeśli byś usiadł w fotelu z tomikiem poezji Blake'a w ręce, gdybyś poświęcił na przeczytanie go chociaż godzinę, może by cię to pchnęło na częstotliwość fal wysyłanych przez Rzeźnika? Może byś wtedy coś wyniuchał, jeśli nie wizję, to chociaż jakieś przeczucie?

— Może...

— A więc, czy wyświadczysz mi przysługę?

— Jaką?

— Wysłałbym do ciebie zaraz gońca z tomikiem poezji Blake'a. Czy poświęciłbyś godzinę na przeczytanie go? Zobaczymy, co się stanie.

— Możesz go dziś wysłać, ale dopiero jutro będę miał czas...

— Chociaż pół godziny!

— Nie mam nawet kwadransa! Muszę skończyć przygotowywanie numeru i jutro rano oddać go do drukarni. Już i tak mam trzy dni spóźnienia. Większą część nocy będę musiał pracować. Ale jutro po południu lub wieczorem poświęcę trochę czasu Blake'owi.

— Dziękuję. Doceniam twoją życzliwość. Naprawdę. I liczę na ciebie. Jesteś mą jedyną nadzieją. Rzeźnik wykracza poza moje możliwości. Jest zbyt sprytny. Drepczę w miejscu. Naprawdę. Jeśli w najbliższym czasie, nie znajdziemy żadnej wskazówki, to będzie z nami źle.

## 9

Paul Stevenson miał na sobie ręcznie tkaną, błękitną koszulę, jedwabny krawat w niebieskie i czarne paski, drogi, czarny garnitur, czarne skarpetki i jasnobrązowe buty zszywane białą nitką. O godzinie czternastej wszedł przygnębiony do biura Anthony'ego Prine'a. Nie zauważył, że Prine skrzywił się na widok jego butów. Ponieważ nie potrafił krzyknąć na Prine'a, zapytał tylko nadąsany:

— Tony, dlaczego masz przede mną tajemnice?

Prine leżał wyciągnięty na kanapie z głową na poduszce tapicerskiej. Czytał „New York Timesa”.

— Jakie tajemnice?

— Dowiedziałem się, że na twoje polecenie kompania wynajęła prywatnych detektywów, żeby węszyli wokół Grahama Harrisa.

— Nie, żeby węszyli, tylko żeby ustalili, co Harris robił i gdzie był w określonych godzinach w określone dni.

— Zażądałeś, żeby nie zbliżali się sami do Harrisa ani jego dziewczyny, a to jest węszenie. I zatrudniasz ich przez czterdzieści osiem godzin na dobę, co potraja koszty. Jeśli chcesz wiedzieć, gdzie bywał, sam go zapytaj.

— Myślę, że nie powiedziała by prawdy.

— Dlaczego miałby kłamać? I dlaczego „określone godziny w określone dni”?

Prine odłożył gazetę, usiadł, potem wstał i przeciągnął się.

— Chcę wiedzieć, gdzie był, kiedy dokonywano tych dziesięciu zabójstw.

Stevenson zdumiał się i zamrugał głupio oczami.

— Po co?

— Jeśli był wtedy sam — w pracy, w kinie, na spacerze — to on mógłby być mordercą.

— Harris? Myślisz, że Harris jest Rzeźnikiem?

— Może.

— Zaangażowałeś detektywów z powodu jednego „może”?

— Mówiłem ci, że od samego początku nie miałem zaufania do tego faceta. I jeśli się nie mylę, to dopiero będziemy mieć bombę!

— Ale Harris nie jest mordercą. On łapie morderców.

Prine podszedł do baru.



— Jeśli lekarz leczy przez tydzień pięćdziesięciu pacjentów z grypy i przez następny tydzień następnych pięćdziesięciu, to czy zdziwiłbyś się, gdyby w trzecim tygodniu sam zaraził się grypą?

— Nie wiem, czy cię dobrze rozumiem...

Prine nalał sobie bourbona.

— Przez całe lata Harris wnikał telepatycznie w najgłębsze warstwy podświadomości morderców i wystawiał się na ich chore fluidy, na fale żonobójców, dzieciobójców, masowych morderców... Na pewno widział więcej krwi i przemocy niż niejeden zawodowy glina. Czy nie brzmi przekonująco wersja, że ten słaby psychicznie człowiek „zaraził się” przemocą, że stał się takim samym szaleńcem, jak ci, których łapał?

— Słaby psychicznie? — Stevenson zmarszczył brwi. — Graham Harris nie jest bardziej słaby psychicznie od ciebie albo ode mnie.

— Jak dobrze go znasz?

— Widziałem go w telewizji.

— Myślę, że trzeba ci wiedzieć trochę więcej. — Prine spojrział na swoje odbicie w lustrze za barem i przejechał dłonią po siwych włosach.

— Na przykład?

— Zabawię się w psychoanalityka amatora, amatora, ale może skutecznego. Graham Harris urodził się w skrajnej nędzy...

— Zaraz... Jego staruszek to był przecież Evan Harris, bogaty wydawca.

— To był jego ojczym. Jego prawdziwy ojciec umarł, gdy Graham miał rok. Jego matka roznosiła w knajpie napoje. Ledwo wiązała koniec z końcem, bo musiała jeszcze płacić zaległe rachunki męża za leczenie. Przez lata żyli z dnia na dzień, na krawędzi nieszczęścia. To wywiera na dziecku piętno.

— Jak spotkała Evana Harrisa? — spytał Stevenson.

— Nie wiem. Ale gdy pobrali się, Graham przyjął nazwisko ojczyma. Resztę dzieciństwa spędził w jego rezydencji. Po skończeniu wyższych studiów miał wystarczająco dużo czasu i pieniędzy, by zostać aktywnym i jednym z najbardziej znanych na świecie alpinistów. Stary Harris sam go zachęcał do uprawiania tego sportu. W pewnych kręgach Graham był sławny, był wprost gwiazdorem. Wyobrażasz sobie, ile pięknych kobiet przyciągają takie wspinaczki?

Stevenson wzruszył ramionami.

— Więcej, niż ci się wydaje — wyjaśnił Prine. — Nie, żeby brać w nich udział, ale żeby kręcić się wokół tych, co sami się wspinają, a dokładniej — żeby wkręcać im się do łóżek. Myślę, że pociąga je bliskość śmierci. Przez ponad dziesięć lat Graham był adorowany i przyzwyczał się do tego. Potem był ten wypadek. Spadł ze skały. Gdy wyszedł ze szpitala, bał się już wspinąć. — Prine słuchał swego własnego głosu zafascynowany teorią, którą wysnuł. — Rozumiesz, Paul? Urodził się nikim, żył przez pierwsze sześć lat jako nikt, potem z dnia na dzień stał się kimś, gdy matka wyszła za Evana Harrisa. Czy można dziwić się, że boi się znów zostać nikim?

Stevenson podszedł do baru i nalał sobie bourbona.

— Jemu raczej nie grozi, że zostanie nikiem. Dostał w spadku majątek ojczyma.

— Pieniądze nie oznaczają sławy. Kiedyś był adorowany, nieważne, że w wąskim kręgu miłośników alpinizmu. Teraz może mu tego jednak brakować. Nie potrafi bez tego żyć. To się zdarza nawet najodporniejszym. Coś o tym wiem.

— Ja też.

— Jeśli to tak się sprawy mają... no, cóż, może stwierdził, że lepsza zła sława niż brak sławy w ogóle. I teraz zachłannie czyta nagłówki gazet — znów się o nim mówi, nawet jeśli w kategoriach *nom de guerre*.

— Ale przecież tej nocy, kiedy została zamordowana Edna Mowry, był z tobą w studiu.

— Może tak, może nie...

— Co? Przecież przewidział jej śmierć!

— Czy aby? A może tylko powiedział nam, kto będzie jego następną ofiarą?

Stevenson patrzył na niego jak na wariata.

Prine zaśmiał się i powiedział:

— Oczywiście, że był ze mną w studiu, ale niekoniecznie w tym samym czasie, kiedy dokonano zabójstwa. Dzięki swoim układowi w policji dostałem kopię sprawozdania koronera. Zgodnie z opinią lekarza Edna Mowry została zamordowana nocą między wpół do dwunastej w czwartek, a pierwszą trzydzieści w piątek. Graham Harris wyszedł ze studia trzydzieści minut po północy. Żeby dostać się do mieszkania Edny, miał godzinę.

Stevenson przełknął bourbona.

— Jezu! Tony, jeśli masz rację i ujawnisz tę historię, to ABC da ci cały program nocny i pozwoli ci go poprowadzić po swojemu na żywo!

— Może...

Stevenson skończył pić bourbona.

— Ale nie masz żadnych dowodów. To jedynie twoja teoria. I to bardzo nierealna. Nie możesz oskarżać człowieka o zbrodnię tylko dlatego, że urodził się w biednej rodzinie. Kurczę, ty miałeś gorsze dzieciństwo, a nie jesteś mordercą.

— Na razie nie mam dowodów — powiedział Prine. „Lecz jeżeli nie da się ich znaleźć — pomyślał — to można je spreparować”.

# 10

Sarah Piper spędziła część piątkowego popołudnia na pakowaniu walizek. Wybierała się na pięć dni do Las Vegas. Ernie Nolan, producent męskiej odzieży, który był na liście jej specjalnych klientów już od trzech lat, jeździł co sześć miesięcy do Las Vegas i zabierał ją ze sobą. Płacił jej 1500 dolarów za czas spędzony z nim w łóżku oraz dodatkowo 500 dolarów na gry hazardowe. Nawet jeśli Ernie byłby troglodytą, to i tak wyjazd z nim oznaczał niezłe wakacje.

Od dziś miała w „Rhinestone Palace” siedmiodniowy urlop i była zadowolona, że nie dała się skusić na jeszcze jeden wieczór występów przed jutrzejszym odlotem, do Vegas. Po powrocie z mieszkania Edny spała tylko dwie godziny, wypełnione koszmarami. Musiała teraz dobrze wypocząć, by jutro być w dobrej kondycji dla Erniego.

W czasie pakowania zastanawiała się, czy brakowało jej Edny. Płakała w nocy, to prawda, i śmierć przyjaciółki głęboko ją dotknęła. Ale już wracała do formy. Cała była podniecona wyjazdem, cieszyła się, że może na jakiś czas opuścić Nowy Jork. Nie czuła się w żaden sposób winna śmierci Edny. Widziała już na świecie tak wiele przemocy, desperacji, egoizmu i wszelkiego rodzaju brudów, że uważała się za usprawiedliwioną, iż nie odczuwa więcej żalu. Tak już ludzie byli stworzeni: dzięki umiejętności zapominania w ciężkich chwilach mogli zachować zdrowe zmysły. Może nie było to zbyt miłe i chwalebne stwierdzenie, ale za to prawdziwe.

O trzeciej zadzwonił jakiś facet. Właśnie zamykała drugą walizkę. Mężczyzna chciał się umówić na wieczór. Nie znała go, ale twierdził, że polecił ją mu jakiś jej stały klient. Choć miał całkiem miły, miękki głos, a mówił z naturalnym akcentem teksańskiego dżentelmena, musiała mu odmówić.

— Jeśli masz inne plany na ten wieczór — powiedział — to może mógłbym je zmienić odpowiednio gratyfikując twój cenny czas.

— Nie mam żadnych planów. Ale rano lecę do Vegas i muszę odpocząć przed podróżą.

— Ile zwykle bierzesz?

— Dwieście, Ale...

— Dam ci trzysta.

Zawahała się.

— Czterysta.

— Mogę ci podać numery telefonów paru koleżanek.

— Chcę spędzić wieczór z tobą. Słyszałem, że jesteś najczulszą kobietą na Manhattanie.

Zaśmiała się.

— Żebyś się nie rozczarował!

— Namysliłem się. A gdy ja się namyszę, to już nic nie jest w stanie zmienić mego zdania. Pięćset dolarów.

— To za dużo. Jeśli...

— Miła pani, pięćset to dla mnie przyszcz. Zbiłem na ropy miliony. Pięćset, przy czym wcale cię nie będę wiązał na cały wieczór. Przyjdę około osiemnastej. Zabawimy się i pójdziemy na kolację. Potem wrócisz do domu i będziesz miała jeszcze mnóstwo czasu, żeby odpocząć przed podróżą do Vegas.

— Nie poddajesz się tak łatwo, prawda?

— To mój znak firmowy. Jestem znany z wytrwałości. U nas to się nazywa: uparty jak osioł.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

— W porządku, wygrałeś. Pięćset. Ale obiecaj, że wrócę do domu przed dwudziestą drugą.

— Słowo honoru — powiedział.

— Nie przedstawiłeś się.

— Plover. Billy James Plover.

— Czy mogę ci mówić Billy James?

— Wystarczy Billy.

— Kto ci mnie polecił?

— Wolę jego nazwiska nie podawać przez telefon.

— W porządku. A więc o osiemnastej.

— Tylko nie zapomnij.

— Nie mogę się już ciebie doczekać — powiedziała.

— Ja też — odparł Billy.

# 11

Chociaż Connie Davis zasnęła i otworzyła swój sklepik dopiero po lunchu, chociaż miała tylko jedną klientkę, to i tak był to dobry dzień w interesach. Sprzedała sześć doskonałych kopii XVII-wiecznych krzesel hiszpańskich. Wykonane były z ciemnego dębu. Miały wygięte w łuk nogi, zakończone rzeźbami szponiastych łap jakiegoś drapieżnika, i oparcia w starannie cyzelowane chimery z głowami demonów wielkości pomarańczy. Kobieta, która nabyła krzesła, posiadała czternastopokojowe mieszkanie z widokiem na Piątą Aleję i Park Centralny, krzesła zaś potrzebowała do pokoju, w którym czasami odbywały się seanse spirytystyczne.

Gdy już została sama, Connie wyszła na zaplecze zrobić sobie kawy. Wyjęła świeżą paczkę i włożyła filtr do ekspresu.

Okna wystawowe zadrżały nagle, jakby ktoś otwierał drzwi. Connie zajrzała do wnętrza sklepu, żeby zobaczyć, czy wszedł klient. Ale w środku nie było nikogo. To ostry, zimowy wiatr szalejący na dworze powodował wibracje szyb.

Usiadła przy swym ulubionym biurku Sheraton z końca lat osiemdziesiątych XVIII wieku i wykręciła prywatny numer w biurze Grahama, pomijając w ten sposób sekretarkę.

— Cześć, Nick — powiedziała, gdy się zgłosił.

— Cześć, Nora.

— Jeśli zrobiłeś już jakieś postępy w pracy, to pozwól zaprosić się wieczorem na kolację. Sprzedałam hiszpańskie krzesła i trzeba to uczcić.

— Obawiam się, że nie będę mógł przyjąć zaproszenia. Mam tyle pracy, że będę jeszcze musiał tu zostać do późna w nocy.

— Czy twój personel nie może tego zrobić w ramach nadgodzin? — spytała.

— Oni już swoje zrobili. Ale znasz mnie. Muszę wszystko sprawdzić dziesięć razy.

— Przyjadę ci pomóc.

— Nie potrafisz.

— No to będę sobie siedzieć w kącie i czytać.

— Connie, będziesz się nudziła. Naprawdę. Jedź do domu i odpocznij sobie. Zjawię się u ciebie koło pierwszej albo drugiej.

— Ale ja nie będę ci przeszkadzać! Naprawdę będzie mi dobrze, gdy usiądę cicho jak myszka i będę sobie coś czytać. Nora potrzebuje dziś swojego Nicka. Przyniosę kolację.

— No, dobrze. Mogłem sobie darować. Wiedziałem od początku, że przyjdiesz.

— Duża pizza i butelka wina. Może być?

— Pewnie!

— O której? — spytała.

— Już raz zasnąłem dziś nad maszyną do pisania. Jeśli mam skończyć dziś tę robotę, to lepiej się prześpię, jak tylko wyjdzie personel. Może przyjdź z tą pizzą o dziewiętnastej trzydzieści?

— Załatwione.

— O dwudziestej trzydzieści będziemy mieli gościa.

— Kogo?

— Detektywa z policji. Chce pogadać o nowych dowodach w sprawie Rzeźnika.

— Preduski? — spytała.

— Nie. Ktoś z jego ludzi. Facet nazwiskiem Bollinger. Dzwonił parę minut temu, że chciałby przyjść dziś wieczorem do mnie do biura. Powiedziałem mu, że ty i ja będziemy pracować do późna w nocy.

— Dobrze przynajmniej, że przyjdzie, gdy już zjemy — powiedziała. — Rozmowa o Rzeźniku przed jedzeniem mogłaby popsuć mi apetyt.

— A więc do zobaczenia wieczorem.

— Śpij słodko, Nick.

Gdy ekspres wycharczał już całą kawę do dzbanka, nalała ją sobie do kubka, dodała śmietanki, wyszła z zaplecza i usiadła na krześle koło pseudogotyckich okien wystawowych. Poprzez zgromadzone przy oknach antyki patrzyła na targaną zimowym wiatrem Dziesiątą Ulicę.

Przechodzili nią różni ludzie ubrani w grube płaszcze, z rękami w kieszeniach i głowami wkulonymi w kołnierze.

Drobniutkie płatki śniegu tańczyły w powietrzu pomiędzy domami i spadały na chodnik.

Łyknęła kawy i zamruczała z zadowoleniem, gdy miłe ciepło rozeszło jej się po ciele.

Pomyślała o Grahamie i poczuła jeszcze większe ciepło. Nic nie mogło jej sprawić przykrości, gdy pamiętała o nim. Żaden wiatr, żaden śnieg, żaden Rzeźnik. Z Grahamem czuła się bezpieczna, nawet z samymi myślami o nim. Wiedziała, że — mimo bojaźni, jaką wyzwolił w nim tamten wypadek — oddałby za nią swe życie, gdyby zaistniała taka konieczność. Ona również oddałaby swe życie za niego. Nie myślała o tym dlatego, że mieliby być narażeni na konieczność tak dramatycznego wyboru. Ale była przekonana, że Graham w przyszłości sam, nie pod presją sytuacji, stopniowo odnajdzie utraconą odwagę.

Nagle wiatr z hukiem uderzył w zimne szyby, zawył, zajęczał i sypnął na nie śniegiem.

# 12

Pokój był długi, wysoki, o beżowych ścianach, oświetlony lampami jarzeniowymi. Na podłodze leżała brązowa wykładzina. We wnętrzu stały dwa metalowe biurka z maszynami do pisania, przyborami biurowymi i wazonikami ze sztucznymi kwiatami. Siedzące tam dwie, dobrze ubrane kobiety sprawiały miłsze wrażenie niż nudna instytucja, w której pracowały. Pięć stolików kawiarnianych ustawiono jeden obok drugiego w rzędzie, tak że siedzący przy nich zawsze byli odwróceny bokiem do biurek. Gdyby nie biurka i rząd stolików z dziesięcioma metalowymi krzesłami w dwóch równych rzędach, można by pomyśleć, że się jest w klasie szkolnej.

Frank Bollinger przedstawił się jako Ben Frank, pracownik jednego z wiodących nowojorskich biur architektonicznych. Poprosił o kompletną dokumentację Bowerton Building, zdjął płaszcz i usiadł przy pierwszym stoliku.

Obie kobiety okazały się nie mniej pracowite, niż na to wyglądały, i natychmiast przyniosły z sąsiedniego archiwum wszystkie materiały dotyczące budynku Bowertona: oryginalne plany, poprawki do planów, kosztorysy, dziesiątki wniosków o różne pozwolenia, rachunki za wykonawstwo, plany przebudowy, zdjęcia, pisma. Był tu każdy niezbędny i dotyczący wieżowca Bowertona dokument, który oficjalnie przeszedł przez którąś z miejskich instancji. Akta stanowiły niezłą furę papierów, a i tak każdy z nich opatrzony był dodatkowo stosowną etykietką porządkową.

Budynek Bowertona wybudowano w 1929 roku na ruchliwym odcinku alei Lexington. Od tego czasu nie dokonano w nim praktycznie żadnych zmian architektonicznych. Był jednym z piękniejszych drapaczy chmur na Manhattanie, zaprojektowanym jeszcze efektowniej niż słynny Chanin Building, stojący zresztą kilka ulic dalej. Ponad rok temu grupa aktywnych obywateli poprowadziła kampanię o uznanie Bowertona za pomnik historii, by w ten sposób ochronić najpiękniejsze elementy architektoniczne budynku przed zapędami modernizacyjnymi, które pojawiały się co pewien czas. Ale dla Bollingera najważniejszym faktem było to, że w Bowertonie swoje biura miał Graham Harris.

Przez godzinę i dziesięć minut Bollinger studiował dokładnie plan budynku. Główne wejścia. Wejścia służbowe. Droga pożarowa. Lokalizacja, budowa szybów i schemat działania szesnastu wind. Lokalizacja dwóch klatek schodowych. Elektroniczny system bezpieczeństwa, oparty głównie na zamkniętym obiegu kamer telewizyjnych, zainsta-

lowany w 1969 roku. Bollinger tak długo wertował papiery, aż był pewny, że nie pominął żadnego szczegółu.

O 16:45 wstał, ziewnął i przeciągnął się. Uśmiechnął się do pań za biurkami i mrużąc z zadowolenia założył płaszcz.

Dwie przecznice za Ratuszem wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do Billy'ego.

— Wszystko sprawdziłem.

— Mówisz o Bowertonie?

— Tak.

— I co myślisz? — spytał Billy lękliwie.

— To się da zrobić.

— O Boże! Jesteś pewny?

— Na razie nie widzę przeszkód.

— Może ci jakoś pomogę. Na przykład...

— Nie — powiedział krótko Bollinger. — Jeśli mnie ktoś zatrzyma, to zawsze mogę wyciągnąć odznakę i powiedzieć, że przyjechałem, bo ktoś dzwonił i złożył skargę, a potem ulotnię się. A jakby nas obu zatrzymali, to jak byś wyjaśnił swoją obecność?

— Chyba masz rację.

— Zostańmy więc przy moim planie.

— W porządku.

— Czekać w umówionym miejscu o dziesiątej.

— A jeśli dopiero w środku zorientujesz się, że nie dasz rady? — spytał Billy. — Nie chciałbym tak długo czekać.

— Jeśli miałbym nie dać rady — powiedział Bollinger — to zadzwonię do ciebie na długo przed dziesiątą. Ale jeśli nie będzie ode mnie telefonu, to bądź tam.

— Oczywiście. A co mi pozostaje innego? Ale nie będę czekał dłużej niż do dwudziestej drugiej trzydzieści. Nie mogę dłużej czekać.

— To wystarczy.

Billy odetchnął z ulgą.

— Zdaje się, że postawimy to miasto na głowie?

— Jutro w nocy nikt nie będzie spał.

— Czy wiesz już, co napiszesz na ścianie?

Bollinger odczekał, aż hałasujący autobus minie budkę. Mądrze wybrał cytat i chciał, żeby Billy to docenił.

— Mam długi kawałek z Nietzschego. „Chcę dotrzeć do istoty ludzkiej egzystencji, którą jest Nadczłowiek, czysta istota wyrosła z zepsutego, szarego człowieka”.

— Cudowne! — wykrzyknął Billy. — Sam nie wybrałbym lepiej.

— Dziękuję.



— A Blake?

— Tylko jeden wers z kolejnej, siódmej nocy z „The Four Zoas”: „Serca otwarte ku światłu...”.

Billy zaśmiał się.

— Wiedziałem, że ci się spodoba.

— Rozumiem, że ty też masz zamiar otworzyć im serca?

— Naturalnie — odparł Bollinger. — Serca i całą resztę od gardeł aż po krocze.

# 13

Równo o osiemnastej zadzwonił dzwonek.

Sarah Piper otworzyła drzwi. Jej zawodowy uśmiech zniknął z twarzy, gdy zobaczyła, kto za nimi stoi.

— Co ty tu robisz? — spytała zdziwiona.

— Czy mogę wejść?

— Bo ja wiem...

— Ślicznie dziś wyglądasz. Naprawdę olśniewająco.

Miała na sobie obcisły i cienki kombinezon w kolorze wermutowym. Dekolt, bardzo głęboki, odsłaniał więcej, niż nakazywała przyzwoitość, aczkolwiek było na co popatrzeć. Sarah przezornie przykryła go dłonią.

— Przykro mi, ale nie mogę cię zaprosić. Oczekuję kogoś.

— Mnie oczekujesz — powiedział. — Jestem Billy James Plover.

— Co? Ty się nazywasz inaczej!

— A właśnie, że to jest moje prawdziwe nazwisko! Tyle że nie używam go już od wielu lat.

— Dlaczego nie podałeś mi przez telefon swojego prawdziwego nazwiska?

— Muszę dbać o reputację.

Lekko skonfundowana cofnęła się, wpuściła gościa i zamknęła drzwi. Nie wiedzieć czemu, zdolna była do obcesowości, ale absolutnie nie panowała nad tym, co robi. Spojrzała na niego, zastanawiając się, co powiedzieć.

— Wyglądasz na zaszokowaną, Sarah.

— Tak — powiedziała — chyba jestem trochę zaskoczona. Nie sądziłam, że taki facet jak ty mógłby przyjść do kobiety takiej jak ja.

Billy uśmiechał się cały czas od momentu, kiedy otworzyła mu drzwi. Teraz uśmiech zmienił się w grymas cynizmu.

— Chyba nie jesteś tak zła? Jesteś wszak boska!

„On oszalał”, pomyślała.

— Twój głos — rzekła.

— Akcent Południowca?

— Tak.

— To też część mojej młodości. Tak jak i nazwisko. Nie podoba ci się?

— Niezbyt. Cierpie mi skóra od tego, jak i co mówisz — powiedziała wtulając się we własne ramiona.

— Skóra ci cierpie? Myślałem, że cię to bawi. Ta zmiana... Zresztą nie wiem. Ale to przecież takie zabawne. Czuję się jak nowo narodzony. — Potem spojrział na nią groźnie i powiedział: — Coś tu nie tak. Nie rozumiemy się. Albo jeszcze gorzej. Czy jest jeszcze gorzej? Jeśli nie chcesz iść ze mną do łóżka, to powiedz. Ja to zrozumie. Może jest we mnie coś, co cię odrzuca. Nie zawsze wychodziło mi z kobietami. Wiele razy zawodziłem. No więc, wystarczy, że powiesz, a pójdę sobie. Nic ci nie zrobię.

Na jej twarzy znów pojawił się zawodowy uśmiech. Potrząsnęła głową. Jej puszyste, jasne włosy zafalowały uroczo.

— Przepraszam. Nie musisz nigdzie iść. Byłam po prostu zaskoczona. To wszystko.

— Jesteś pewna?

— Tak.

Przez otwarte drzwi zajrzał do salonu, potem dotknął zabytkowej parasolki wystającej ze stojaka koło drzwi.

— Masz ładne mieszkanko — powiedział.

— Dzięki. — Otworzyła szafę w przedpokoju i wyjęła z niej wieszak. — Pozwól, że wezmę twój płaszcz.

Billy zdjął płaszcz i podał go jej.

Powiesiła płaszcz w szafie i poprosiła o rękawiczki.

— Schowam ci je do kieszeni — dodała.

Kiedy odwróciła się do niego, stał plecami do drzwi wejściowych, a w prawej ręce błysnęło mu ostrze noża sprężynowego.

— Schowaj to! — krzyknęła.

— Coś ty powiedziała?

— Schowaj to!

Zaśmiał się.

— Mówię poważnie!

— Jesteś najlepszą dziwką, jaką znam.

— Schowaj ten nóż do kieszeni. Schowaj go i zjeżdżaj stąd!

— Gdy już wiedzą, że zamierzam im podciąć gardło — powiedział wymachując w jej stronę nożem — zawsze plotą jakieś głupoty. Ale żadna jeszcze poważnie nie myślała o tym, że uda jej się mnie przepędzić! Ty jesteś pierwsza. To mi się podoba.

Rzuciła się do ucieczki. Wybiegła z przedpokoju i schroniła się w salonie. Serce biło jej niespokojnie i trzęsła się cała, ale starała się nie wpaść w panikę. W górnej szufladzie szafki nocnej miała rewolwer. Jeśli zdąży przed nim do sypialni i zamknie drzwi na zasuwkę, to wtedy da radę wyciągnąć broń i odbezpieczyć.

Ale już po kilkunastu sekundach złapał ją za ramiona.

Próbowała się wyrwać.

Był silniejszy, niż na to wyglądał. Palce miał mocne i zakończone twardymi, długimi paznokciami, które wbijały jej się w skórę. Obrócił ją plecami do siebie.

Straciła równowagę i upadła na ławę. Przecięła sobie wargę w nagłym i silnym zetknięciu z solidnymi, drewnianymi nogami ławy. Ból przeszył na wskroś jej ciało.

Stanął nad nią trzymając nóż i wciąż uśmiechając się cynicznie.

— Skurwysyn! — powiedziała.

— Możesz umrzeć na dwa sposoby, Sarah. Możesz próbować oporu i ucieczki, a wtedy zmusisz mnie do tego, żebym zabił cię już teraz, powoli i okrutnie. Albo możesz pójść na współpracę ze mną — dałbym ci wtedy w łóżku trochę przyjemności. A potem, obiecuję, umrzesz szybko i bezboleśnie.

„Nie paniku”, pomyślała. „Jesteś Sarah Piper, byłaś niczym, dzięki samej sobie wyszłaś na ludzi, już nieraz byłaś w tarapatkach, przyciśnięta do ziemi dosłownie i w przenośni, i zawsze udawało ci się stanąć na nogi. Tym razem też ci się uda, przeżyjesz, cholera, przeżyjesz, przeżyjesz...!”

— W porządku — powiedziała i wstała.

— Grzeczna dziewczynka.

Opuścił nóż. Wsunął jej rękę pod bluzkę i odpiął stanik. Potem zabrał się za masowanie piersi.

— Jak miło... — powiedział.

Przysunął się bliżej, a ona zamknęła oczy.

— Na pewno będzie ci ze mną dobrze — powiedział.

Sarah gwałtownie wycelowała kolaniem w jego krocze. Choć nie trafiła dokładnie, Billy poleciał do tyłu.

Złapała lampę i rzuciła nią w napastnika. Nie patrząc nawet, czy trafiła, pobiegła do sypialni i zatrzasnęła drzwi. Zanim zdążyła je zamknąć na zasuwę, Billy rzucił się na nie całym ciężarem ciała i otworzył, ale nie więcej niż na pięć centymetrów.

Sarah próbowała jeszcze mocować się z nim w nadziei, że uda jej się zamknąć i zaryglować drzwi. Ale Billy był silniejszy. Sarah wiedziała, że jego napór wytrzyma jeszcze nie dłużej niż minutę lub dwie. Postanowiła nie tracić tego czasu i spróbować zaskoczyć go. Nagle ustąpiła, rzucając się równocześnie do nocnej szafki.

Billy, istotnie zaskoczony, wpadł do pokoju i nieomal się przewrócił.

Sarah otworzyła szufladę, wyciągnęła rewolwer, ale Billy wybił go jej z ręki. Broń pofrunęła na ścianę i upadła. Była już poza zasięgiem Sarah.

„Dlaczego nie krzyczę?”, spytała samą siebie. „Dlaczego nie zawołałam o pomoc wtedy, kiedy przytrzymałam drzwi? Raczej nikt by mnie nie usłyszał w tych nieakustycznych mieszkaniach. Gdy się ma choć trochę szans, należy je wykorzystać!”

Ale Sarah wiedziała, dlaczego nie krzyczy. Właśnie dlatego, że była Sarah, Sarah Piper, która nigdy nie prosi o pomoc, zawsze sama rozwiązuje swoje problemy, zawsze sama toczy swoje bitwy. Była twarda i dumna. Nigdy nie krzyczała.

Ogarnął ją paraliżujący strach i drgawki, ale wiedziała, że musi umrzeć tak, jak całe życie żyła. Jeśliby teraz pękła, zaczęła skomleć i chlipać, podczas gdy nie było żadnej nadziei na ratunek, zaprzeczyłaby całemu swemu życiu. Jeśli życie miało dla niej jakieś znaczenie, a miało, to chciała umrzeć tak, jak żyła — zdecydowana, dumna i nieugięta. Splunęła mu w twarz.

# 14

- Zabójstwa, słucham?
  - Chcę rozmawiać z detektywem.
  - Którym?
  - Wszystko jedno.
  - W sprawie zabójstwa?
  - Tak.
  - Skąd pan dzwoni?
  - Nieważne. Chcę rozmawiać z detektywem.
  - Muszę niestety spytać o pański adres, numer telefonu, nazwisko..
  - Odpuść pan to sobie i daj mi detektywa, bo odłożę słuchawkę.
- 
- Detektyw Martin, słucham.
  - Właśnie zabiłem kobietę.
  - Skąd pan dzwoni?
  - Z jej mieszkania.
  - Jaki adres?
  - Była taka piękna.
  - Jaki adres?
  - Śliczna dziewczyna.
  - Jej nazwisko?
  - Sarah.
  - To imię. A nazwisko?
  - Piper.
  - Może pan przeliterować?
  - P-i-p-e-r.
  - Sarah Piper?
  - Zgadza się.
  - A pan jak się nazywa?
  - Rzeźnik.
  - A naprawdę?
  - Nie powiem.

- Powie pan, przecież po to pan dzwoni.
- Nie. Dzwonię, żeby wam powiedzieć, że do jutra rana zamierzam zabić więcej ludzi.
- Kogo?
- Jedną z nich jest kobieta, którą kocham.
- Jak się nazywa?
- Chciałbym nie musieć jej zabijać.
- To niech pan nie zabija.
- Ale ona chyba coś podejrzewa.
- Może spróbujemy...
- Nietzsche miał rację.
- Kto?
- Nietzsche.
- Kto to?
- Filozof.
- Aha.
- Miał rację co do kobiet.
- Co takiego o nich powiedział?
- Że nam stoją na drodze do osiągnięcia doskonałości. Cała ta energia, którą poświęcamy na zabieganie o ich względy i na rżnięcie ich... jest stracona bezpowrotnie! Cała ta energia marnotrawiona na seks mogłaby zostać spożytkowana na studia i rozważania. Gdybyśmy nie marnowali naszej energii na kobiety, moglibyśmy przekształcić się w to, co nam jest pisane.
- A co nam jest pisane?
- Próbuje pan zlokalizować, skąd dzwonię?
- Nie, nie...
- Ależ oczywiście, że tak!
- Nie, naprawdę nie...
- Za minutę i tak mnie tu już nie będzie. Chciałem tylko panu powiedzieć, że jutro już pan będzie wiedział, kim ja jestem, kim jest Rzeźnik. Ale nie złapicie mnie. Jestem czystą istotą wyrosłą z zepsutego, szarego człowieka.
- Spróbujmy...
- Do widzenia, panie Martin.

# 15

O siódmej wieczorem drobny opad śniegu nad Manhattanem przekształcił się w prawdziwą, śnieżną burzę. Z czarnego nieba sypały się w długie wąwozy ulic tony zimnego, suchego puchu.

Frank Bollinger siedział u siebie w domu i wyglądał przez okno na miliony płatków wirujących w powietrzu. Zanosiło się na to, że śnieg będzie tak padał bez końca.

Z powodu weekendu oraz psującej się pogody było mało prawdopodobne, aby w Bowertonie, oprócz Harrisa i jego przyjaciółki, ktoś po godzinach pracował. Bollinger poczuł, że znacznie wzrosły jego szanse na to, aby dostać się do nich i bez pudła wykonać plan. Śnieg był mu sprzymierzeńcem.

O 19:20 wyjął z szafy płaszcz i ubrał się.

Pistolet miał już schowany w prawej kieszeni. Nie używał służbowej broni, bo wtedy łatwo dałoby się zidentyfikować kule. Miał przy sobie typ Walther PPK kaliber 38, który od 1969 roku był objęty zakazem importu do Stanów Zjednoczonych. (Nieco większy pistolet, Walther PPK/S, produkowano do sprzedaży w Stanach, ale było go dużo trudniej ukryć pod ubraniem niż model pierwotny.) Miał zamocowany tłumik. Nie jakiś domowej roboty, ale precyzyjne dzieło firmy Walther, dla użytku różnych elitarnych oddziałów europejskich policji. I nawet z tłumikiem pistolet doskonale można było ukryć w kieszeni płaszcza. Bollinger zabrał go jakiemuś nieboszczykowi, notabene podejrzanemu w sprawie o narkotyki i prostytutkę. Gdy tylko ujrzał ten pistolet, wiedział, że musi go mieć. Zabrał go denatowi. I nie zgłosił po powrocie na komisariat, tak jak powinien był. Zdarzyło się to ponad rok temu, ale do dziś Bollinger nie miał okazji, aby użyć go chociaż raz. Do drugiej kieszeni płaszcza Bollinger schował pudełko z pięćdziesięcioma nabojami. Nie zakładał konieczności użycia więcej, niż miał w magazynku, ale wolał być przygotowany na każdą ewentualność.

Wyszedł z domu zbiegając po dwa stopnie naraz, podniecony mającym się wkrótce rozpocząć... polowaniem.

Na ulicy wiatr uderzył go w twarz ostrymi grudkami śniegu. Silne porywy kołysały gałęziami drzew, a noc zapadła już na dobre.

Gabinet Grahama Harrisa był największym spośród pięciu pokoi zajmowanych przez Wydawnictwo Harrisa na czterdziestym pięttrze Bowertona, ale nie wyglądał na



miejsce, gdzie dokonywano wielkich interesów. Wyłożony ciemnym drewnem, prawdziwym i wysokogatunkowym, miał sufit pokryty wyciszającym materiałem koloru beżowego. Soczyscie zielone zasłony spływały spod sufitu aż do pluszowej wykładziny na podłodze. Biurko przerobiono z fortepianu Steinwaya, z którego usunięto wnętrze, a nogi skrócono, by kłapy stały się blatem. Za biurkiem przylegały do ściany regały wypełnione książkami o narciarstwie i wspinaczkach. Pokój oświetlały cztery stojące na podłodze lampy, przyciągające wzrok staromodnymi kloszami. Ponadto na biurku stały dwie lampy z mosiądzu. Na wprost okien znajdował się nieduży stół konferencyjny i cztery krzesła. Przy drzwiach na korytarz stał bogato rzeźbiony XVII-wieczny angielski wieszak na płaszcze, przy drzwiach do sekretariatu zaś antyczny szynkwaz z ciętego szkła, szereg wielokątnych lusterek i rzeźby w drewnie. Na ścianach wisiały zdjęcia z wypraw wysokogórskich oraz olejny obraz przedstawiający zaśnieżony szczyt. Gabinet przypominał prywatny pokój emerytowanego profesora, gdzie czytało się książki, paliło fajkę i gdzie spaniel leżał skulony w kłębek u nóg swego pana.

Connie zerwała folię z kartonu, w którym przyniosła pizzę. Buchnęła para i aromatyczny zapach wypełnił biuro.

Wino było schłodzone, Connie poprosiła, żeby włożyli do lodówki butelkę na czas, kiedy piekło się ciasto.

Wyglądali, przez kilka minut jedli i pili nic nie mówiąc.

Wreszcie odezwała się Connie:

— Uciąłeś sobie drzemkę?

— Tradycyjnie.

— Jak długo?

— Dwie godziny.

— Dobrze spałeś?

— Jak zabity.

— Nie wyglądasz.

— Na zabitego?

— Żebyś dobrze spał.

— Może mi się tylko wydawało, że dobrze spałem.

— Masz podkrążone oczy.

— Wyglądam jak Rudolf Valentino.

— Powinieneś pójść do domu wyspać się normalnie.

— Żeby mi jutro wydawca do gardła skoczył?

— To są kwartalniki. Parę dni w tę czy w tamtą stronę nie ma znaczenia.

— Ja jestem perfekcjonistą.

— Nie wiedziałam.

— Perfekcjonistą, który cię kocha.

Pocałowała go.

Frank Bollinger zaparkował samochód w bocznej uliczce trzy przecznice od Bowertona i dalej poszedł na piechotę.

Kilkucentymetrowa i wciąż rosnąca warstwa śniegu pokryła już ulice i chodniki. Z wyjątkiem kilku taksówek, jadących zbyt szybko jak na warunki atmosferyczne, na całej Lexington nie było żadnego ruchu.

Główne wejście do Bowertona było cofnięte około sześciu metrów od chodnika. Stanowiły je cztery pary drzwi obrotowych, z czego trzy o tej porze były już zamknięte. Za drzwiami widać było duży hall pełen marmurów, brązów i miedzi, oświetlony ciepłym bursztynowym światłem.

Bollinger wsunął do kieszeni pistolet i wszedł do środka.

Na ścianie zawieszona była kamera telewizyjna, skierowana na jedyne otwarte drzwi.

Bollinger zaczął tupać nogami, by otrzepać śnieg z butów i dać kamerze czas na obejrzenie go sobie. Strażnik obserwujący go teraz na monitorze nie uzna go za podejrzanego, jeśli będzie zachowywał się naturalnie i pewnie.

Strażnik w cywilu siedział na stołku za pulpitem koło wind.

Bollinger ruszył w jego stronę wychodząc poza zasięg kamery.

— Dobry wieczór — powiedział strażnik.

Bollinger wyciągnął portfel i błysnął odznaką.

— Policja.

Jego głos odbił się od marmurowych ścian i wysokiego stropu dziwnym echem.

— Coś się stało? — spytał strażnik.

— Ktoś pracuje po godzinach?

— Cztery osoby.

— Wszyscy w jednym biurze?

— Nie. A co się stało?

Bollinger wskazał na skorowidz zatrudnionych w biurowcu, leżący na pulpicie.

— Poproszę nazwiska tych czterech osób.

— Chwileczkę... Harris, Davis, Ott i MacDonald.

— Gdzie znajdę Otta?

— Na szesnastym.

— Nazwa firmy?

— Cragmont Imports.

Twarz strażnika była okrągła i blada. Miał małe usta i wąsiki a la Oliver Hardy. Kiedy zmarszczył twarz ze zdziwienia, wąsik nieomal zniknął pod nozdrzami.

— MacDonald to które piętro? — spytał Bollinger.

— To samo, szesnaste.

— Pracuje z Ottem?

— Zgadza się.

— Tylko te cztery osoby?

— Tak.

— Może jeszcze ktoś, o kim pan nie wie?

— To niemożliwe. Po siedemnastej trzydzieści każdy, kto jedzie na górę, musi się u mnie zarejestrować. O osiemnastej przechodzimy przez wszystkie piętra, żeby zobaczyć, kto zostaje po godzinach, a ci, co zostają, odhaczają się u nas przy wyjściu. Zarząd budynku wprowadził ostre przepisy przeciwpożarowe. To należy do tych przepisów.

— Pogłaskał swój skorowidz. — Gdyby był pożar, to wiemy, kto jest w budynku i gdzie go znaleźć.

— A obsługa?

— Co obsługa?

— Portierzy, sprzątaczk... Pracują jeszcze?

— W piątki po południu nie pracują.

— Jest pan pewien?

— Oczywiście. — Strażnik zaczął ujawniać oznaki zmęczenia i braku chęci do wspólpracy z policją. — Jutro przyjdą na cały dzień.

— Konserwatorzy?

— W nocy jest jeden. Schiller.

— Gdzie jest ten Schiller?

— Na dole.

— Gdzie na dole?

— Chyba sprawdza system centralnego ogrzewania.

— Sam?

— Tak.

— Ilu jest jeszcze strażników?

— Powie mi pan, o co tu chodzi?

— Cholera, tu policja! Odpowiadać! — krzyknął Bollinger. — Ilu jest jeszcze strażników?

— Tylko dwóch. O co chodzi?

— Było ostrzeżenie o podłożeniu bomby.

Strażnikowi zadrżały wargi, a wąsik nieomal nie odpadł.

— Żartuje pan.

— Tu nie ma nic do żartów.

Strażnik odsunął stołek, wyszedł zza pulpitu.

W tej samej chwili Bollinger wyjął z kieszeni broń.

Strażnik zbladł.

— Co to jest?

— Rewolwer. Nie wołaj nikogo.

— Ta bomba... To nie ja dzwoniłem...

Bollinger zaśmiał się.

— Naprawdę nie ja...

— Wiem.

— Zaraz... Ten rewolwer ma tłumik!

— Tak.

— Ale policja nie...

Bollinger strzelił mu dwa razy w klatkę piersiową.

Siła strzałów rzuciła strażnika na marmurową ścianę. Na chwilę zatrzymał się w pozycji pionowej, jakby czekał, aż ktoś przyjdzie z kredą i na ścianie zaznaczy jego wzrost. Potem upadł na podłogę.



Drugi strażnik miał trzydzieści parę lat. Schludny. Twarz ascetyczna. Białe dłonie. Odwrócił się, by zobaczyć, kim zainteresował się Neely, i wtedy Bollinger dostrzegł jego tabliczkę z nazwiskiem: Faulkner.

Najpierw zastrzelił Faulknera.

Faulkner złapał się za przestrzelone gardło, ale było już za późno, żeby zatrzymać ulatujące życie. Upadł martwy na swoje krzesło.

— Zaraz! — gruby Neely stanął wreszcie na równe nogi. Ale miał pecha, bo kaburę zapiął tak, że zanim zdążył ją teraz otworzyć i wyciągnąć broń, Bollinger strzelił do niego dwa razy.

Neely wykręcił niezgrabny piruet i upadł na stół, który się pod nim zarwał. Neely upadł na podłogę przysypany talią kart.

Bollinger sprawdził, czy naprawdę nie żyją.

Naprawdę nie żyli.

Wyszedł z pokoju i zamknął drzwi.

Potem zamknął na klucz drzwi wejściowe do biurowca, a klucz schował sobie do kieszeni.

Podszedł do pulpitu i usiadł na stołku. Z lewej kieszeni płaszcza wyjął kule i uzupełnił magazynek.

Spojrzał na zegarek. 20:10. Wszystko zgodnie z planem.

# 17

- To była dobra pizza.
  - Wino też dobre. Napij się jeszcze.
  - Już dosyć wypilem.
  - Jeszcze tylko odrobinę.
  - Nie, muszę jeszcze pracować.
  - Cholera!
  - Wiedziałaś o tym, przychodząc do mnie.
  - Myślałam, że uda mi się ciebie upić.
  - Jedną butelką wina?
  - A potem cię uwieść.
  - Jutro — powiedział Graham.
  - Do tego czasu umrę z pożądania.
  - Trudno. Miłość bywa okrutna.
- Skrzywiła się.
- Graham wstał, obszedł stół i pocałował ją w policzek.
- Przyniosłaś sobie książkę do czytania?
  - „Tajemnicę Nero” Wolfa.
  - No to czytaj.
  - Czy mogę od czasu do czasu spojrzeć na ciebie?
  - A na co tu patrzeć?
  - Dlaczego mężczyźni kupują „Playboya”?
  - Nago nie będę pracował.
  - Nie musisz.
  - Mało śmieszne.
  - W ubraniu jesteś nawet bardziej sexy.
  - Dobrze — powiedział uśmiechając się. — Patrz, ale nie gadaj.
  - A mogę się ślinić?
  - Śliń się, jeśli musisz.

Graham ucieszył się z pochlebstw, a Connie była zachwycona reakcją Grahama. Czowała, że pomału, krok po kroku, usuwa u niego kompleks niższości.

# 18

Konserwatorem na nocnej zmianie był krępy mężczyzna około czterdziestki o jasnej cerze i blond włosach. Nosił szare spodnie marynarskie i koszulę w szaro-biało-niebieską kratę. Palił fajkę.

Gdy Bollinger zszedł na dół z rewolwerem w ręce, konserwator spytał z lekkim akcentem niemieckim:

— Kim pan jest, do cholery?

— *Sie sind Herr Schiller, nicht wahr?* — spytał Bollinger. Jego dziadkowie przyjechali do Ameryki z Niemiec. W dzieciństwie nauczył się niemieckiego i nigdy nie zapomniał.

Schiller zupełnie zgłupiał. Nie dosyć, że do piwnicy złazi jakiś obcy facet z pistoletem w ręku, mówi po niemiecku, to jeszcze się dziwnie uśmiecha.

— *Ja, ich bin's*\*\* — odpowiedział.

— *Es freut mich sehr Sie kennenzulernen*\*\*\* — Schiller wyjął z ust fajkę. Nerwowo obliżał wargi.

— *Die Pistolet?*\*\*\*\*

— *Fur den Mord*\*\*\*\*\* — powiedział Bollinger. Oddał dwa strzały.

Bollinger wrócił na parter i otworzył drzwi znajdujące się na wprost pokoju strażników. Zapalił światło.

Pokój był niewielki i w surowym stanie, służył bowiem za rozdzielnię napięcia i centralę telefoniczną. Na ścianach — w zasięgu ręki — wisiały dwie gaśnice.

Bollinger przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, gdzie wisiały na ścianie dwie, sporych rozmiarów, metalowe skrzynie. Na drzwiach widniały znaki firmowe kompanii telefonicznej. I wszystkie były otwarte, chociaż zniszczenie tego, co kryło się za nimi, równałoby się sparaliżowaniu łączy telefonicznych w budynku oraz systemu awaryjnego. W każdej z szafek znajdowało się dwadzieścia sześć dźwigni, skierowanych na „Włącz”. Bollinger poprzesuwał wszystkie po kolei na „Wyłącz”.

---

\*Pan Schiller, prawda? (niem.)

\*\*Tak, to ja. (niem.)

\*\*\*Miło mi, że mogłem pana poznać, (niem.)

\*\*\*\*A ten pistolet? (niem.)

\*\*\*\*\*Służy do zabijania, (niem.)



Potem podeszedł do szafki z napisem: „Alarm przeciwpożarowy”. Wyłamał drzwiczki i pogrzebał w środku robiąc spięcie.

Następnie powrócił do pokoju strażników. Obszedł martwe ciała i podniósł słuchawkę jednego z dwóch stojących na stole telefonów. Nie było sygnału.

Poruszał widelkami.

Nadal nie było sygnału.

Odłożył słuchawkę i podniósł drugą. Martwa cisza.

Cicho pogwizdując Bollinger wszedł do pierwszej windy.

Koło przycisków z numerami pięter znajdowały się zamykane na klucz drzwiczki. Kryły system awaryjny. Obok drzwiczek była dziurka na klucz-wyłącznik pracy dźwigu.

Bollinger zaczął przymierzać do niej klucze, które znalazł przy zabitym strażniku. Trzeci klucz pasował.

Nacisnął przycisk piątego piętra. Światelko nie zapaliło się, drzwi nie zamknęły się, winda nie ruszyła. Była wyłączona.

Gwizdząc głośniej niż do tej pory, Bollinger przystąpił do wyłączania kolejnych czternastu spośród piętnastu wind, które zostały. Ostatnią windą zamierzał pojechać na szesnaste piętro, gdzie pracowali Ott i MacDonald, a potem na czterdzieste, gdzie czekali na niego Harris i jego kobieta.

# 19

Chociaż Graham nic nie powiedział, Connie wiedziała, że coś jest nie w porządku. Oddychał głęboko i spazmatycznie. Spojrzała na niego znad książki i zobaczyła, że przestał pracować. Patrzył wprost przed siebie z rozdziawionymi ustami i wybałuszonymi oczami.

— Co się stało?

— Nic.

— Pobladłeś.

— Głowa mnie rozbolała, to wszystko.

— Trzęsiesz się cały.

Nic nie powiedział.

Connie wstała, odłożyła książkę i podeszła do niego. Usiadła na rogu biurka.

— Graham?

— Wszystko w porządku. Już mi lepiej.

— Przecież widzę, że nie...

— Naprawdę lepiej.

— Ale przed chwilą było ci niedobrze, prawda?

— Tak — przyznał jej rację.

— Miałeś wizję? — spytała, biorąc go za zimną jak lód rękę.

— Tak — powiedział Graham.

— Co widziałeś?

— Siebie. Jak ktoś do mnie strzela.

— To wcale nie jest śmieszne.

— Ja nie żartuję.

— Nigdy jeszcze nie miałeś osobistych wizji! Zawsze mówiłeś, że twoje jasnovidzenie dotyczy tylko obcych ludzi!

— Ale tym razem było inaczej!

— Może się mylisz...

— Raczej nie. Poczułem się tak, jakby ktoś przywalił mi młotem kowalskim między łopatki, zabrakło mi powietrza i widziałem samego siebie, jak upadam. — Błękitne oczy Grahama rozszerzyły się nienaturalnie. — Była wszędzie krew. Mnóstwo krwi.

Connie poczuła nieprzepartą żalność, zabolalo ją serce. Graham nigdy się nie mylił i oto teraz antycypował własną śmierć.

Ścisnął ją mocno za rękę, jakby chciał przejąć od niej więcej siły.

— Czy ten strzał był śmiertelny? — spytała.

— Nie wiem — powiedział. — Może był śmiertelny, a może mnie tylko ranił. Strzał w plecy. Tyle wiem.

— Kto to zrobił... to znaczy — zrobi...?

— Chyba Rzeźnik.

— Widziałeś go?

— Nie, ale czuję to.

— Gdzie to się wydarzy?

— W miejscu, które bardzo dobrze znam.

— Tutaj?

— Może...

— W domu?

— Może...

Gwałtowny podmuch wiatru przeleciał wzdłuż ściany biurowca i zatrzęsł szybami okien, wprawiając w drżenie draperie.

— Kiedy to się wydarzy? — spytała.

— Niedługo.

— Teraz?

— Nie jestem pewny.

— Jutro?

— Może.

— W niedzielę?

— Tak późno na pewno nie.

— Co my teraz zrobimy?

## 20

Winda zatrzymała się na szesnastym piętrze.

Bollinger, nim wyszedł na korytarz, unieruchomił windę za pomocą sprawdzonego już klucza. Będzie tu teraz czekała na niego posłusznie z otwartymi drzwiami, aż nadejdzie czas, by pojechał nią dalej.

Większa część szesnastego piętra pogrążona była w ciemności. Lampy oświetlały tylko wnękę, gdzie zatrzymywały się windy, w korytarzu zaś paliły się, na jego przeciwnych końcach, dwa czerwone światła schodów przeciwpożarowych.

Bollinger przewidział taką sytuację. Wyciągnął z płaszcza kieszonkową latarkę i zapalił ją.

W pomieszczeniach na szesnastym piętrze mieściły się biura dziesięciu małych firm, sześć znajdowało się po prawej stronie od wind, a cztery po lewej. Bollinger skręcił w prawo. Trzecie z kolei drzwi opatrzone były tabliczką CRAGMONT IMPORTS.

Zgasił latarkę i schował ją do kieszeni płaszcza.

Wyjął walthera PPK...

„Jezu”, pomyślał. „Ale ładnie wszystko idzie. Tak ładnie... Jak tylko załatwię Cragmont Imports, będę mógł się zająć głównym celem. Harris pierwszy. Potem kobieta. Jeśli jest ładna... Do tej pory wszystko poszło tak szybko, że jestem do przodu całą godzinę. Można by jej tę godzinę poświęcić. Oczywiście, jeśli by była tego warta”. Był gotów zabawić się, energia, apetyt i podniecenie wprost go rozsadały. Kobieta, stół zastawiony dobrym jedzeniem i butelka whisky. Ale najpierw kobieta. Przez godzinę mógł na niej niezłe pojeździć.

Nacisnął klamkę. Drzwi do Cragmont Imports nie były zamknięte.

Wszedł i znalazł się w sekretariacie. Panował w nim półmrok, światło płynęło z sąsiedniego pokoju, do którego drzwi pozostały nie domknięte.

Bollinger zbliżył się do światła, przystanął i słuchał przez chwilę rozmowy mężczyzn znajdujących się w środku. Potem zdecydowanym ruchem otworzył drzwi na oścież i wszedł do środka.

Siedzieli przy stole konferencyjnym grubo wysłanym papierami i folderami. Pozdejmowali już marynarki i krawaty, a rękawy koszul podkasali. Jeden z mężczyzn miał błękitną koszulę, drugi — białą. Od razu zobaczyli pistolet w ręce Bollingera, ale potrzebowali kilku sekund na uzmysłowienie sobie, co to może oznaczać. Podnieśli wtedy wzrok na gościa.

— Tu pachnie perfumami — powiedział Bollinger.  
Nadal patrzyli na niego.  
— Czy któryś z was się perfumuje?  
— Nie — powiedziała błękitna koszula. — Ale importujemy perfumy.  
— Czy któryś z was to MacDonald?  
Spojrzeli na pistolet, potem jeden na drugiego, wreszcie ponownie na pistolet.  
— MacDonald? — powiedział Bollinger.  
— On jest MacDonald — powiedziała błękitna koszula.  
— Nie, to on jest MacDonald! — powiedziała biała koszula.  
— On kłamie! — krzyknęła błękitna koszula.  
— Nie, to on kłamie! — krzyknęła biała koszula.  
— Nie wiem, czego pan chce od MacDonalda — powiedziała błękitna koszula.  
— Mnie niech pan zostawi w spokoju i robi z nim, co chce!  
— Na rany Chrystusa! — powiedziała biała koszula. — Ja nie jestem MacDonald!  
MacDonald to on, ten skurwysyn!  
Bollinger zaśmiał się.  
— To i tak nie ma znaczenia. Mam w końcu sprawę również i do pana Otta.  
— Do mnie? — spytała błękitna koszula. — A co ja komu złego zrobiłem, by mnie chciano zabić?

# 21

— Będziesz musiał zadzwonić do Preduskiego — powiedziała Connie.

— Po co?

— Żeby dostać ochronę.

— To nic nie da.

— On wierzy w twoje wizje.

— Wiem, że wierzy.

— Da ci ochronę.

— Oczywiście — powiedział Graham. — Ale nie to miałem na myśli.

— Wyjaśnij mi.

— Connie, miałem wizję, w której widziałem, jak ktoś mi strzela w plecy i to się stanie naprawdę. Rzeczy, które widzę, dzieją się później naprawdę. I nikt nie może tego w żaden sposób powstrzymać.

— Nie ma czegoś takiego jak fatum. Przyszłość można zmienić.

— Czy aby na pewno?

— Przecież wiesz!

Oczy Grahama wypełnione były lękiem ściganej zwierzyny.

— Bardzo w to wątpię.

— Skąd te wątpliwości?

— Nie wiem, tak już jest.

To ją w nim właśnie najbardziej niepokoiło, ta skłonność do przypisywania wszystkich niepowodzeń przeznaczeniu. Była to wyrafinowana forma tchórzostwa. Odrzucał jakąkolwiek odpowiedzialność za swe własne życie.

— Zadzwoń do Preduskiego — powiedziała jeszcze raz.

Opuścił wzrok i spojrzał na jej dłoń, zamkniętą w jego dłoni. Nie wydawał się świadom tego, z jaką siłą zaciskał swe palce.

— Jeśliby przyszedł do domu, żeby cię zabić, to prawdopodobnie ja też bym tam wtedy była — powiedziała. — Czy myślisz, że po zabiciu ciebie odszedłby i pozwolił mi żyć?

Wiedziała, że Grahamem wstrząśnie to stwierdzenie i nie myliła się.

— O, mój Boże! — wyrzucił z siebie.

— Zadzwoń do Preduskiego.

— W porządku.

Puścił jej dłoń i podniósł słuchawkę. Przez chwilę siedział bez ruchu, a potem zaczął naciskać widelki i pukać w obudowę aparatu.

— Co się stało?

Zmarszczył czoło i powiedział:

— Nie ma sygnału. — Odłożył słuchawkę, odczekał kilka sekund i podniósł ją jeszcze raz. — Nadal cisza.

Connie nachyliła się w jego stronę.

— Spróbuj z telefonu sekretarki.

Wyszli oboje do sekretariatu. Drugi telefon również milczał.

— Śmieszne — powiedział.

Connie poczuła, że serce bije jej coraz szybciej.

— Czy on przyjdzie po ciebie dzisiaj? — spytała.

— Mówiłem ci, że nie wiem na pewno.

— Czy jest już teraz w tym budynku?

— Myślisz, że on odłączył telefony?

Skinęła głową.

— Trochę naciągana teoria — powiedział. — To tylko awaria sieci. Connie podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła na korytarz. Na przeciwległych końcach paliły się czerwone lampki znaczące drzwi na schody przeciwpożarowe. W połowie korytarza, tam gdzie znajdowały się windy, paliło się światło. Lampy jarzeniowe rzucały na korytarz błękitnawy blask.

Na całym czterdziestym piętrze panowała absolutna cisza. Zakłócał ją tylko głośny oddech Connie i Grahama.

— Nie jestem jasnowidzem — powiedziała Connie — ale coś mi się tu nie podoba. Ja to czuję, Graham, coś tu nie tak.

— W takim budynku, jak ten, przewody telefoniczne ukryte są w ścianach, a poza budynkiem biegną pod ziemią. W całym mieście biegną pod ziemią. Jak mógłby je uszkodzić?

— Nie wiem. Ale może on wiedział jak.

— Nie ryzykowałby tak wiele — powiedział Graham.

— On już nieraz ryzykował. Dokładnie dziesięć razy.

— Ale to było co innego. Teraz jesteśmy we dwoje. Poza tym na dole są strażnicy.

— Tak, czterdzieści pięter niżej.

— Daleko — zgodził się. — Chodźmy więc stąd!

— Nie trzeba było tu zostawać na noc.

— Chyba tak.

— W domu będziemy bezpieczni.

— Chyba tak.

— Przyniosę płaszcz.

— Daj spokój! — wziął ją za rękę. — Chodź. Jedziemy na dół

Bollinger musiał zużyć osiem naboju, żeby wykończyć MacDonalda i Otta, bo chowali się za meble.

Walther PPK nie strzelał już bezgłośnie. Żaden tłumik nie jest przeznaczony do większej liczby strzałów niż dwanaście. Komory i przybitka w naboju przy każdym kolejnym strzale zgęszczały się i dźwięk uciekał. Ostatnie trzy strzały huknęły głucho jak szczeknięcia sporego psa. Ale to i tak nie miało znaczenia. Ani na ulicy, ani na czterdziestym piętrze nikt strzałów nie usłyszy.

Bollinger zapalił światło w sekretariacie firmy. Usiadł na kanapie dla gości, przeładował walthera, odkręcił tłumik i schował go do kieszeni. Nie chciał ryzykować zapchania lufy obrzynkami metalu z tłumika. Poza tym i tak był bezużyteczny, w budynku nie było już nikogo, kto mógłby usłyszeć z czterdziestego piętra strzały, gdy będzie zabijał Harrisa i Davis. Tym bardziej dźwięk nie wyjdzie na ulicę, bo musiałby pokonać ściany, okna, skręcić i polecieć kilkaset metrów w dół.

Spojrzał na zegarek. Była 20:25.

Wyłączył światło, wyszedł z biura Cragmont Imports i poszedł korytarzem do windy.

Osiem wind obsługiwało czterdzieste piętro, ale żadna z nich nie jeździła.

Connie naciskała kolejno wszystkie przyciski wzywające dźwig, a gdy nie przyniosło to rezultatu, powiedziała:

— Najpierw telefony, a teraz to.

W niepotrzebnym już nikomu, zimnym świetle lampy fluorescencyjnej rysy twarzy Grahama wyglądały ostrzej niż zwykle. Przypominały maskę aktora w japońskim teatrze kabuki, która ma odzwierciedlać ekstremalny strach.

— Jesteśmy w pułapce.

— Może to chwilowy brak zasilania — powiedziała Connie. — Albo jakaś awaria. Może już naprawiają.

— A telefony?

— Zbieg okoliczności. Może nie ma się czego bać.

Nagle nad drzwiami do windy, przy których stali, zaczęły się kolejno zapalać lampki pięter. Winda jechała do góry: 16... 17... 18... 19... 20...

— Ktoś jedzie — powiedział Graham.

Po plecach przebiegł Connie lodowaty dreszcz

... 25... 26... 27...

— Może to strażnicy — powiedziała.

Graham nie odezwał się.

Connie chciała odwrócić się i uciekać, ale nie mogła się poruszyć. Numery zahipnotyzowały ją.



... 30... 31... 32...

Przypominały jej się kobiety leżące w zakrwawionych prześcieradłach, kobiety z porażniętymi gardłami, odrąbanymi palcami i obciętych uszami.

... 33...

— Schody! — krzyknął Graham, wrywając ją z zamyślenia.

— Jakie schody?

— Przeciwpożarowe!

... 34...

— Nadal nie rozumiem.

— Zbiegniemy na dół.

— Żeby się schować na niższym piętrze?

... 35...

— Nie, żeby uciec stąd w ogóle!

— To za wysoko!

— To nasz jedyny ratunek!

... 36...

— Może nie potrzebujemy wcale pomocy?

— Potrzebujemy — powiedział

... 37...

— Ale twoja noga...

— Nie jestem zupełnym kuternogą! — rzucił ostro

... 38...

Złapał ją za ramię. Paznokcie mocno wbiły jej się w skórę wywołując ból, ale wiedziała, że nie jest tego świadom.

— Pośpiesz się, Connie!

... 39...

Zdenerwowany jej oporem pchnął Connie mocno w stronę schodów. Zachwiała się i przez chwilę wyglądało na to, że upadnie. Złapała równowagę w ostatniej chwili.

Pobiegli ciemnym korytarzem, a za sobą słyszeli zgrzyt rozsuwających się drzwi.

Gdy Bollinger wysiadał z windy, zobaczył dwoje ludzi uciekających przed nim. Ich sylwetki zamigotały mu w końcu korytarza na tle czerwonej poświaty rzucanej przez lampkę przy schodach.

„Harris i jego kochanka?”, pomyślał. „Czy ktoś ich ostrzegł? Czy wiedzą, kim ja jestem? Skąd mogą wiedzieć?”

— Panie Harris! — zawołał Bollinger.

Zatrzymali się akurat przy otwartych drzwiach do biura Wydawnictwa Harrisa. Odwrócili się w jego stronę, ale nie było widać ich twarzy. Czerwone światło oświetlało jedynie ich kontury ramion.

— Czy to pan, panie Harris?  
— Kim pan jest?  
— Z policji — powiedział Bollinger. Zrobił krok w ich kierunku, i jeszcze jeden. W tym samym czasie sięgnął do kieszeni i wyjął portfel z odznaką. Za plecami miał jasne światło z windy i wiedział, że widzą więcej, niż on mógł widzieć.  
— Niech pan się nie zbliża — powiedział Harris.  
Bollinger zatrzymał się.  
— O co chodzi?  
— Niech pan bliżej nie podchodzi.  
— Dlaczego?  
— Bo nie wiemy, kim pan jest.  
— Detektyw Bollinger z policji — powiedział. — Byliśmy umówieni na wpół do dziewiątej. Pamięta pan? — Wykonał kolejny krok. I jeszcze jeden.  
— Jak pan się tu dostał? — zapytał Harris piskliwie.  
„Sra w portki ze strachu”, pomyślał Bollinger. Uśmiechnął się i odpowiedział:  
— Panie, co się z panem dzieje? Dlaczego jest pan taki spiętrany? Przecież umówił się pan ze mną. — Bollinger robił małe kroczki, żeby nie wystraszyć zwierzyny.  
— Jak pan się tu dostał na górę? — ponowił pytanie Harris. — Windy są nieczynne.  
— Myli się pan. Właśnie przyjechałem windą. — Odznakę trzymał wyciągniętą przed siebie w lewej ręce w nadziei, że słabe światło zza jego pleców wystarczająco oświetli złotą tarczę. Pokonał w tym czasie około jednej piątej odległości między nimi.  
— Telefony nie działają — powiedział Harris.  
— Naprawdę? — Krok. I jeszcze jeden krok.  
Włożył prawą rękę do kieszeni płaszcza i chwycił rękojeść pistoletu.

Connie nie mogła oderwać wzroku od cienistej postaci nieubłaganie zbliżającej się do nich. Powiedziała cicho do Grahama:

— Pamiętasz, co powiedziałeś w programie Prine'a?  
— Co? — zachrypiał.  
„Nie daj opanować się lękowi”, pomyślała. „Nie pęknij, bo wtedy wszystko będzie na mojej głowie”.  
— Powiedziałeś, że policja dobrze zna zabójcę.  
— No i co?  
— Może Rzeźnik jest policjantem?  
— Jezu, masz rację!  
Mówił tak cicho, że ledwie go dosłyszała.  
Bollinger, wysoki mężczyzna o niedźwiedziej posturze, zbliżał się powoli. Jego twarz skryta była w cieniu. Odległość między nimi zmniejszyła się już o połowę.  
— Niech pan się tam zatrzyma! — powiedział Graham. Ale w jego głosie nie było siły, nie było władzy.

Ale Bollinger zatrzymał się.

— Panie Harris, bardzo dziwnie się pan zachowuje. Jestem policjantem. Wie pan co...? Tak się pan zachowuje, jak gdyby zrobił pan coś złego, a teraz chce to przede mną ukryć. — Bollinger zrobił trzy kolejne kroki.

— Schody? — spytała Connie.

— Nie — odpowiedział jej Graham. — Nie damy rady. Z moją nogą dopadnie nas za minutę.

— Panie Harris? — powiedział Bollinger. — O czym tam mówicie? Proszę nie szepać!

— To dokąd uciekniemy? — szepnęła Connie.

— Do biura.

Trącił ją łokciem i czmychnęli błyskawicznie przez otwarte drzwi do sekretariatu Wydawnictwa Harrisa. Drzwi zamknęli i zaryglowali.

Chwilę później Bollinger natarł na nie ramieniem, aż się zatrzęsły. Potem zaczął szarpać za klamkę.

— Na pewno ma broń — powiedziała Connie. — Dostanie się do środka prędzej czy później.

— Wiem — skinął głową Graham.

---

# Część trzecia

---

Piątek od 20:30 do 22:30

## 22

Na ulicy zaparkowane były jeden za drugim trzy radiowozy i dwa nie oznakowane samochody policyjne, blokując w ten sposób ruch na prawym pasie. Nie siedział w nich już ani jeden policjant, ale wszystkie stały z nie wyłączonymi silnikami i światłami oraz migoczącymi mieszaniną czerwieni, bieli i błękitu kogutami. Ira Preduski zaparkował swój samochód na końcu, wysiadł i dokładnie go zamknął.

Trzycentymetrowa warstwa śniegu nadawała ulicy czysty i świeży wygląd. Preduski skierował swe kroki do pobliskiego domu mieszkalnego. Opuścił wzrok i zobaczył, jak spod butów urywają się grudki zbitej, białej masy. Wiatr sypał mu śniegiem w plecy, a zimne płatki co jakiś czas wpadały za kołnierz. Przypomniała mu się tamta zima, kiedy miał cztery lata, a był to mroźny luty. Jego rodzina przeprowadziła się właśnie do Albany w stanie Nowy Jork i tam po raz pierwszy zobaczył zamieć śnieżną.

Przy wejściu do budynku stał umundurowany policjant około trzydziestki.

— Trafiała nam się dziś pogoda, co? — zaczął go Preduski.

— Nie narzekam. Lubię śnieg.

— Tak? Ja również.

— Poza tym — powiedział policjant — wolę stać tu, na zimnie, niż tam, w tej krwi.

W pokoju czuć było krwią, ekskrementami i kurzem.

Martwe ciało kobiety leżało na podłodze koło łóżka z wygiętymi szponiasto palcami i otwartymi oczami.

Dwóch policjantów krzątało się koło zwłok. Dokładnie je lustrowali ze wszystkich stron, zanim zezwolili na zabranie.

Dochodzenie prowadził detektyw Ralph Martin, puciołowaty, kompletnie łysy mężczyzna o krzaczastych brwiach i noszący przyciemniane szkła. Starał się nie patrzeć na ciało.

— Rzeźnik zadzwonił za dziesięć siódma — powiedział Martin. — Próbowaliśmy niezwłocznie dodzwonić się do pana do domu, ale nie mogliśmy się połączyć. Udało nam się dopiero przed ósmą.

— Miałem wyłączony telefon — usprawiedliwił się Preduski i dodał: — Zanosi się na nocną zmianę. — Podeszedł do ciała, westchnął i odwrócił wzrok. — No, i co ten Rzeźnik powiedział?

Martin wyjął z kieszeni złożone dwa arkusze papieru i podał je Preduskiemu.

— Przewidywałem sekretarce, możliwie najwierniej, całą naszą rozmowę i zrobiłem z tego kopie.

Preduski przeczytał.

— Nie dał do zrozumienia, kogo zamierza teraz zabić?

— Nie powiedział nic więcej ponad to, co jest tam napisane.

— To dziwna rozmowa, jak na Rzeźnika.

— Dziwne jest również, jak na Rzeźnika, że morduje dwie noce z rzędu — powiedział Martin.

— To, że zabił dwie kobiety, które znały się i razem pracowały, jest również do niego niepodobne.

Martin uniósł brwi do góry.

— Myśli pan, że Sarah Piper mogła coś wiedzieć?

— Chce pan przez to powiedzieć, że mogła wiedzieć, kto zabił jej przyjaciółkę?

— Tak. I Rzeźnik zabił ją, żeby nic nie gadała?

— Nie. Najprawdopodobniej obie dziewczyny zobaczył w „Rhinestone Palace” i nie mógł się zdecydować, która mu się bardziej podoba. Założę się o wszystko, że Sarah Piper nie wiedziała, kto zabił Ednę Mowry. Oczywiście mogę się mylić, nie jestem najlepszym psychologiem. Czasami nie trafiam z charakterystyką ludzi. Bóg mi świadkiem. Kiepski jestem. Ale myślę, że akurat tym razem mam rację. Gdyby coś wiedziała, powiedziała by to mnie. Nie była typem kobiety, która potrafi milczeć, wiedząc coś takiego. Była otwarta, szczerza i na swój sposób uczciwa. I cholernie miła.

Martin przyjrzał się bliżej twarzy zamordowanej, która — o dziwo! — mimo tej strasznej posoki, nie została spryskana krwią, i powiedział:

— Była piękna.

— Nie miałem na myśli wyglądu — rzekł Preduski — lecz miłą osobowość.

Martin przytaknął.

— Miała miękki akcent z Georgii, który przypominał mi mój dom dziecienny.

— Dom? — zdziwił się Martin. — Pan jest z Georgii?

— A dlaczego nie?

— Ira Preduski z Georgii?

— Tak. Tam właśnie mają Żydów i niewolników.

— Ale pan nie ma południowego akcentu...

— Moi rodzice nie pochodzili z Południa, więc nie przekazali mi tamtejszego akcentu. Zresztą, gdy miałem cztery lata, przenieśliśmy się na Północ.

Jeszcze przez chwilę wpatrywali się w coś, co kiedyś było Sarah Piper, i w kręcących się wokoło jej zwłok sanitariuszy.

Preduski odwrócił się, wyjął z kieszeni chusteczkę i wydmuchał nos.

— Koroner jest w kuchni — powiedział Martin. Jego twarz była blada i pokryta kropelkami potu. — Prosił, żeby przysłać pana do niego, gdy się pan pojawi.

— Jeszcze chwilę... — powiedział Preduski. — Chcę się tu rozejrzeć i pogadać z ludźmi.

— Poczekam w salonie, dobrze?

— Proszę bardzo.

Martin wzdrygnął się.

— Parszywa robota.

— Parszywa — zgodził się Preduski.

## 23

W ciemnym korytarzu rozległ się strzał z pistoletu i odbił echem od ścian.

Zamek oraz drewno, do którego był umocowany, rozprysnęły się pod działaniem siły, z jaką trafił w nie pocisk.

Bollinger skrzywił się na nieprzyjemny zapach spalonego prochu i rozgrzanego metalu. Pchnął i otworzył drzwi.

Sekretariat był nie oświetlony. Bollinger odnalazł na ścianie wyłącznik i zapalił światło. Pomieszczenie okazało się puste.

Wydawnictwo Harrisa zajmowało najmniejszą powierzchnię spośród trzech firm znajdujących się na czterdziestym piętrze. Z sekretariatu dwie pary drzwi wiodły do czterech pokoi. Trzy znajdowały się po lewej i jeden po prawej stronie. Razem pięć pokoi, wliczając w to sekretariat. Harris i jego pani nie mieli więc dużo miejsca do zabawy w chowanego.

Najpierw Bollinger wybrał drzwi po lewej stronie. Był za nimi mały korytarz, z którego wchodziło się do pokoi, zajmowanych kolejno przez: redaktora naczelnego i jego asystentkę, akwizytora reklamy i dwóch redaktorów merytorycznych.

W żadnym z pomieszczeń nie było Harrisa ani jego towarzyszki.

Bollinger był spokojny i opanowany, ale jednocześnie niezwykle napięty. Żadna dyscyplina sportu nie dostarczała tylu emocji i satysfakcji, co polowanie na ludzi. W gruncie rzeczy pościg za nimi sprawiał mu więcej przyjemności niż sam akt zabijania. Również po dokonaniu morderstwa czuł, że przybywa mu siły vitalnej, że ma więcej energii niż w trakcie zbrodni. Potem, gdy krew była już przelana, musiał się skoncentrować, sprawdzić, czy nie popełnił jakiegoś błędu, czy nie zostawił śladów, które naprowadziłyby na niego policję. Był napięty do granic możliwości, trzeźwy i czujny. Wreszcie, gdy upłynęło już wystarczająco dużo czasu, by mógł być pewny, że nie sfuszrował, napełniała go błoga słodycz z poczucia dobrze wykonanej roboty. Wydawał się sobie Bogiem Wszechmogącym, a wrażenie to, niczym magiczny eliksir, płynęło jego żyłami do najodleglejszych zakątków ciała.

Drzwi po prawej stronie prowadziły do prywatnego biura Grahama Harrisa. Były zamknięte na klucz.

Bollinger cofnął się dwa kroki i strzelił w zamek. Delikatny metal został rozerwany w strzępy. Odłamki, wraz z kawałkami drewna, bryznęły w powietrze.

Ale nadal nie mógł otworzyć drzwi. Musieli przystawić do nich jakiś ciężki mebel.

Naparł na drzwi z całej siły, ale nie ustąpiły. Jednakże zauważył, że mebel stojący za nimi daje się rozhuścić. Musiało to być coś wysokiego, szerokiego, ale niezbyt głębokiego, najprawdopodobniej przystawili do drzwi regał z książkami, a w każdym razie mebel, który miał wysoko umieszczony środek ciężkości. Zaczął rytmicznie nacierać na drzwi: mocne pchnięcie, odpoczynek, mocne pchnięcie, odpoczynek, mocne pchnięcie... Barykada huśtała się coraz szybciej i wychylała coraz dalej, aż nagle upadła z głośnym hukiem i brzękiem tłuczonego szkła.

W tej samej chwili powietrze wypełniła woń whisky.

Bollinger przecisnął się przez wąską szparę, przeskoczył ponad pseudoantycznym barkiem, którego użyli jako barykady, i wdepnął w potłuczone butelki drogiego alkoholu.

W gabinecie świeciło się światło, ale nie było w nim nikogo.

W drugim końcu pokoju znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Podeszedł do nich i otworzył. Za nimi tonął w mroku korytarz czterdziestego piętra.

Podczas gdy Bollinger przeszukiwał pokoje i walczył z barykadą, Harris z kobietą po prostu uciekli drugim wyjściem, zyskując tym samym kilka minut.

Sprytnie.

Ale nie jest jeszcze tak źle.

W końcu to byli tylko amatorzy. Zawodowym łowcą był on.

Zaśmiał się cichutko.

Podeszedł do najbliższego wyjścia na schody przeciwpożarowe i otworzył bezszelestnie drzwi. Skąpany w czerwonym świetle, wszedł na klatkę schodową i zamknął je za sobą. Z tej strony nad drzwiami paliła się duża biała żarówka.

Usłyszał wzmacniany przez zimne betonowe ściany odgłos kroków. Uciekinierzy biegli schodami w dół.

Bollinger przechylił się nad metalową poręczą i spojrzął za nimi. Ale zobaczył tylko występujące naprzemiennie warstwy światła i mroku. Wynikało to stąd, że wszystkie półpiętra miały żarówki, podczas gdy schody ginęły w ciemności. Pięć lub sześć pięter poniżej, na poręczy ukazała się ręka kobiety. Zsuwała się po niej wolniej, niż należałoby się spodziewać.

„Gdybym był na jej miejscu”, pomyślał Bollinger, „zbiegałbym w te pędy po dwa albo i trzy stopnie naraz”.

Ponieważ odstęp między wewnętrznymi krawędziami schodów był niewielki i wynosił około metra, Bollinger nie był w stanie śledzić wzrokiem uciekinierów, mógł tylko liczyć na to, że dłoń kobiety nie zniknie w mroku, z którego się wyłoniła. Póki co, widział tylko wijącą się w nieskończoność serpentynę balustrady oraz białą dłoń towarzyszkę Harrisa. Ale oto w chwilę później na poręczy pojawiła się druga ręka, ręka Grahama Harrisa podążająca za ręką kobiety, z ciemności w światło, ze światła w ciemność i tak na zmianę.



Przez chwilę Bollinger chciał pobiec za uciekającymi w dół. Ale myśl tę odrzucił równie szybko, jak się pojawiła. Zanim zdążyłby wycelować im w plecy, usłyszeli by jego kroki i opuściliby klatkę schodową, by ukryć się na jakimś piętrze. A on mógłby nie zauważyć, na którym. Bo przecież nie mógł cały czas śledzić ich rąk na poręczy, zbiegając jednocześnie po schodach.

Nie chciał stracić ich z oczu. Chociaż nie miał nic przeciwko ciekawemu i skomplikowanemu polowaniu, nie mógł zmarnować na nie całej nocy. Po pierwsze, o dziesiątej Billy czekać będzie w samochodzie, a po drugie — chciał mieć trochę czasu, żeby móc zabawić się z tą kobietą. Chociaż pół godziny, oczywiście, o ile by była tego warta.

Jej blada dłoń znów wynurzyła się z mroku, a za nią dłoń Harrisa.

Nadal nie poruszali się tak szybko, jak powinni byli.

Bollinger spróbował policzyć kondygnacje, uwzględniając półpiętra. Wyszło mu około trzynastu... A więc znajdowali się sześć, może siedem pięter poniżej.

Na którym mogli być? Trzydziestym trzecim?

Bollinger odwrócił się, otworzył drzwi na korytarz i wyszedł z klatki schodowej. Pobiegł co sił w nogach do swojej windy. Uruchomił ją kluczem i chwilę pomedytował, który guzik wcisnąć. Wybrał dwudzieste szóste piętro.

## 24

Schody wydawały się dla Connie nie mieć końca. Mijanie kolejnych pasm ciemności i światła sprawiało wrażenie podróży do piekła, gdzie Rzeźnik grał rolę demona, zapędzającego ją do podziemnego świata.

Stęchłe powietrze na schodach było chłodne, a mimo to Connie pociła się obficie.

Wiedziała, że powinni posuwać się szybciej, ale nie radzili sobie z powodu chromej nogi Grahama. W pewnej chwili Connie ogarnęła wściekłość, była zła na niego, że jest przeszkodą, ale zaraz wściekłość minęła, a Connie zdumiała się swymi niegodnymi myślami i poczuła winna. W normalnej sytuacji żadne trudności nie wywołałyby u niej tak negatywnej reakcji w stosunku do Grahama. Ale owładnięta instynktem przetrwania, ujawniła teraz cechy, które zawsze krytykowała u innych. Ekstremalne warunki mogą zmienić osobowość każdego człowieka. Intuicyjnie zrozumiała już, z czego wynikał lęk Grahama, i nie miała mu tego za złe. W końcu to nie jego wina, że spadł z Everestu; ran nie zadał sobie celowo. Musiała też przyznać, że mimo straszego bólu, jaki towarzyszył mu w tym zbieganiu po schodach, spisywał się w czasie ucieczki zupełnie nieźle.

— Nie ociągaj się! — wielokrotnie słyszała za sobą jego głos. — Biegnij szybciej!

— Nie biegnę dalej — powiedziała pokonując zadyszkę.

Ich ściszone głosy odbijały się zwielokrotnionym, złowieszczym echem od zimnych ścian.

Dobiegła do trzydziestego pierwszego piętra i zwróciła się w stronę drzwi na korytarz.

— Chodź — powiedziała — nie zostawię cię samego... Razem mamy... większe szansę... Przynajmniej większe... niż w pojedynkę.

— On ma broń. Nie mamy żadnych szans.

Nie odezwała się.

— Ja tu zostanę, a ty idź — powiedział chwytając powietrze pomiędzy wyrazami. — Sprowadzisz... strażników... a ja do tego czasu... będę się ukrywał... żeby mnie nie zabił.

— Wydaje mi się, że on już zabił strażników.

— Co?

Gdyby potrafiła przewidzieć jego przerażenie, nie powiedziałałaby tego.

— Przecież w inny sposób... nie mógłby wjechać na górę.

— Mógł normalnie wpisać się do rejestru.

— I zostawić policji... swoje dane?

Przez chwilę zbiegali po schodach w milczeniu, wreszcie Graham krzyknął:

— Jezu!

— Co?

— Masz rację.

— Z powodu śmierci personelu... pomocy nie udziela się — próbowała zażartować.

— Musimy po prostu... wyjść jakoś z tego... budynku.

Graham odnalazł w sobie nowe siły i gdy Connie dotarła na trzydzieste piętro, nie musiała już czekać, aż ją dogoni.

Minęła może minuta i byli już w świetlnym kręgu dwudziestego dziewiątego piętra, kiedy głuchy, dobiegający z dołu odgłos podobny do strzału, zatrzymał ich w miejscu.

— Co to było?

— Drzwi... — powiedział Graham. — Ktoś nimi trzasnął, zamiast zamknąć po ci-  
chu.

— On?

— Pssst...

Zastygli w milczeniu, starając się wyłowić z ciemności dźwięki różniące się od wła-  
snych, przyspieszonych oddechów.

Connie wydawało się, że jasny krąg, w którym stała, zacieśnia się wokół niej, a ona sama staje się jedynym świecącym punktem w oceanie mroku. Uczucie to przestraszy-  
ło ją niezmiernie, zaraz bowiem sobie wyobraziła, że osłepnie i bezbronna stanie się ła-  
twym celem dla Rzeźnika, który, jak jakaś mityczna istota, widzi w ciemnościach.

Opanowali oddech i na klatce zapanowała cisza.

Kompletna cisza.

Przerażająca cisza.

Nienaturalna cisza.

Wreszcie Graham spytał:

— Jest tam kto?

Connie aż podskoczyła. Nie spodziewała się tak nagłego przerwania ciszy.

— Policja, panie Harris — usłyszeli głos z dołu.

Connie rzuciła półszepem:

— Bollinger.

Stała przy zewnętrznej krawędzi schodów. Rzuciła okiem za balustradę. W półmroku  
schodów przylegających do piętra zobaczyła na niej rękę mężczyzny. Był blisko, może  
na dwudziestym siódmym. Dostrzegła nawet koniec rękawa jego płaszcza.

— Panie Harris — powiedział Bollinger. Jego głos był zimny, tubalny i zniekształco-  
ny odległością.

— Czego pan chce? — spytał Graham.

— Czy ona jest ładna?

— Co?

— Czy jest ładna?

— Kto?

— Twoja kobieta!

Powiedziawszy to, Bollinger zaczął wchodzić do góry. Nie śpieszył się. Szedł powoli, stopień za stopniem.

To właśnie bardziej strwożyło Connie, niż gdyby rzucił się gwałtownie w ich stronę. Nie śpiesząc się, Bollinger dawał im do zrozumienia, że i tak mu nie uciekną, bo są w pułapce, że na złapanie ich ma całą noc, o ile — oczywiście — będzie mu się to chciało rozkładać w czasie.

„Gdybyśmy tylko mieli broń...”, pomyślała Connie.

Graham złapał ją za rękę i zaczęli wspinaczkę z powrotem do góry tak szybko, jak tylko mogli. A nie było to już łatwe dla żadnego z nich. Graham syczał z bólu i zaciskał zęby przy każdym niemal kroku, a Connie odczuwała ból w krzyżu i kolanach.

Po przejściu dwóch pięter musieli się zatrzymać. Graham usiadł i zaczął masować swą chorą nogę. Connie przechyliła się przez poręcz i spojrzała w dół.

Bollinger był dwa piętra niżej. Najprawdopodobniej biegł słysząc, że i oni poruszają się szybciej, ale teraz stanął. Również wychylił się przez balustradę, oświetlony żarówką. W prawej ręce trzymał wyciągnięty pistolet.

Uśmiechnął się do Connie i powiedział:

— Cześć, ty naprawdę jesteś niezła.

Krzyknęła i cofnęła się.

Strzelił.

Pocisk przeszedł pomiędzy prętami balustrady, odbił się rykoszetem od ściany nad głowami uciekinierów i trafił w schody nieco wyżej. Connie złapała się Grahama kurtkowo, on objął ją ramieniem.

— Gdybym chciał, tobym cię zabił — powiedział Bollinger. — Miałem cię na celowniku, kochanie. Ale jeszcze będziesz mi potrzebna do zabawy.

I ruszył do góry. Tak jak przedtem, powoli. Podeszwy skrzypiały na betonowych stopniach złowrogo: skrzyp... skrzyp... skrzyp... skrzyp... Zaczął cichutko gwizdać.

— Ten skurwysyn bawi się z nami w kotka i myszkę — zawyrokował Graham.

— Co my teraz zrobimy?

Skrzyp... skrzyp...

— Nie uciekniemy mu.

— Musimy mu uciec.

Skrzyp... skrzyp...

Harris otworzył drzwi na korytarz trzydziestego pierwszego piętra.

— Idziemy — powiedział.

Connie nie była przekonana, czy zyskują coś, opuszczając schody, ale sama nie miała nic lepszego do zaproponowania. Podążyła za Grahamem, wychodząc z jasnego, białego światła w półmrok rozrzedzony czerwoną żarówką.

Skrzyp... skrzyp...

Graham zamknął drzwi i pochylił się. W prawym dolnym rogu przymocowana była do drzwi metalowa zasuwa. Harris opuścił ją nie bez wysiłku, gdyż nie była wyrobiona, unieruchamiając tym samym całe drzwi. Ręce trzęsły mu się bardzo i przez chwilę wyglądało na to, że nie będzie w stanie wykonać tej prostej czynności.

— Co ty robisz? — spytała Connie.

Graham wstał.

— Na szczęście — powiedział — drzwi mają te zasuwy. Teraz, w którąkolwiek stronę Bollinger ciągnąłby drzwi, nie otworzy ich. Z drugiej strony dodatkowo blokuje je wysoki próg.

— Ale on ma pistolet!

— To nie ma znaczenia. Nie da rady przestrzelić przeciwpożarowych drzwi z grubego metalu.

Connie, choć nadal bała się, poczuła jednocześnie satysfakcję, że Graham nareszcie przejął inicjatywę. Trwało to krótko, ale liczył się sam fakt. Graham przełamał strach.

Drzwi zatrzęsły się, gdy Bollinger dopadł do nich i zaczął szarpać za klamkę. Choć ciągnął je i pchał, drzwi stały w miejscu, zablokowane przez zasuwę. Bollinger nie mógł ich otworzyć.

— Będzie musiał wejść jedno piętro wyżej lub zejść jedno piętro w dół — powiedział Harris. — Wtedy przyjdzie do nas drugimi schodami albo przyjedzie winda. To nam daje znów parę minut przewagi.

Bollinger zaklął siarczyście i jeszcze raz naparł na drzwi. Ani drgnęły.

— Co nam da te parę minut? — spytała Connie.

— Nie wiem.

— Graham, czy my stąd kiedyś wyjdziemy?

— Pewnie nigdy.

## 25

Doktor Andrew Enderby, lekarz obecny na miejscu zbrodni, był miłym mężczyzną około pięćdziesiątki, niezwykle dziarskim, jak na swój wiek. Miał grube, ciemne włosy, siwiejące skronie i wąsy, obfite, lecz starannie utrzymane. Oczy piwne, długi, arystokratyczny nos i ogólnie niebrzydkie rysy twarzy. Nosił szary garnitur na miarę, ze wszystkimi, odpowiednio dobranymi dodatkami. Przy nim zaniedbany Preduski jeszcze bardziej rzucał się w oczy.

— Cześć, Andy — powiedział Preduski.

— Numer jedenasty — powitał go Enderby. — Niezwykłe. Zupełnie jak piąty, siódmy i ósmy. — Kiedy Enderby był podniecony, a nie zdarzało się to często, mówił chaotycznie. Sprowadzało się to czasami do serii *staccato*, jak i teraz właśnie. Enderby wskazał na stół kuchenny i wyrzucił z siebie:

— Widzisz? Ani śladu masła, dżemu, żadnych okruchów... Za porządnie, cholera jasna! Znowu jakiś szwindel!

Jeden z policjantów wyciągnął właśnie spomiędzy rur pod zlewozmywakiem plastikowy pojemnik na śmieci.

— Dlaczego? — spytał Preduski. — Dlaczego markuje jedzenie, kiedy nie jest głodny?

— Wiem — powiedział Enderby. — Wiem dlaczego.

— No to powiedz mi.

— Dobrze, tylko pozwól, że najpierw zapytam cię, czy wiedziałeś, że jestem psychiatrą?

— Jesteś koronerem, patologiem.

— Psychiatrą również.

— Tego nie wiedziałem.

— Studiowałem medycynę. Dostałem dyplom lekarza. Potem robiłem specjalizację w zakresie otolaryngologii. Ale nie czułem się w tym dobrze. Wstrętna praca. Pochodzę z dobrze sytuowanej rodziny. Nie musiałem pracować, żeby żyć. Wróciłem na studia. Zostałem psychiatrą.

— To musi być ciekawa praca.

— Fascynująca. Ale nie czułem się w tym dobrze. Nie mogłem znieść obcowania z pacjentami.

— Ach, tak?

— Cały dzień z bandą neurotyków. Połowę z nich należałoby od razu zamknąć pod klucz. Wycofałem się szybko z tej branży. Tak lepiej dla mnie i pacjentów.

— Też to chciałem powiedzieć.

— Trochę się kręciłem to tu, to tam. I wreszcie, przed dwudziestu laty, zostałem patologiem w nowojorskiej policji.

— Trupy nie są przynajmniej neurotykami.

— Nic a nic.

— I nie mają infekcji uszu, nosa ani gardła.

— Którymi mogliby mnie zarazić — powiedział Enderby. — Oczywiście, tu się nic nie zarabia. Ale ja mam z czego żyć. A praca mi odpowiada. I ja do niej też się idealnie nadaję. Przygotowanie psychiatryczne daje mi szerszą perspektywę. Takiej intuicji jak moja, nie mają też inni patolodzy. I tym razem mówi mi ona...

— ...dlaczego Rzeźnik czasami żre jak prosię, a czasami markuje jedzenie?

— Tak — powiedział Enderby. Zaczerpnął głęboko powietrza i dodał: — Bo ich jest dwóch.

Preduski podrapał się po głowie.

— Schizofrenia?

— Nie, nie... W tym, co powiedziałem, nie było żadnej przenośni. Ich jest dokładnie dwóch, dwóch morderców... — powiedział i uśmiechnął się tryumfalnie.

Preduski wlepił w niego wzrok.

Enderby uderzył się pięścią w otwartą dłoń i powiedział:

— Mam rację. Wiem, że mam rację. Rzeźnik numer jeden zabił cztery pierwsze ofiary. Akt zabójstwa wzbudził u niego apetyt. Rzeźnik numer dwa zabił piątą ofiarę. W ten sam sposób, co jego poprzednik, ale we wszystkim był staranniejszy. Czynność mordowania nie pobudzała go do jedzenia, więc markował posiłek.

— Ale po co tyle zachodu?

— To proste. Chciał, żeby nie było wątpliwości, kto jest zabójcą. Chciał, żeby wszystkie zbrodnie przypisywano Rzeźnikowi.

Preduski nagle dostrzegł, jak starannie zawiązany był krawat jego kolegi. Mimowolnie złapał swój węzeł i poruszył nim, jakby to mogło coś zmienić.

— Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem. Moja wina. Bóg mi świadkiem. Ale nigdy nie podawaliśmy do prasy opisu kuchni, chcieliśmy bowiem mieć w rękach więcej faktów dla ewentualnego wykrycia fałszywych zeznań. Jeśli Rzeźnik numer dwa chciał imitować prawdziwego Rzeźnika, to skąd wiedział o nieporządku w kuchni?

— Nie wysłuchałeś mnie do końca.

— Bardzo przepraszam.

— Rzeźnik numer jeden i Rzeźnik numer dwa znają się. I pracują razem.

Preduski spytał zdziwiony:

— Czy są przyjaciółmi? Czy wychodzą na miasto mordować, tak jak inni kumple wychodzą zagrać w kręgle?

— Trochę za mocno powiedziane.

— Zabijają kobiety w taki sposób, żeby wyglądało to na robotę jednego mężczyzny?

— Tak.

— Dlaczego?

— Tego nie wiem. Może w ten sposób tworzą zupełnie inną postać. Kierują nas na Rzeźnika, który nie istnieje, a przynajmniej nie jest żadnym z nich z osobna. Pewnie chcą nas wyprowadzić w pole, zatrzeć za sobą prawdziwe ślady.

Preduski zaczął chodzić nerwowo wzdłuż zaśmieconego stołu i głośno myśleć:

— A więc dwóch psychopatów spotyka się w barze...

— Niekoniecznie w barze.

— Nawiązują przyjaźń i ustanawiają przymierze w celu zamordowania wszystkich kobiet na Manhattanie.

— Może nie wszystkich — powiedział Enderby ale wielu.

— Przepraszam. Może nie jestem zbyt błyskotliwy. Nie mam rzetelnego wykształcenia. Nie jestem doktorem, jak ty. I nie nadążam. Nie mogę wyobrazić sobie dwóch psychopatów, którzy współpracowaliby ze sobą tak zgodnie i wydajnie.

— Dlaczego nie? Pamiętasz morderców Sharon Tate? W rodzinie Mansona było wielu psychopatów, a wszyscy pracowali ze sobą zgodnie i wydajnie, popełniając wiele morderstw.

— Ale złapali ich.

— Nie tak prędko.



## 26

Na trzydziestym pierwszym piętrze Bowertona miało swe biura sześć firm. Graham i Connie próbowali dostać się do niektórych, ale bez efektu. Wiedzieli, że tak samo będzie z pozostałymi.

Jednakże tuż koło wnęki z windami Connie znalazła otwarte drzwi. Nie było na nich żadnej tabliczki. Weszli do środka. Graham wymacał przycisk i włączył światło.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, miało niewielką powierzchnię. Po lewej stronie były metalowe drzwi pomalowane na czerwono, a obok nich, na ścianie, wisiały miotły, zmywaki do okien i szczotki. Po prawej stronie stały regały wypełnione środkami higienicznymi.

— Jesteśmy w kantorku sprzątaczk — powiedział Graham.

Connie podeszła do czerwonych drzwi. Nie były zamknięte. Wyszła ostrożnie z kantorka i po chwili krzyknęła zaskoczona i uradowana tym, co ujrzała:

— Graham, chodź i zobacz!

Nie zareagował.

Wróciła na środek pokoju, zwróciła się do Grahama i powtórzyła:

— Zobacz, Graham!

Graham odwrócił się od regałów, przy których stał. Trzymał olbrzymie nożyce. Podniósł je do góry takim gestem, jakby miał w ręce sztylet. Ostrza zabłyszczały jak perły, odbijając światło.

— Graham? — powiedziała.

Graham opuścił nożyce i rzekł:

— Znalazłem je tu, na półce. Możemy użyć ich jako broni.

— Z nożyczkami na rewolwer?

— Możemy na Bollingera zasadzić pułapkę.

— Jaką pułapkę?

— Możemy zwabić go w miejsce, gdzie z zaskoczenia wbiję mu te nożyce w serce, zanim zdąży wyciągnąć broń.

— Ale jak go zwabić i dokąd?

Ręka zadrżała Grahamowi. Światło tańczyło na ostrzach nożyc.

— Nie wiem — powiedział zbolalym głosem.

— Nic z tego nie wyjdzie rzekła Connie. — Poza tym, znalazłam drogę ucieczki.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Naprawdę?

— Chodź, zobacz. Nożyce nie będą ci potrzebne. Zostaw je.

— Zobaczę — powiedział. — Ale nożyce zatrzymam na wszelki wypadek.

Było jej przykro, że wołał rzucać się z nożyczkami na uzbrojonego w rewolwer Rzeźnika, niż zainteresować się tym, co znalazła.

Wyszedł za nią z kantorka wprost na skonstruowaną z metalowych prętów platformę o wymiarach około 0,5 x 1,20 metra. Miejsce, w którym się oboje znaleźli, oświetlało wiele plafonier — cały szereg lamp ginał w nieskończoności nad ich głowami oraz pod ich stopami.

Byli w szybie dźwigowym, jednym z dwóch w wieżowcu. Cztery windy kursowały tam od parteru do ostatniego piętra, ale teraz wszystkie stały na dole. Nad windami zwisały grube kable, a za nimi, na przeciwległej ścianie, widać było identyczną platformę i identyczne, pomalowane na czerwono drzwi. Podobnie wyglądały pozostałe piętra, przynajmniej te, które Connie i Graham mogli dostrzec w tym tunelu bez końca. Graham przez chwilę nawet doznał zawrotu głowy, gdy tak stał na paru zespawanych ze sobą metalowych prętach i uzmysłowił sobie wysokość, na jakiej się znajdowali. Wszystkie platformy połączono wąskimi drabinkami.

Można ich było używać dokonując napraw awaryjnych, a także ewakuując ludzi z unieruchomionych wind. Connie wychyliła się, by spojrzeć w dół. Wydało się jej, iż rząd plafonier najbliższych ich piętru jest dalej niż te w rzeczywistości bardziej oddalone lampy. Świadczyło to najlepiej o dystansie dzielącym ich trzydzieste pierwsze piętro od ziemi.

Głos zadrżał Grahamowi, gdy to wszystko zobaczył.

— Tędy mamy uciekać?

Connie zawahała się, wreszcie powiedziała:

— Musimy tędy zejść na dół.

— Nie.

— Nie możemy zejść schodami, bo nas będzie widział.

— Ale tędy też nie możemy zejść.

— To nie jest takie trudne, jak schodzenie ze skały.

Obrócił szybko oczami w lewo i w prawo.

— Nie.

— Przecież są drabinki!

— I chcesz po nich zejść trzydzieści jeden pięter?

— Graham, proszę. Jeśli zaraz zaczniemy schodzić, to jeszcze może nam się udać.

Nawet jeśli Bollinger znajdzie drugą taką nie zamkniętą graciarnię z przejściem do szybu, to może mu nie przyjdzie do głowy, że mieliśmy tak silne nerwy, by ruszyć po drabinkach w dół. A nawet jeśli nas zobaczy, to zawsze możemy opuścić drabinki i schować się na najbliższym piętrze. Zyskujemy na tym dużo czasu.

— Boję się. — Złapał się kurczowo balustrady z taką siłą, że Connie nie zdziwiłaby się, gdyby metalowe rurki popękały.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała stanowczo:

— Graham, a co nam innego pozostało?

Graham spojrział w głąb betonowego tunelu.

Kiedy Bollinger zorientował się, że zamknęli na zasuwę drzwi przeciwpożarowe, zbiegł szybko na trzydzieste piętro. Zamierzał przebiec tamtejszym korytarzem na drugi kraniec budynku i innymi schodami dostać się do nich. O ile nie zablokowali drugich drzwi. Na trzydziestym czekała go jednak niemiła niespodzianka w postaci zamkniętych na zamek drzwi z napisem wielkimi czarnymi literami: „Hollowfield Land Management”. Całe piętro należało do jednej firmy, stąd nie było tu korytarza ogólnie dostępnego, a drzwi przeciwpożarowe dawały się otworzyć tylko od środka. Ta sama sytuacja powtórzyła się na piętrach dwudziestym dziewiątym i dwudziestym ósmym, które należały do firmy Sweet Sixteen Cosmetics. Bollinger bezskutecznie zmagął się wszędzie z drzwiami.

Przestraszył się, że może zgubić ślad uciekinierów. Pośpieszył więc z powrotem na znajome sobie dwudzieste szóste piętro, skąd rozpoczął wędrówkę i gdzie zostawił windę.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Spojrzął na zegarek. Była 21:15. Czas zaczął płynąć bardzo szybko, stanowczo za szybko, jakby wraz z uciekinierami sprzysiągł się przeciwko Bollingerowi.

Biegając do windy sięgnął ręką po odebrane martwemu strażnikowi klucze. Chciał je wyciągnąć z kieszeni, ale kółko zahaczyło o podszewkę. Wyszarpnął je, trochę zbyt gwałtownie, bo wypadły mu z ręki i dzwoniąc cichutko poleciały na podłogę.

Przyklękął i zaczął w ciemności obmacywać wykładzinę. Przypomniawszy sobie o latarce. Wyjął ją i zapalił, ale nawet z jej pomocą stracił co najmniej minutę na znalezienie kluczy.

Wstał z kolan zły na siebie i zastanowił się, czy Harris i jego towarzyszka jeszcze będą na trzydziestym pierwszym piętrze. Schował latarkę i wydobył pistolet. Przez chwilę stał w bezruchu. Patrzył w ciemność. Gdyby tak się złożyło, że ukryli się gdzieś tutaj, to jasne światło z wnętrza rzuciłoby na ściany cienie ich sylwetek.

Ale zaraz uspokoił się, bo przecież skąd mogli wiedzieć, na którym piętrze opuścił windę?! Poza tym nie mieli tyle czasu, żeby dostać się tu przed nim i zaskoczyć go teraz.

Co innego piętro trzydzieste pierwsze. Tam mieliby dość czasu, by przygotować zasadzkę. Gdyby teraz pojechał tam windą, to niewykluczone, że zaraz po rozchyleniu się drzwi zostałby zniemacka zaatakowany.

Ale zresztą...! Przecież tylko on miał pistolet. Co oni mu mogli zrobić? Nawet jeśli by sprawili sobie jakieś ostre narzędzia, to i tak nie mieli szans.

Wsiadł do windy i uruchomił ją kluczem.

Spojrzał na zegarek. 21:19.

Jeśli nie powtórzą się już takie opóźnienia, to — po załatwieniu Harrisa — będzie jeszcze miał dwadzieścia minut, może nawet pół godziny, na zabawę z jego kobietą.

Pogwizdując wcisnął przycisk trzydziestego pierwszego piętra.

## 27

Policjanci wydobyli spod zlewozmywaka pojemnik na śmieci i wrzucili go do plastikowego worka, po czym wynieśli z mieszkania.

Preduski i Enderby zostali w kuchni sami.

Stojący w przedpokoju zegar z kurantem wybił, z pięciominutowym spóźnieniem, kolejny kwadrans. Za oknem zawtórował mu wiatr uderzając dwukrotnie w okap.

— Jeśli nie potrafisz wyobrazić sobie sytuacji, w której zgodnie współpracuje ze sobą dwóch psychopatów — powiedział Enderby — to przyjmij założenie, że nie są to psychopaci w kategoriach, w jakich rozumieliśmy to pojęcie do tej pory.

— Jakbym słyszał Grahama Harrisa.

— Wiem.

— Rzeźnik jest umysłowo chory, twierdzi Harris. Ale twierdzi też, że nie widać tego po nim. Albo morderca wie, jak ukrywać symptomy swej choroby, albo nie występują one. Harris powiedział nawet, że Rzeźnik przeszedłby negatywnie test psychiatryczny.

— Chyba przyznam mu rację.

— Ale ty twierdzisz, że jest ich dwóch.

Enderby przytaknął.

Preduski westchnął i podszedł do okna. Pokrywała je delikatną mgiełką skroplona para wodna. Nigdy jeszcze nie oddychało powietrzem tego mieszkania tylu ludzi naraz, co przez ostatnie kilkanaście minut. Preduski narysował palcem na szybie kształt noża.

— Jeśli masz rację, to nie powinienem upierać się przy swojej teorii, że Rzeźnik jest paranoikiem albo schizofrenikiem. Bo o ile pojedynczy przestępca może działać w psychotycznym transie, to przecież nie dwóch naraz.

— Oni nie mordują w żadnym transie — przyznał mu rację Enderby. — Obaj dokładnie zdają sobie sprawę z tego, co robią. Żaden z nich nie cierpi na amnezję.

Nóż narysowany na szybie zaczął się rozplýwać i Preduski odwrócił się od okna.

— Nawet jeśli mamy do czynienia z nowym rodzajem choroby umysłowej, przestępstwa mają inny, znany nam z doświadczenia, charakter — podłoże seksualne.

— To nie są morderstwa o podłożu seksualnym — powiedział Enderby.

Preduski aż podskoczył.

— Czy możesz powtórzyć?

— To nie są morderstwa o podłożu seksualnym.

- Ale przecież on morduje wyłącznie kobiety!
- Tak, ale...
- I przedtem je gwałcił!
- Tak. Seks wiąże się z tymi morderstwami, ale nie mają one takiego podłoża.
- Przepraszam. Nie nadażam. Nie jesteś winien. Moja wina.
- Seks nie jest siłą napędową przestępstwa. Seks nie jest celem ani przyczyną, dla której napadają na te nieszczęsne kobiety. Gwałcą je, bo jest taka możliwość, więc ją wykorzystują. Ale seks odgrywa tu rolę drugoplanową, najważniejsze jest, żeby zabić. Zabić dla samego zabicia, a nie dla osiągnięcia perwersyjnej, psychoseksualnej przyjemności.
- Preduski pokiwał głową i powiedział:
- Skąd ty to wszystko wiesz? Przecież ich nigdy nie widziałeś! Jakie masz dowody, że nie występują tu seksualne motywy działania?
- Dowody znajduję w sposobie dokonywania zabójstw — wyjaśnił Enderby.
- Dużo mówi, na przykład, rodzaj okaleczeń, jakim poddawane są ofiary.
- Proszę jaśniej, bo nie rozumiem.
- Czy przyglądałeś się kiedyś dokładniej tym okaleczeniom?
- Nie miałem innego wyjścia.
- W porządku. Czy znalazłeś kiedykolwiek ślady okaleczeń analnych?
- Nie.
- Okaleczeń narządów płciowych?
- Nie.
- Okaleczeń piersi?
- W niektórych przypadkach rozpruwał im brzuchy tak szeroko, że rana dochodziła do piersi.
- Ale czy widziałeś okaleczenia samych piersi?
- Wbijał im też nóż w piersi...
- Ale czy odcinał im sutki lub całe piersi jak Kuba Rozpruwacz?
- Preduski rzucił kolejne niechętnie spojrzenie.
- Nie.
- Czy okaleczył kiedykolwiek usta ofiary?
- Usta?
- Czy odcinał im wargi?
- Nie, nigdy.
- A język?
- Boże! Nie! Andy, czy ty nie przesadzasz?! Niedobrze mi się już robi, nie mówiąc o tym, że nie wiem, dokąd zmierzasz.
- Gdyby to byli maniacy seksualni — powiedział Enderby — to uszkodziliby jedno z tych miejsc, które wskazałem.
- Odbytnicę, piersi, genitalia lub usta?

— Bez wątpienia. Przynajmniej jedno z tych miejsc. A może nawet wszystkie. Ale nic takiego nie miało miejsca. A więc okaleczenia zadawane były, że tak powiem, *post factum*. Nie był to akt seksualny, lecz maskowanie motywu zbrodni.

Preduski zamknął oczy i zaczął masować palcami skronie, jakby chciał odegnać ból głowy lub niemiłe obrazy.

— Czy ja dobrze rozumiem? Maskowanie motywu zbrodni?

— Tak. Żebyśmy poszli fałszywym tropem. My, jak i prasa.

Preduski podszedł do okna, na którym narysował nóż. Starł to, co jeszcze z niego zostało, i wyrztał na ulicę. Miliony śnieżnych płatków wirowało w świetlistych aureolach okolicznych latarni.

— Ale dlaczego w taki sposób?

— Nie wiem. Ale niezależnie od tego, dlaczego w taki, a nie inny sposób, przekonany jestem, że prawdziwym powodem zadawania okaleczeń była chęć zamaskowania motywu zbrodni.

— Gdybyśmy o tym wcześniej wiedzieli, gdybyśmy odkryli pewne prawidłowości, moglibyśmy przewidzieć niektóre zabójstwa.

Enderby ożywił się nagle.

— Poczekaj... Coś mi się przypomniało. Dwóch zabójców pracujących razem. To już kiedyś było. Chicago. Dwudziesty czwarty rok. Dwóch młodych mężczyzn. Synowie milionerów. Nie mieli nawet dwudziestu lat.

— Leopold i Loeb.

— Znasz tę sprawę?

— Pobieźnie.

— Zabili czternastoletniego chłopca, Bobby'ego Franksa. Syna innego bogatego człowieka. Nic do niego nie mieli. Nie było żadnego klasycznego motywu zbrodni. Gazety podały, że to było dla zabawy. Dla rozrywki. Bardzo okrutne zabójstwo. Ale naprawdę zabili go nie dla zabawy, ale z innego powodu. Filozoficznego.

Preduski odwrócił się od okna i powiedział:

— Przepraszam. Musiałem coś przeoczyć, bo nic nic rozumiem. Co ma do tego filozofia?

— Uważali się za coś lepszego. Nadludzi. Pierwsze istoty nowej rasy. Leopold zachwycał się filozofią Nietzschego.

Preduski zmarszczył brwi i powiedział:

— Te cytaty na ścianie w sypialni są prawdopodobnie właśnie z Nietzschego i Blake'a. Na ścianie w mieszkaniu Edny Mowry też był cytat z Nietzschego.

— Leopold i Loeb. Niezwykła para. Uznali, że dokonując zbrodni doskonałej, udowodnią sobie, że są Nadludźmi. Myśleli, że unikając kary, dowiodą swej niezwykłej przebiegłości i inteligencji.

— Czy to byli homoseksualiści?

— Tak. Ale to nie znaczy, że Bobby Franks był obiektem napadu seksualnego. Pod tym względem nic mu nie zrobili. Nawet nie mieli takiego zamiaru. Nie był to więc czyn lubieżny. Loeb nazwał to później „ćwiczeniem intelektualnym”.

Mimo całego podniecenia Enderby zdołał zauważyć, że nie widać mu mankietów spod marynarki. Wyciągnął je na przepisowe dwa centymetry i zlustrował wzrokiem swój garnitur, czy aby jeszcze nie trzeba czegoś poprawić. Mimo że przez pewien czas przebywał w skąpanej we krwi sypialni, a potem w zabałaganionej kuchni, garnitur pozostał nieskazitelnie czysty.

Preduski znów poczuł się zakłopotany, uświadamiając sobie, że nosi pozdzierane buty i wypchane w kolanach spodnie.

— Nadal mam kłopoty ze zrozumieniem wszystkiego. Musisz być dla mnie wyrozumiały i cierpliwy. Znasz mnie. Czasami jestem mało pojętny. Ale jeśli tych dwóch chłopaków, Leopold i Loeb, uważali, że morderstwo jest ćwiczeniem intelektualnym, to byli oni szurnięci, i to zdrowo. Czy nie mam racji?

— W pewien sposób masz. Byli szaleni swą własną siłą. Tą prawdziwą i tą wymagowaną.

— Czy widać było po nich, że są nienormalni?

— Nic a nic.

— Jak to możliwe?

— Pamiętaj, że Leopold ukończył college już w wieku siedemnastu lat. Jego wskaźnik inteligencji wynosił prawie dwieście. To był geniusz. Tak jak Loeb. Byli na tyle błyskotliwi, by swe fantazje trzymać dla siebie. Dobrze ukrywali zafascynowanie Nietzschem.

— A gdyby im dano testy psychiatryczne?

— Wtedy dopiero czyniono nad nimi pierwsze próby.

— Ale jeśli w dwudziestym czwartym roku byłyby już tak doskonałe testy, jakie mamy dzisiaj, to czy przeszliby je bez zwrócenia na siebie uwagi?

— Prawdopodobnie z palcem w nosie.

— Czy od tamtego czasu istnieli jeszcze podobni osobnicy w historii kryminalistyki?

— Nie słyszałem. A przynajmniej nie o dokładnie takich samych. Bo w końcu rodzina Mansona zabijała z pobudek politycznych i religijnych. Uważali Mansona za boga. Zabijali bogatych, by pomóc uciskanym. To w pełnym tego słowa znaczeniu szaleńcy. Weźmy jeszcze innych zabójców, najlepiej masowych morderców. Charles Starkweather. Richard Speck. Albert DeSalvo. Wszyscy z nich byli psychotykami. Wszyscy z nich napędzani byli jakąś psychozą, która narastała w nich, jak rak toczyła mózg, od wczesnego dzieciństwa. W dzieciństwie Leopolda i Loeba nie dały się zauważyć żadne stany urazowe, które mogłyby doprowadzić do rozwinięcia się choroby umysłowej.

— A więc, jeśli Rzeźnik to dwóch mężczyzn — powiedział Preduski — to mamy nowych Leopolda i Loeba, którzy mordują, by udowodnić swą wyższość.



Enderby zaczął spacerować w kółko.

— Może tak, może nie. Może to bardziej złożony problem.

— Co masz na myśli?

— Trudno powiedzieć. Ale czuję, że to nie jest dokładne powtórzenie schematu Leopolda i Loeba. — Podeszedł do stołu i spojrzał na resztki kolacji, która nigdy nie była jedzona. — Zadzwoiłeś do Harrisa?

— Nie — odpowiedział Preduski.

— Na co więc czekasz? Próbował wyobrazić sobie, jak wygląda morderca, ale nie udało mu się właśnie dlatego, że chodzi tu o dwóch ludzi. Powiedz mu, że podejrzewamy, iż to nie jeden człowiek. Może to przyczyni się do jakichś nowych wizji w jego mózgu. Może wreszcie będziemy mieli jakiś punkt zaczepienia.

— To tylko hipoteza, że ich jest dwóch.

— W niczym jednak nie przeszkadza, żeby przyjął takie założenie — powiedział Enderby. — Zadzwoń do niego.

— Wiem, że powinienem zadzwonić, naprawdę powinienem, ale nie mogę — powiedział enigmatycznie Preduski. — Z powodu sprawy Rzeźnika i tak został dziś w pracy po godzinach. To moja wina. Ciągłe do niego dzwonię, rozmawiam z nim, proszę o coś i przeszkadzam mu. Teraz nadrabia po godzinach wszystkie zaległości. Nie mogę mu więcej przeszkadzać.

W przedpokoju zegar wybił kolejny kwadrans, znów pięć minut za późno.

Preduski spojrzał na zegarek i powiedział:

— Już pięć po wpół do dziesiątej. Muszę iść.

— Iść? A robota?

— Jestem tu prywatnie.

— Pracujesz z siebie.

— Daj spokój!

— Nigdy nie słyszałem, żebyś odmówił pracy po godzinach. Policji potrzeba takich ludzi!

— Teraz też tak było. Ledwo wstałem po ostatniej służbie, a już centrala powiadomiła mnie o tym morderstwie. Właśnie przygotowywałem spaghetti. Oczywiście nic nie zdażyłem zjeść. Umieram z głodu!

Enderby potrząsnął głową.

— Jak długo cię znam, jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś siedział przy stole i jadł jakiś porządny posiłek. Zawsze wsuwasz kanapki, żeby nie musieć przerywać pracy na jedzenie. A teraz słyszę, że w domu robisz spaghetti. Przydałaby ci się żona, Ira.

— Żona?

— Inni mężczyźni mają żony.

— Ale ja? Chyba żartujesz!

— To by ci wyszło na dobre.

— Andy, spójrz na mnie lepiej!  
— Patrzę.  
— Blżej.  
— Jestem bliżej. I co?  
— Musisz być ślepy.  
— Dlaczego?  
— Która normalna baba by za mnie wyszła?  
— Nie zasuway mi tu głodnych kawałków, Ira — powiedział z uśmiechem Enderby.  
— Wiem dobrze, że pod twoją fałszywie skromną postawą kryje się pewny siebie, silny mężczyzna.  
— Jesteś w końcu psychiatrą...  
— Zgadza się. Nie jestem ani podejrzanym, ani świadkiem, których mógłbyś zwieść swą cczą gadaniną.  
Preduski skrzywił się.  
— Założę się, że niejedna kobieta już się nabrała na tę twoją maskę niewinnego chłopczyka.  
— Kilka było... — przyznał Preduski. — Ale jeszcze nigdy ta właściwa.  
— Kto ci każe czekać na właściwą? Większość mężczyzn zadowala się na wpół właściwymi kobietami.  
— Nie ja! — Preduski znów spojrział na zegarek. — Naprawdę muszę już iść. Wrócę koło północy. Martin i tak nie skończy do tego czasu przesłuchiwać wszystkich lokatorów. To duży dom.  
Doktor Enderby westchnął, jakby teraz problemy całego świata spadły na jego barki.  
— My też tu jeszcze będziemy. Przed nami zbieranie odcisków, odkurzanie dywanu w celu znalezienia włosów i nitek — jak zwykle ciężka harówka. I jak zwykle nic nie znajdziemy.

## 28

Grahamowi omsknęła się noga.

Nadal mocno trzymał się rękami uchwytów, ale jednak wpadł w panikę. Zaczął się miotać na drabince, walić dziko nogami o szczeble, jakby miało mu to pomóc. Swym zachowaniem zaniepokoił Connie.

— Graham, co się stało? — spytała z góry, gdyż znajdowała się wyżej na drabince.  
— Graham?

Jej głos przyniósł mu ukojenie. Przestał się rzucać. Wisiał na rękach, aż uspokoił się jego oddech i zniknęły żywe wspomnienia Everestu.

— Graham?

Powoli podniósł nogę i już po kilku sekundach spokojnie odnalazł pierwszy szczebel. Ale wydawało mu się, że trwa to wieki.

— Wszystko w porządku. Omsknęła mi się noga. Ale już wszystko dobrze.

— Nie patrz w dół.

— Nie patrzyłem. I nie będę.

Wyszukał następny szczebel, postawił na nim nogę i zaczął dalej schodzić.

Czuł, że bierze go gorączka. Na karku włosy miał już mokre od potu. Kropelki słonawej cieczy pojawiły mu się też na czole, na policzkach i w kącikach oczu, spływały ku ustom, a na brwiach lśniły, niczym drobniutkie klejnociki. Mimo iż się pocił, drżał z zimna.

Był świadom bezdennej niemal czeluści pod swymi stopami, ale szedł dalej, gdyż nie mniej świadom był realności zagrożenia ze strony Rzeźnika.

Frank Bollinger znalazł kantorek sprzątaczkę na trzydziestym pierwszym piętrze i wszedł do środka.

Zobaczył czerwone drzwi. Były nie domknięte. Nie miał żadnych wątpliwości, że uciekinierzy tędy przechodzili.

Ale dlaczego zostawili drzwi nie zamknięte?

Wyglądało to na zamierzone działanie. Wabienie go.

Natychmiast w głowie zadzwoniły mu dzwonki alarmowe. To może być pułapka! Poprawił w prawej dłoni walthera PPK, a lewą wysunął przed siebie zgietą w przegubie tak, by go osłaniała przed atakami uciekinierów, gdyby chcieli na przykład nagle zatrzasnąć drzwi. Wstrzymał na chwilę oddech, jednocześnie wyostrzając słuch, gotów zareagować na najdrobniejszy dźwięk, wyjąwszy tylko skrzypienie własnych butów.

Nic. Cisza.

Popchnął lekko nogą metalowe drzwi, które otwarły się na oścież. Wyszedł na małą platformę. Miał już dość czasu, by uzmysłwić sobie, gdzie się znajduje.

Nagle drzwi zatrzasnęły się za nim i zgasło światło w całym szybie.

W pierwszej chwili pomyślał, że to Harris, ale gdy spróbował otworzyć drzwi, ustąpiły, nie były zamknięte. I gdy tylko otworzył, znów zapaliło się światło. Nie było włączone przez całą dobę, lecz tylko wtedy, gdy otwierano wyjście awaryjne. Oto dlaczego Harris zostawił je uchylone.

Bollinger był pod wielkim wrażeniem tego systemu lamp, platform i drabinek. Niewiele budynków w latach dwudziestych konstruowano z takim poważnym uwzględnieniem zabezpieczeń na wypadek awarii. Co więcej, domy wznoszone już po wojnie nierzadko nie miały nawet elementarnych systemów przeciwpożarowych. Czasy się zmieniają. Obecnie zakłada się, że pasażerowie zepsutej windy mogą spokojnie poczekać, aż ją naprawią; nieważne, czy będzie to trwać dziesięć godzin, czy dziesięć dni. A jeśli windy nie da się naprawić, to radź sobie, człowieku, sam albo gnij w kabinie aż do śmierci!

Im dłużej krążył po tym drapaczu chmur i im lepiej go poznawał, tym bardziej był nim zafascynowany. Oczywiście nie była to ta sama skala, w jakiej zaprojektowano i wybudowano w hitlerowskich Niemczech, w latach trzydziestych, gigantyczne stadiony i muzea dla super-rasy, ale za to Hitler nigdy nie miał takich wysokościowców.

Bollinger uznał, że architekt projektujący Bowertona musiał być bogiem z Olimpu. Zachwyt ten mógłby się wydać dziwny tym wszystkim, którzy w dzień ograniczeni są do korytarzy i pomieszczeń biurowych. „W dzień”, pomyślał Bollinger, „kiedy roi tu się od urzędników dobijających interesy, nawet bym nie zauważył wielkości tego budynku”. Dla nowojorczyków nie ma nic nadzwyczajnego w czterdziestodwupiętrowym biurowcu. Ale teraz, w nocy, zupełnie pusty i mroczny, wydawał się przeogromny. Teraz wreszcie można było w spokoju i skupieniu kontemplować jego wielkość i funkcjonalność. Bollinger poczuł się jak mikrob wędrujący żyłami i kiszkami żywej istoty, wielkiego zwierza, którego rozmiarów nie sposób ogarnąć.

Bollinger utożsamiał się z umysłami, w których zrodziły się projekty takiej budowli. Był jednym z nich, sprawcą, selekjonerem, człowiekiem wyższego gatunku. Boska natura budynku trąciła w nim wrażliwą strunę i wywołała nieobce mu poczucie własnej boskości. Zaczął promieniować pychą i pewnością siebie, które dodały mu determinacji w pościgu za Harrisem i Davis. Musi ich zabić! To zwierzęta. Wszy. Pasożyty. Chcieli zagrozić mu, wykorzystując jakieś dziwaczne talenty Harrisa. Chcieli odebrać mu należne miejsce w tworzonej właśnie nowej historii świata, miejsce pierwszej, stopniowo, lecz pewnie rodzącej się Nadistoty.

Zablokował drzwi, by światło znów nie zgasło. Potem zbliżył się do krawędzi platformy i spojrzął w dół.

Byli trzy piętra niżej. Pierwszy schodził Harris, w odstępie tylko kilku szczebli od kobiety. Żadne z nich nie spojrzało do góry. Na pewno dobrze wiedzieli, co oznaczał chwilowy brak światła. Śpieszyli się bardzo, by jak najszybciej dotrzeć do najbliższej platformy i opuścić szyb.

Bollinger przyklęknął, by sprawdzić wytrzymałość balustrady. Wyglądała na mocną. Oparł się na niej całym ciałem i wychylił.

Widział ich dobrze. I mógł zabić w każdej chwili. Ale nie chciał robić tego teraz. Tej nocy bardzo ważne było miejsce i sposób zabójstwa. Gdyby ich tutaj zastrzelił, spadliby na dno szybu, co popsułoby piękny plan, który wymyślili razem z Billym. Jeszcze nie było tak źle, żeby musiał zabić ich, jak tylko się da i gdzie się da. Chciał nimi odpowiednio zagrać. Nie mógł przy tym zawieść opinii publicznej ani wprowadzić w zakłopotanie policji, nieprzywykłej do tak prostackich wyczynów Rzeźnika. Ten gambit, który wymyślili z Billym, był cholernie przebiegły i nie mógł z niego zrezygnować tak długo, jak długo była szansa na jego zastosowanie.

Spojrzał na zegarek. 21:45. Za piętnaście minut Billy będzie już czekał na dole, ale nie dłużej niż do wpół do jedenastej. Bollinger zmartwił się, że raczej nie będzie miał już czasu na kobietę, ale co do wykonania planu, pewny był, że w czterdzieści pięć minut da sobie radę.

Poza tym Bollinger nie widział z bliska Harrisa, a strzelanie do kogoś, czyjej twarzy się nie zna, uważał za tchórzostwo. To było nie fair strzelać komuś w plecy. Ten rodzaj zabijania, nawet jeśli chodziło o zwierzę, wesz, jaką był Harris, nie pasowało do *image* Nadczłowieka. Bollinger chciał się z Harrisem spotkać twarzą w twarz, tak żeby zaistniał choć cień ekscytującego ryzyka.

Teraz należało ich tylko wywabić z szybu nie zabijając i zagnać w miejsce, gdzie będzie można wykonać plan. Wystawił rękę za barierkę i wycelował w stronę kobiety, ale tak, by jej nie trafić, i nacisnął spust.

Padł strzał. Wysoki komin szybu wzmocnił i zwielokrotnił huk wystrzału tak bardzo, że Connie pękały bębunki. Ledwo dotarło to do jej świadomości, a już słyszała, że kula odbiła się rykoszetem od ściany i wali gdzieś niżej.

Sytuacja wydała jej się tak nierzeczywista, że przez chwilę zwątpiła we własne zmysły. Pomyślała, że może jest w szpitalu, a wszystkie te straszne przygody są wytworem chorej wyobraźni.

Nie przestając schodzić po drabince, przyłapała się na tym, że mówi sama do siebie: czasami były to urywane zdania, które tworzyły jednak pewne ciągi znaczeniowe, czasami jednak mruczała jakieś dźwięki bez ładu, składu ani znaczenia. Żołądek podchodził jej do gardła, a strach nieomal paraliżował ruchy. Czuła się tak, jakby dosięgnęła ją kula, jakby niszcząc, drażyła niezbędne dla życia organy.

Bollinger strzelił jeszcze raz.

Drugi strzał wydał się Connie nie tak hałaśliwy. To jej narządy słuchu nie odzyskały jeszcze normalnej wrażliwości po pierwszej eksplozji.

Jak na kobietę, która w swym życiu nie doświadczyła wiele psychicznego terroru, raziła sobie całkiem nieźle.

Spojrzała w dół i ujrzała Grahama dochodzącego już do platformy, od której dzieliła go tylko barierka. Wyciągnął rękę i chwycił się jej. Teraz, by znaleźć się bezpiecznie na platformie, musiał pokonać barierkę. Zdjął jedną nogę ze szczebla, ale gdy poczuł bezzmierną czeluść, zamiast przełożyć nogę za poręcz, zawahał się i chciał ją cofnąć. Nagle wykrzesał z siebie trochę odwagi, postawił nogę na krawędzi płyty i zawisł tak, rozkrzyżowany nad przepaścią. Connie już chciała krzyknąć, obudzić go, gdy wreszcie puścił się drabinki i przestawił drugą nogę na brzeg platformy. Zachwiał się, ale złapał równowagę i nie spadł, po czym przełożył swe ciało ponad balustradą. Był już bezpieczny.

Connie przyspieszyła ryzykownie i ostatnie kilkanaście szczebli pokonała na złamanie karku, akurat wtedy, kiedy Bollinger oddał trzeci strzał. Harris czekał już na nią na dwudziestym siódmym piętrze i trzymał otwarte drzwi.

Pierwsza rzecz, jaką zobaczyła, to krew na jego spodniach. Wielka plama. Tak wielka jak srebrna dolarówka. Połyskiwała nieprzyjemnie na szarym płótnie.

— Co się stało?

— Miałem je w kieszeni — powiedział wyciągając nożyczki. — Gdy byliśmy trochę wyżej, przedziurawiły kieszeń i wbiły mi się w udo, omal wtedy nie spadłem.

— Czy to poważna rana?

— Nie...

— Boli?

— Nie bardzo.

— Wyrzuć je lepiej.

— Jeszcze nie.

Bollinger patrzył za nimi, aż opuścili szyb. Szybko policzył: platformy znajdowały się co drugie piętro, uciekinierzy zeskoczyli na drugą z kolei platformę, a więc byli na dwudziestym siódmym piętrze.

Wstał i rzucił się biegiem do windy.

— Chodź — powiedział Graham. — Do schodów, szybko!

— Nie. Musimy wrócić do szybu!

Na jego twarzy odmalowało się zdumienie, a w oczach ból.

— To szaleństwo!

— Teraz na pewno nie będzie nas szukał w szybie, przynajmniej nie przez najbliższe kilka minut. Zanim się zorientuje i wróci, zdążymy wejść ze dwa piętra do góry, a potem możemy znowu wyjść z szybu. — Otworzyła drzwi, przez które dopiero co weszli.

— Nie wiem, czy jeszcze się na to zdobędę — powiedział.

— Musisz!

— Powiedziałaś wejść ze dwa piętra?

— Tak.

— Żeby uciec, musimy schodzić na dół!

Potrząsnęła głową, a fala ciemnych włosów opadła jej na czoło.

— Pamiętasz, co powiedziałam na temat strażników?

— Że może ich już zabił...

— Jeśli Bollinger ich zabił, żeby mieć z nami wolną rękę, to mógł również pozamykać wszystkie wyjścia z budynku. A jeżeli dostaniemy się już na parter, Bollinger będzie deptał nam po piętach i zobaczymy, że drzwi są zamknięte? Zanim zdążymy wybić szyby i uciec, on już zdąży nas załatwić.

— Ale wcale nie wiemy, czy zabił strażników. Może ich jakoś ominął?

— Czy możemy na tym założeniu polegać?

Graham zmarszczył brwi.

— Nie, raczej nie.

— Nie chcę znaleźć się na parterze bez większej przewagi w czasie nad Bollingerem.

— Lecz co nam da wchodzenie na górę?

— Nie damy rady bawić się z nim w chowanego przez dwadzieścia siedem pięter, które nam jeszcze zostały. Ale jeśli pójdziemy trzynaście pięter w górę, to spokojnie do-  
trzymamy do twojego biura idąc na zmianę szybem i schodami.

— Dlaczego do mojego biura?

— Dlatego, że on nie oczekuje od nas takiego manewru.

Błękitne oczy Grahama już nie były tak wielkie ze strachu, jak jeszcze niedawno. Przymrużył je teraz nawet w zamyśleniu. Pomimo wszelkich obaw pojawiła się w nim wola przetrwania, pierwsza oznaka powrotu starego Grahama Harrisa, wyrwanego ze skorupy lęku.

— Prędzej czy później domyśli się wszystkiego. Zaoszczędzimy nie więcej niż piętnaście minut.

— To wystarczająco dużo czasu, żeby znaleźć kolejne wyjście powiedziała. — Chodź, Graham, straciliśmy już dosyć czasu. W każdej chwili może zjawić się na tym piętrze!

Z mniejszym oporem niż za pierwszym razem, ale nadal niezbyt chętnie, podążył za nią z powrotem do szybu. Gdy znaleźli się na platformie, powiedział:

— Idź pierwsza. Ja zostanę z tyłu, żeby nie stracić cię z drabinki, gdybym spadł.

Gdy schodzili w dół, z tego samego powodu nalegał, by iść przodem. Objęła go, pocałowała, po czym odwróciła się i rozpoczęła wspinaczkę.

Gdy tylko wyszedł z windy na dwudziestym siódmym piętrze, Bollinger pobiegł sprawdzić klatkę schodową z północnej strony wieżowca. Była pusta.

Jak strzała przeciął całą długość korytarza do południowych schodów. Stał na półpiętrze przez prawie minutę nasłuchując jakichkolwiek odgłosów. Nic nie usłyszał.

Wrócił na korytarz i zaczął sprawdzać, czy wszystkie drzwi są pozamykane, aż uświadomił sobie, że mogli wrócić do szybu. Niezwłocznie odnalazł kantorek sprzątaczkii oraz pomalowane na czerwono metalowe drzwi. Były otwarte.

Tak jak poprzednio, zbliżył się do nich ostrożnie. Gdy je powoli otwierał, usłyszał, że takie same drzwi są gdzieś zamykane.

Wyszedł na platformę i przechylił się, patrząc w dół. Oczywiście nikogo nie zobaczył i nawet się tego nie spodziewał. Zastanowił się, które to mogły być drzwi, ile pięter zdążyli zejść?

„Cholera jasna!”, pomyślał.

Postać chwilę i przeklinając na całe gardło ruszył z powrotem w kierunku południowych schodów posłuchać, czy nie uciekają tamtędy.

Tymczasem Graham i Connie pokonali północnymi schodami jedno piętro. Graham krzywił się z bólu, który rozdzierał mu nogę od uda po kostkę. Każdy krok oznaczał piekielne klucie, więc w odruchu samoobrony, łagodzącym ból, przed postawieniem nogi na stopniu napinał brzuch. Więc i żołądek go teraz rozbolał. Gdyby po wypadku na Evereście uprawiał gimnastykę i nie zaniechał rekreacyjnej wspinaczki, to nie miałby teraz kłopotów z kondycją. Obciążał teraz swą nogę przez ten jeden wieczór bardziej niż normalnie przez cały rok. Płacił z nawiązką za pięć lat braku fizycznej aktywności.

— Nie zwalnij — powiedziała Connie.

— Staram się.

— Korzystaj z poręczy. Opieraj się na niej całym ciałem, to będzie ci lżej.

— Ile jeszcze?

— Jeszcze jedno piętro.

— To cała wieczność.

— I wtedy wrócimy do szybu.

Drabinka w szybie odpowiadała mu bardziej niż schody. Tam mógł, przytrzymując się mocno rękami, opierać całe ciało na zdrowej nodze i nawet przeskakiwać na niej ze szczebla na szczebel. Na schodach musiał stawać obiema nogami, gdyż przeskakiwanie na jednej trwałoby zbyt długo.

— Jeszcze tylko jedno półpiętro — powiedziała Connie chcąc dodać mu odwagi.

Graham przyspieszył nagle, jakby chciał sam siebie zaskoczyć, a nawet oszukać. W okamgnieniu pokonał dziesięć stopni. Kosztowało go to kolejną falę cierpienia, które z nogi wędrowało już do czaszki, ale nie zatrzymał się. Jedyne nieco zwolnił.

Bollinger stał na południowej klatce schodowej i nasłuchiwał. Nic.

Spojrzał przez poręcz w dół oraz w górę. Widział tylko na przemian występujące strefy światła i cienia. Nic więcej. Wrócił na korytarz i pobiegł w kierunku północnych schodów.



## 29

Billy wjechał na podwórko. Jego pojazd zaznaczył pierwsze ślady na świeżym śniegu.

Podwórko gospodarcze na tyłach Bowertona miało wymiary 6x12 metrów. Wychodziły nań cztery pary drzwi. Przez jedne z nich, duże, pomalowane na zielono, dostarczano do budynku meble biurowe i inne rzeczy, których rozmiary nie pozwalały na użycie głównego wejścia. Zapalona nad zielonymi drzwiami lampa sodowa rzucała zimne, nieprzyjemne światło na kamienne ściany oraz na plastikowe worki ze śmieciami, które miały zostać rano zabrane. Cienie padające na białą płaszczyznę świeżego śniegu były ostre i złowrogie.

Nigdzie nie było Bollingera.

Billy zaparkował i wyłączył światła pozostawiając silnik na chodzie, przygotowany do ewakuacji, gdyby były najmniejsze kłopoty. Opuścił boczną szybę na kilka centymetrów, by powstrzymać zaparowanie wszystkich okien.

Bollinger nadal nie wychodził na spotkanie. Billy spojrzął na zegarek. 22:02.

Śnieg padał spokojnie i równomiernie. Tu, w podwórku osłoniętym ścianami okolicznych domów, wiatr nie dawał się tak we znaki, jak na ulicy.

Zwykle w nocy zmotoryzowane patrole policji kontrolowały boczne uliczki i ciemne podwórka, wypatrując włamywaczy z nie zrabowanym do końca łupem, rabusiów z nie obrabowanymi do końca ofiarami i gwałcicieli z nie ujarzmionymi jeszcze kobietami. Ale nie dzisiaj. Nie w taką pogodę. W taką pogodę policjanci mają inne zajęcia, głównie naprawianie radiowozów po częstych w takiej zawierusze stłuczkach. Pozostali z pewnością zaszyją się w swych samochodach gdzieś na spokojnym odludziu, najlepiej w jakimś parku, pijąc kawę — czasami wzmocnioną — i opowiadając o sporcie oraz kobietach, gotowi pojechać do akcji dopiero na wyraźne wezwanie przez radio.

Billy jeszcze raz spojrzął na zegarek. 22:04.

Będzie czekał jeszcze dokładnie dwadzieścia sześć minut. Ani sekundy krócej, ani sekundy dłużej. Tak obiecał Dwrightowi.

I znów Bollinger dopadł do szybu, by usłyszeć tylko odgłos zamykanych gdzieś metalowych drzwi.

Wychylił się za barierkę i spojrzął w dół. Nic, tylko inne barierki, inne platformy, inne światła awaryjne i strefy ciemności. Harris i kobieta zniknęli.

Był już zmęczony tą zabawą w chowanego, tym bieganiem jak szczeniak od schodów do schodów i od schodów do drabinek. Pot spływał z niego strugami. Czuł, że koszula przykleja się już do pleców. Wyszedł z szybu, dotarł do windy, uruchomił ją i wcisnął przycisk parteru.

Na parterze zdjął swój ciężki płaszcz i rzucił na podłogę koło wind. Pot spływał mu po szyi na piersi. Nadal jednak Bollinger nie zdejmował rękawiczek. Grzbietem lewej dłoni starł pot z czoła, ale niewiele to pomogło, więc wyciągnął ze spodni koszulę i jeszcze raz przejechał po czole. Niewidoczny dla kogoś, kto mógłby podejść do głównych drzwi od ulicy, oparł się o marmurową ścianę przy wnęcie z windami tak, że dokładnie widział oba wyjścia z klatek schodowych. Gdyby Harris i jego towarzyszka pojawili się tam teraz, przestreliliby im na wylot ich pieprzone mózgi. O, tak. Z przyjemnością.

Kuśtykając korytarzem czterdziestego piętra w stronę światła rzucanego przez otwarte drzwi sekretariatu Wydawnictwa Harrisa, Graham zwrócił uwagę na gablotkę alarmu przeciwpożarowego wmontowaną w ścianę. Dlaczego jej wcześniej nie zauważył? Nie była przecież taka mała; oprawiona w pomalowaną na czerwono metalową ramkę kwadratowa szybka miała bok długości co najmniej dwudziestu centymetrów.

Dlaczego wcześniej nie wpadł na ten pomysł?

Connie, która była w przodzie, usłyszała, że się zatrzymał.

— Co się stało?

— Patrz!

Wróciła do niego.

— Jeśli zbijemy szybkę i ruszymy dźwignię, to przyjadą tu zaalarmowani strażnicy z dołu.

— Oczywiście, o ile żyją.

— Nawet jeśli nie żyją, to przyjedzie tu straż pożarna i Bollinger nie zdoła nam już nic zrobić.

— Kto ci powiedział, że on się przestraszy i ucieknie? W końcu wiemy, kim on jest. Będzie czekał na dogodną okazję, by nas zabić, a potem, nie zauważony przez strażaków, ulotni się.

— Może — zgodził się Graham, przestraszony trochę wizją błąkania się po korytarzach wypełnionych przeraźliwym dzwonkiem alarmu przeciwpożarowego, po korytarzach, gdzie w każdym załomie kryć się mógł morderca.

Patrzyli oboje przez szybkę na dźwignię, którą włączyć mogli alarm.

Poczuł nadzieję, a nadzieja ta przyniosła odprężenie. Rozluźnił napięte do granic możliwości mięśnie ramion, szyi, twarzy. Po raz pierwszy tej nocy poczuł, że jednak jest szansa na to, iż ucieczka się powiedzie.

Potem przypomniał sobie swoją wizję. Kulę. Krew. Ma być zastrzelony od tyłu.

— Alarm na pewno będzie taki głośny, że nie usłyszymy, jak się zbliża — powiedział.

— Każdy kij ma dwa końce — rzekła Connie. — On również nie będzie słyszał nas. Dotknęła palcem zimnej szybki, zawahała się i zabrała palec z powrotem.

— Dobra, tylko gdzie jest ten młoteczek do zbitcia szybki? — spytała podnosząc do góry zakończony pustym kółkiem łańcuszek. Czy mamy coś zastępczego?

Graham wyciągnął z uśmiechem nożyce i podniósł je do góry z namaszczeniem, jak jakiś amulet.

— Oklaski, oklaski! — zawołała na tyle już odprężona, że zdolna do małych żartów.

— Dziękuję.

— Tylko uważaj — powiedziała.

— Cofnij się.

Nie oponowała.

Graham chwycił nożyce za złożone razem ostrza, a w charakterze młotka użył ich rękojeści. Szkło rozprysło się na kawałki pod wpływem uderzenia. Graham wyciągnął tkwiące jeszcze w ramce odłamki i wsadził rękę do gablotki. Przesunął dźwignię alarmu z zielonego pola na czerwone, i nic.

Żadnego alarmu.

Cisza.

„Jezu!”, pomyślał.

— O, nie! — krzyknął.

Bezwiednie niemal, kierowany jakimś ostatnim promykiem nadziei, przesunął jeszcze raz dźwignię, z powrotem na zielone, i znów na czerwone pole.

Nadal nic.

Bollinger okazał się tutaj równie przewidujący, co w przypadku telefonów.

Wycieraczki pracowały tam i z powrotem, usuwając z szyby śnieg. Miarowe „łump-łump” działało Billy’emu na nerwy.

Spojrzał przez tylne lusterko na zielone drzwi, potem na pozostałe trzy pary drzwi.

Była 22:15.

Gdzie, u licha, podział się Dwight?

Graham i Connie pobiegli do pokoju redaktora technicznego w poszukiwaniu noża lub innego ostrego narzędzia, które byłoby lepszą bronią od nożyczek. W środkowej szufladzie dużego metalowego stołu kreślarskiego, służącego plastykowi do prac graficznych, Graham znalazł coś w rodzaju skalpeli.

Kiedy podniósł wzrok znad szuflady, zobaczył, że Connie pograżyła się w rozmyślaniach. Stała przy drzwiach na wprost jasnoblękitnego ekranu fotograficznego, tła dla około trzydziestu różnych elementów wyposażenia do wysokogórskiej wspinaczki. Leżały tam w nieładzie między innymi zwoje lin, haki, łańcuchy, karabinki, buty i kurtki z nylonu.

— Widzisz, co znalazłem? — zapytał wyjmując skalpele.

Nie była nimi zainteresowana.

— Co o tym myślisz? — wskazała na sprzęt wysokogórski.

Podszedł do niej i nic jeszcze nie rozumiejąc wyjaśnił:

— Od najnowszego numeru rozpoczynamy prowadzenie przewodnika po dostępnym na rynku sprzęcie. Te egzemplarze były fotografowane do niego. A dlaczego pytasz? — Nagle twarz mu pojaśniała i zanim Connie zdążyła otworzyć usta, krzyknął: — Nie odpowiadaj, już wiem! — Pogrzebał w sprzęcie i wydobył czekan do rąbania lodu. — To będzie jeszcze lepsza broń niż te skalpele.

— Graham?

Spojrzał jej w oczy.

Na twarzy Connie malował się dziwny wyraz: pomieszanie zakłopotania, strachu i rozbawienia. Widać było, że myśli o czymś ważnym i interesującym, ale nawet szare oczy nie chciały zdradzić, co zrodziło się w jej umyśle.

— Nie śpieszmy się tak z walką. Czy możemy rozważyć wszystkie nasze opcje? — spytała.

— Jak najbardziej.

Wyszła na korytarz, wychylając śmiesznie głowę, by móc lepiej słyszeć kroki zbliżającego się Bollingera.

Graham mocniej ścisnął czekan.

Ale na piętrze nie było nikogo poza nimi, a przynajmniej nikogo innego nie było słychać. Connie wróciła do pokoju.

Graham zwolnił uścisk na trzonku czekana.

— Myślałem, że coś usłyszałaś — powiedział.

— Wolałam posłuchać dla pewności. — Spojrzała na leżący na błękitnym tle rynsztunek i usiadła na krawędzi metalowego stołu kreślarskiego. — Moim zdaniem jest pięć możliwych rozwiązań naszej sytuacji. Pierwsze, to zostać tu i próbować walczyć z Bollingerem.

— Mamy ten „topór”! — powiedział Graham podnosząc go do góry. — I jeszcze parę rzeczy by się znalazło.

— Możemy zasadzić na niego pułapkę i działać z zaskoczenia.

— Ale widzę tu dwa poważne problemy.

— On ma rewolwer.

— To pierwszy problem.

— Ale jeśli go zaskoczymy, nie będzie miał czasu, żeby strzelić.

— Drugi problem stanowi to — powiedziała Connie nie zwracając uwagi na jego ostatnią wypowiedź — że żadne z nas nie jest i nie chce zostać mordercą.

— Możemy go tylko walnąć tak, żeby stracił przytomność.

— Jeśli uderzysz go w głowę takim toporem, to prawdopodobieństwo zadania śmiertelnej rany jest bardzo duże.

— Jeśli mam wybierać między swoim życiem a jego życiem, to chyba wiesz, co wybiorę.

— Tak, ale jeśli się zawahasz choć przez sekundę, będziemy zgubieni.

Nie poczuł się urażony jej brakiem wiary w niego. Wiedział, że nie zasługiwał na to, żeby zupełnie na nim polegać.

— Powiedziałaś, że mamy pięć możliwości.

— Tak. Drugie rozwiązanie, to ukryć się.

— Gdzie?

— Nie wiem. Może poszukać jakiegoś biura, które zapomniano zamknąć, schować się do środka i zaryglować?

— Nikt tu nie zapomina zamykać swego biura.

— Możemy dalej kontynuować zabawę w kotka i myszkę.

— Jak długo?

— Aż przyjdzie nowa zmiana strażników i znajdzie tamtych zabitych.

— Ale jeśli nie zabił poprzedniej zmiany, to skąd nowa zmiana będzie wiedzieć, co się tu dzieje na górze?

— Racja.

— Poza tym niewykluczone, że oni pracują na dwunastogodzinnych zmianach. Znam jednego nocnego strażnika. On zawsze pracuje po dwanaście godzin, cztery razy w tygodniu, a resztę ma wolną. Więc jeśli przyszli do pracy na osiemnastą, to nowi nie przyjdą wcześniej niż o szóstej rano.

— Siedem i pół godziny.

— Zbyt długo na zabawę w kotka i myszkę. Zwłaszcza z tym moim kalectwem.

— Trzecie rozwiązanie to otworzyć jedno z okien i wołać o pomoc.

— Z czterdziestego piętra? Nawet przy dobrej pogodzie nikt by nas na dole nie usłyszał. A przy tym wietrze nikt by cię nie usłyszał nawet dwa piętra niżej.

— Wiem. Poza tym w taką noc, jak ta, nikogo nie ma na ulicy.

— Dlaczego więc podałaś taką propozycję?

— Zadziwi cię dopiero rozwiązanie numer pięć. Uprzedzam cię, że dokładnie przemyślane.

— Co się kryje pod numerem piątym?

— Najpierw numer czwarty! Otworzymy okno i będziemy wyrzucać meble na Lexington, żeby zwrócić na siebie uwagę, jeśli nie przechodniów, to chociaż kierowców.

— Nawet i samochodem mało kto teraz jeździ.

— Zawsze znajdzie się jakaś taksówka.

— Jeśli wyrzucimy na przykład fotel, to i tak nie będziemy mieli żadnego wpływu na to, gdzie on spadnie, gdyż jest bardzo silny wiatr. A jeśli spadnie na jakiś samochód, przebije dach i zabije człowieka?

— Też o tym pomyślałam. I dlatego nie możemy tak zrobić.

— A jakie jest piąte wyjście?

Wstała od stołu i podeszła do ekwipunku wysokogórskiego.

— Musimy to założyć.

— Założyć?

— Tak. Buty, kurtki, rękawice, liny...

Wstrząsnęło nim.

— Dlaczego?!

Oczy miała szeroko otwarte, jak wystraszony zając.

— Żeby zejść na dół.

— Żeby co?!

— Zejść na dół po ścianie budynku. Aż na ulicę.

---

# Część czwarta

---

**Od godz. 22:30 w piątek do godz. 4:00 w sobotę**

## 30

Dokładnie o godzinie 22:30 Billy wyjechał z podwórka przy Bowertonie.

W ciągu ostatniej półgodziny śnieg rozpadał się na dobre, a wiatr w swych silnych porywach stał się nawet niebezpieczny. W światłach reflektorów wirowały gęste kokony płatków, które utrudniały widoczność nie mniej niż mgła.

Po opuszczeniu podwórka Billy chciał skręcić w ulicę, lecz wpadł w poślizg na zlodowaciałej jezdni i rzuciło go na przeciwny krawężnik. Skręcił mocno kierownicę w kierunku poślizgu i zdołał wyprowadzić z niego samochód, zanim ten uderzył w zaparkowany po drugiej stronie ulicy ciągnik siodłowy.

Dopiero teraz, kiedy nieomal doszło do zderzenia, uświadomił sobie, że prowadzi za szybko. To nie było w jego stylu. Był zawsze ostrożny. Nigdy nie ryzykował niepotrzebnie. Nigdy. Zdenerwował się na siebie za to, że nie kontroluje tego, co robi.

Pojechał w stronę alei Lexington. Miał zielone światło, a najbliższy samochód widać było aż trzy czy cztery przecznice dalej — malutkie światełka dodatkowo przytłumione przez śnieg. Skręcił w Lexington.

Przejechał około stu metrów i znalazł się przed głównym wejściem do Bowertona. Wykonane z kamienia wejście kryło cztery pary obrotowych drzwi, a ukoronowane było siedmiometrowej długości ogródkiem. Otoczone obramowaniem z brązu rosły tam starannie zakomponowane kwiaty i paprocie. Przez szklane drzwi widać było kawałek olbrzymiego hallu. Był pusty. Billy podjechał do krawężnika i prowadził wzdłuż niego swe auto bardzo powoli, prawie nie poruszając się. Dokładnie lustrował wejście do budynku, sam budynek, ulicę, wypatrując czegoś, co mogło się wiązać z nawalanką Dwighta. Jednak nic podejrzanego nie mógł zobaczyć.

Jakkolwiek jednak by było, plan nie powiódł się. Coś musiało wydarzyć się w środku, coś co pokrzyżowało im szyki.

Jeśli złapali Bollingera, czy będzie sypał? Czy zwali całą winę na Billy'ego? Billy był zaniepokojony.

Musiał pojechać do pracy jakby nigdy nic. Nie będzie to łatwe ze względu na niepewność co do losów Dwighta i co do tego, czy — jeśli został aresztowany — zdradzi swego współnika. Ale Billy, jeśli chciał mieć alibi na wypadek ewentualnej konfrontacji z ze-

znaniem Dwighta, musiał teraz zachowywać się i pracować normalnie. Nie wolno mu było ani stracić zimnej krwi, ani skierować na siebie uwagi otoczenia. Dla wszystkich, którzy go znali, musiał być taki jak zawsze.

Franklin Dwight Bollinger stawał się coraz bardziej niespokojny. Cały pływał już w gęstym pocie, a palce bolały go od ściskania pistoletu. Już od ponad dwudziestu minut obserwował oba wyjścia z klatek schodowych, ale nie pojawili się jeszcze ani Harris, ani jego towarzysza.

Billy na pewno już odjechał, cały plan spalił na panewce. Jeszcze przed chwilą Bollinger myślał, że może dałoby się uratować projekt, ale zaraz stwierdził, że to jest jednak nierealne. Teraz sytuacja sprowadziła całe zamierzenie do dwóch punktów: wykończyć ich i spływać do domu.

„Gdzie jest Harris?”, pomyślał. „Czy wyczuł, że czekam tu na niego? Czy ten cholerny dar jasnowidzenia ostrzegł go przede mną?”

Zdecydował, że poczeka jeszcze pięć minut. Potem będzie musiał rozpocząć poszukiwania.

Graham wyjrzał przez okno na złowrogą panoramę osnutego zamiecią, śpiącego miasta, na gigantyczne budynki oświetlone przymglonymi światłami i powiedział:

— To niemożliwe!

Stojąca za nim Connie położyła mu rękę na ramieniu.

— Dlaczego nie?

— Bo nie i już.

— To żadna odpowiedź.

— Nie dam rady się wspinać.

— To nie wspinaczka.

— Co takiego?

— To spuszczenie się po linie.

— Żadna różnica.

— Jak to?

— Ja tego nie zrobię.

— Na drabince w szybie nieźle sobie radziłeś...

— To było co innego.

— Czemu?

— Nie wspinałaś się zresztą nigdy.

— Możesz mnie nauczyć.

— Nie.

— Oczywiście, że tak.

— Tego nie można uczyć się na ścianie czterdziestopiętrowego wieżowca w środku zamieci śnieżnej.



- Mam przecież cholernie dobrego nauczyciela — powiedziała.
- O, tak. Takiego, który nie był w górach od pięciu lat!
- Tego się tak szybko nie zapomina.
- Ale nie jestem w formie!
- Jesteś silnym mężczyzną.
- Zapominasz o mojej nodze.

Odwróciła się od okna i podeszła do drzwi, aby, nie przerywając rozmowy, usłyszeć w razie czego Bollingera.

— Pamiętasz tego człowieka, którego Abercrombie i Fitch wynajęli, żeby wspiął się po ścianie ich budynku reklamując nową serię sprzętu wysokogórskiego? — spytała.

Zahipnotyzowany widokiem nocy za oknem nie odwrócił się, ale odpowiedział:

— Pamiętam, i co z tego?

— Wtedy powiedziałaś, że to wcale nie takie trudne.

— Naprawdę?

— Powiedziałaś, że budynki zawsze mają tyle wyłomów i półek, że są dużo łatwiejsze od jakiejkolwiek góry.

Nic nie odrzekł. Pamiętał swe słowa i wiedział, że to prawda. Ale gdy wówczas to mówił, nie przypuszczał, że sam będzie zmuszony udowodnić ową tezę w praktyce. Wciąż jeszcze miał w pamięci obrazy spod Everestu i ze szpitalnych sal.

— Ten sprzęt, który wybrałeś do swojego przewodnika...

— Tak?

— ...jest najlepszy, jaki może być?

— Tak. Albo prawie najlepszy.

— To nam zupełnie wystarczy.

— Zginiemy w taką pogodę.

— Zginiemy również, jeśli tu zostaniemy.

— Może nie.

— Ja uważam, że zginiemy.

— Musi być jeszcze jakaś alternatywa.

— Rozważaliśmy już wszystko.

— A może się gdzieś ukryjemy?

— Gdzie?

— Nie wiem. Ale...

— Nie możemy się ukrywać przez siedem godzin.

— Ale twój pomysł to czyste szaleństwo!

— Masz lepszy?

— Niech pomyślę...

— Bollinger może tu wpaść lada chwila.

— Na dole wiatr musi mieć prędkość ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, przynajmniej w porywach. A tu, na tej wysokości, nawet i osiemdziesiąt.

— Czy może nas zwiać?  
— Będziemy posuwać się bardzo wolno.  
— Czy lin nie można zakotwiczyć?  
Odwrócił się od okna.  
— Tak, ale...  
— Przecież możemy założyć to — wskazała na uprzęż przytwierdzoną do liny, która leżała na stosie ekwipunku.  
— Tam na zewnątrz będzie cholernie zimno, Connie.  
— Mamy kurtki z podpinką.  
— Ale nie mamy ocieplanych spodni. Nosisz zwykle džinsy. Zresztą tak jak i ja. Równie dobrze moglibyśmy wyjść na zewnątrz z gołymi nogami.  
— Nie jestem wrażliwa na zimno.  
— Nie zdajesz sobie sprawy, jak zimno jest teraz na zewnątrz na tej wysokości i jak długo będziemy schodzić.  
— No właśnie, ile nam to zajmie?  
— Nie wiem.  
— Musisz mieć jakieś wyobrażenie.  
— Godzinę. Może dwie...  
— Tak długo?  
— Jesteś nowicjuską.  
— Nie byłoby szybciej pokonać tę ścianę skokami?  
— Skokami? — Graham wybałuszył na nią oczy.  
— To chyba będzie proste. Zamiast schodzić mozolnie po linie, moglibyśmy, mając ubezpieczenie w postaci upręży, odbijać się nogami od ściany, zjeżdżać na linie, znów odbijać się i znów zjechać parę metrów...  
— Tylko ci się wydaje, że to proste.  
— Proste, nie proste — ale jakie szybkie!  
— Boże! Nigdy nie uprawiałaś wspinaczki, a teraz chcesz mnie uczyć, jak się to robi!  
— Potrafię myśleć.  
— Ale zgodnie z k o b i e c ą logiką.  
— Dobra, zdaję się na twoje doświadczenie.  
— Na pewno nie będziemy skakać po ścianie.  
— Zjedziemy powolutku i spokojnie.  
— Nigdzie nie będziemy zjeżdżać.  
Ignorując jego wypowiedź, rzekła:  
— Mogę wytrzymać na mrozie te dwie godziny. Wiem, że mogę. A zresztą będziemy się ruszać, więc nie powinno nam być zimno.  
— Zamarzniemy na śmierć — storpedował jej opinię.

— Graham, my nie mamy dużego wyboru. Możemy albo iść, albo zostać. Jeśli pójdziemy, to może się zdarzyć, że spadniemy albo zamarzniemy na śmierć. Ale jeśli zostaniemy, to na pewno będziemy martwi.

— Nie jestem przekonany, że to takie oczywiste.

— Wiem, że jesteś.

Zamknął oczy. Był na siebie wściekły za swe tchórzostwo, za brak odwagi spojrzenia prawdzie w oczy, podjęcia ryzyka, stanięcia twarzą w twarz z bólem i własnymi lękami. Zjazd po ścianie drapacza chmur byłby niebezpieczny. Bardzo niebezpieczny. Mógłby się okazać czystym szaleństwem, mogliby oboje odpaść od ściany już po kilku minutach. Ale Connie miała rację; nie mieli innego wyboru, jak tylko spróbować.

— Graham? Tracimy czas.

— Wiesz, jaki jest prawdziwy powód, dla którego nie możemy pójść?

— Nie — powiedziała. — Powiedz mi.

Poczuł, że robi mu się cieplej i że się czerwieni.

— Connie, nie nabijaj się ze mnie.

— Nigdy się z ciebie nie nabijałam. Sam robisz z siebie ofiarę. — Jej piękna twarz była wykrzywiona żalem. Widział, że nie przychodzi jej łatwo mówić do niego w ten sposób. Podeszła do niego i pogłaskała go po twarzy. — Sam, po kawałku, wyprzedałeś swą godność i szacunek do siebie. — Jej głos był drżący, niski i łagodny. — Szkoda mi ciebie, szkoda ci ciebie, bo jeśli się nie opamiętasz, to nic z ciebie nie zostanie. Nic.

— Connie... — Chciało mu się płakać. Ale wiedział, że nie ma łez dla samego siebie, że nie ma współczucia ani zrozumienia dla człowieka, którym się stał. Czuł, że gdzieś tam głęboko zawsze był tchórzem, a wypadek na Evereście tylko ten strach wyzwolił. Jeśli było inaczej, dlaczego wzbraniał się przed pójściem do psychiatry? A psychoanalizę zalecali mu wszyscy lekarze. Ale Grahamowi chyba dobrze było z tym tchórzostwem i ta świadomość przerażała go.

— Boję się własnego cienia. Nie zdam ci się na nic.

— I tak już wiele przezwyciężyłeś. Wczoraj byłeś bardziej bojaźliwy, niż jesteś dzisiaj — mówiła czule Connie. — A pamiętasz, czego dokonałeś biegnąc w szybie po drabinkach? To jest osiągnięcie! Przecież jeszcze dziś rano miałbyś dreszcze na samą myśl o tym!

Graham teraz też miał dreszcze. Na myśl o wyjściu przez okno.

— To twoja szansa — mówiła dalej. — Możesz pokonać swój lęk. Wiem, że możesz.

Nerwowo przygryzał wargi. Podeszedł do sterty sprzętu wysokogórskiego, który leżał na tle ekranu fotograficznego, i powiedział:

— Chciałbym choć w połowie być tak bardzo pewnym siebie, jak ty jesteś mnie pewna.

Nie mógł zapomnieć swego wypadku. Kiedykolwiek zamknął oczy — nawet w wypełnionym ludźmi pokoju — przeżywał to jeszcze raz: omsknięcie stopy na skale, ból

w piersi, kiedy zacisnęły się taśmy zabezpieczającej uprząży, nagle ustąpienie bólu po zerwaniu liny, zaparty dech, jakby w przełyku utkwiał mu kawałek mięsa, a potem — spądanie, spadanie i spadanie, zakończone w śnieżnej zaspie. Choć spadł z wysokości stu metrów, wydawało mu się, jakby to była wysokość co najmniej kilometra.

— Jeśli tu zostaniesz, będziesz martwy. Ale to będzie łagodniejsza śmierć, bo Bollinger zastrzeli cię, gdy tylko cię zobaczy. Nie będzie się wahał ani przez chwilę. Skończy z tobą w ciągu sekundy. Wzięła go za rękę. — Ale ja nie mam zamiaru tak umierać.

Spojrzał na nią. Z jej szarych oczu bił strach nie mniejszy, nie mniej pierwotny, nie mniej paralizujący niż ten, który opanował jego samego.

— Bollinger będzie chciał mnie zgwałcić — powiedziała.

Nie mógł wykrztusić ani słowa.

— Będzie chciał mnie pociąć — kontynuowała.

Mimowolnie pojawił się przed Harrisem obraz Edny Mowry, trzymającej w martwych dłoniach własne, krwawe wnętrzności.

— Obetnie mi uszy.

— Może nie...

— Nie zapominaj, że to Rzeźnik. Nie zapominaj, kim on jest. Czym on jest.

— Boże, wspomóż mnie... — powiedział.

— Nie chcę umierać. Ale jeśli muszę umrzeć, to nie w ten sposób. Wzdrygnęła się. — Jeśli nie chcesz, żebyśmy się ratowali, jeśli chcesz, żebyśmy tu siedzieli, to wolę, żebyś ty mnie zabił. Uderz mnie w tył głowy czymś ciężkim. Uderz mnie mocno.

— O czym ty mówisz? — spytał udając zdziwienie.

— Zabij mnie, zanim dopadnie mnie Bollinger. Graham, jesteś mi winien choć tyle. Musisz to zrobić.

— Kocham cię — powiedział cicho. — Jesteś dla mnie wszystkim. Nie mam nic ani nikogo, oprócz ciebie.

Connie była smutna, wyglądała jak płaczka na własnej egzekucji.

— Jeśli mnie kochasz, to rozumiesz, dlaczego musisz mnie zabić.

— Nie mógłbym tego zrobić.

— Nie mamy dużo czasu — rzekła. — Albo natychmiast zaczniemy zakładać ten sprzęt, albo musisz mnie zabić. Lada chwila będzie tu Bollinger.

Bollinger rzucił jeszcze jedno spojrzenie na główne wejście, ale na ulicy nie było nikogo. Przeszedł przez cały korytarz i wyszedł na klatkę schodową od północnej strony. Nasłuchiwał kroków. Cisza. Żadnych kroków, żadnych głosów. Absolutna cisza. Poszedł do szybu, stanął na platformie, ale tam też ani nie słyszał, ani nie widział żadnych śladów obecności żywych istot.

Zajrzał do południowej klatki schodowej.

Nikogo tam nie było.

Spojrzał na zegarek. 22:38.

Poszedł do windy, powtarzając w myślach dla uspokojenia jakieś wersy z Blake'a.

# 31

Dobre buty to podstawa wyposażenia amatora górskiej wspinaczki. Muszą mieć od piętnastu do osiemnastu centymetrów wysokości, muszą być zszyte z najlepszych kawałków skóry, i to ręcznie, skórzanymi nitkami. Języki winny być wysokie i podbite płuszem. A najważniejsze ze wszystkiego jest to, żeby podeszwa była twarda i sztywna, wykonana z karbowanej gumy, zwanej wibramem.

Graham zakładał takie właśnie buty. Pasowały jak ulał, a w środku były miękkie jak rękawiczki. Chociaż sam akt zakładania i zapinania butów obserwował raczej ze zgrozą, to jednak czuł się w nich dziwnie wygodnie i bezpiecznie. Wciąż jeszcze dobra znajomość sprzętu do wspinaczek wydała się Grahamowi pierwszym kryterium sprawdzianu, czy jest w stanie przywołać do życia siebie dawnego: Grahama Harrisa, który nie wiedział, co to lęk. Kryterium to raczej spełniał.

Jeśli zaś chodzi o Connie — to dwie pozostałe pary butów były na nią o cztery numery za duże. Pływała w nich po prostu. Mogła wprawdzie wypchać noski i boki papierem, ale czułaby się wtedy tak, jakby nosiła na nogach bloki betonu. Na pewno nie byłoby to pomocne podczas zjazdu po linie.

Na szczęście znaleźli parę kleterek, które jakoś na nią pasowały. Kleterki — to pochodzące z języka niemieckiego określenie lekkich pantofli do wspinaczki (*Kletterschuh*, od *klettern* — wspiąć się, *Schuh* — but). Były lżejsze od standardowych butów, niższe, bardziej zwrotne i przylegające do kostki. Zelówka z gumy i bez sterczących brzegów umożliwiała wsunięcie palców stopy w najwęższe nawet szczeliny.

Jednak ze względu na to, że zrobiono je z przemakalnego zamzu, nie nadawały się specjalnie na dzisiejszą pogodę. Przeznaczone były tylko na doskonałe warunki atmosferyczne, nigdy zaś na burzę śnieżną. Mogły być noszone tylko z braku normalnych butów.

Dla ochrony stóp przed zmoknięciem i odmrożeniem Connie musiała założyć pod kleterki grube skarpety i torebki foliowe. Skarpety były z szarej wełny i dochodziły do połowy łydki. Torebki foliowe służyły zwykle do pakowania jedzenia, które nosiło się w plecaku. Graham nałożył Connie po dwie torebki na jedną nogę, zabezpieczając od góry gumkami.

Oboje założyli ponadto jaskrawoczerwone kurtki nylonowe z kapturami. Kurtka Grahama ocieplana była watą, co wystarczało podczas jesiennych wspinaczek, ale przy

obecnej pogodzie oznaczało, że Harris będzie marzył. Connie była w korzystniejszej sytuacji. Graham dał jej kurtkę puchową. Aby jednak uniknąć sporu, kto ma włożyć lepsze okrycie, przemilczał jego zalety. Teraz Connie była dobrze zabezpieczona przed zimnem, które oczekiwało ich na zewnątrz budynku.

Na kurtkach zamocowali *Klettergürtel*<sup>\*</sup>, rodzaj uprząży dającej zabezpieczenie w razie upadku. Owa część wyposażenia w zasadniczy sposób ulepszała pasy używane dotychczas przez wspinaczy. Pas czasami zaciskał się zbyt mocno na ciele spadającego, uszkadzając serce i płuca. Ta nowoczesna uprząż rozkładała zaś siłę szarpnięcia na cały tułów, zmniejszając ryzyko licznych obrażeń ciała i faktycznie gwarantowała wspinaczowi, że nie zawiśnie głową w dół.

Connie była pod wielkim wrażeniem uprząży. Gdy miała ją już na sobie, Graham powiedział:

— Czyż nie jest to doskonałe zabezpieczenie? Nawet jeśli zaczniesz spadać, utrzyma cię.

Oczywiście, uprząż nie zatrzymałaby jej, gdyby lina była pojedyncza lub gdyby pękła, a także w wielu innych sytuacjach, ale Connie nie martwiła się tym teraz. Graham zadbał o to, by zjeżdżała na dwóch niezależnych od siebie linach: na linie głównej oraz asekuracyjnej, przez całą drogę w dół trzymanej przez Grahama.

On sam nie znajdzie się już w tak dobrej sytuacji. Jego nie będzie miał kto asekurować. Musi zejść na linie pojedynczej.

Oczywiście, nie powiedział o tym Connie ani słowa. Im mniej wiedziała, tym większe były ich szanse na bezpieczne zejście na dół. Napięcie to rzecz pożyteczna podczas wspinaczki, ale za dużo napięcia powoduje, że zaczyna się robić błędy.

Każda uprząż miała przy talii uchwyty na niezbędne akcesoria. Graham powkładał tam haki, karabinki, spity, młotek skalny i kieszonkową wiertarkę na baterie wielkości dwóch pudełek papierosów. Connie też zaopatrzyła się w różnych rozmiarów haki i karabinki.

Po zabraniu niezbędnego wyposażenia objuczyli się jeszcze linami. Connie miała przy każdym udzie po trzydzieści metrów ciężkiej liny, tak ciasno zwiniętej, że nie przeszkadzała przy poruszaniu się. Graham przytroczył do swego prawego uda kolejne trzydzieści metrów liny. Zabrali też krótsze jej zwoje na pierwszy etap schodzenia. W końcu założyli rękawice.

Bollinger wysiadał z windy na każdym piętrze. Jeśli zajmowała je w całości jedna firma, sprawdzał, czy główne do niej drzwi były otwarte. Jeśli tak — wchodził do środka, by spojrzeć, czy nikt nie ukrywa się na korytarzu.

Co piąte piętro lustrował nie tylko korytarz, ale również klatki schodowe i szyby wind. Do dwudziestego piętra były cztery szyby, od dwudziestego do trzydziestego pią-

---

<sup>\*</sup>*Klettergürtel*, *klettern* — wspinąć się, *Gürtel* — pas. (niem.)

tego — dwa, a od trzydziestego piątego do czterdziestego — tylko jeden szyb. Do piętnastego piętra Bollinger zmarnował dużo więcej czasu, niż mógł sobie na to pozwolić, otwierając wszystkie drzwi do szybów.

Była 22:50, a nie znalazł jeszcze żadnego śladu uciekinierów i zaczął się zastanawiać, czy przyjął właściwą metodę poszukiwań. Ale nie miał lepszego pomysłu.

Pojechał na szesnaste piętro.

Connie pociągnęła za sznur i odsunęła draperie.

Graham otworzył środkowe okno. Z początku żadne ze skrzydeł nie chciało się ruszyć, ale potem oba skrzypnęły i otwały się do wewnątrz.

Wiatr gwałtownie wdarł się do pokoju. Jego wycie było jak głos żywej istoty; przerażające, diabelskie. Wraz z wiatrem do pokoju wleciały chmury płatków śnieżnych, zawirowały nad stołem konferencyjnym i roztopiły się na jego lakierowanej płycie, a na jasnozielonym dywanie wyglądały jak krople rosy na trawie.

Graham wychylił się przez okno i spojrzął na ścianę budynku. Ostatnie pięć pięter Bowertona i ozdobne wieżyczki na jego szczycie dzielił od trzydziestego siódmego piętra tarasowy występ dwumetrowej szerokości. Znajdował się dokładnie trzy piętra niżej niż okno, z którego wyglądał teraz Graham, i zasłaniał cztery piąte pozostałej ściany wieżowca. Była ona praktycznie poza zasięgiem wzroku. Śnieg padał tak gęsto, że nawet ledwo było widać uliczne latarnie na Lexington, nie mówiąc już choćby o kawałku chodnika.

Przez te kilka sekund potrzebnych do oceny sytuacji wiatr sprawił, że Graham zmarzł do szpiku kości, a twarz nieomal mu zdrętwiała.

— Cholera, jak zimno! — wykrzyknął odwracając się od okna. Nawet jeśli nie spadniemy, to na pewno odmrozimy sobie kończyny!

— Nie mamy innego wyjścia — odparowała Connie.

— Wiem i nie mam zamiaru się wycofywać.

— Może zawiniemy sobie twarze?

— W co?

— W szmaty.

— Ten wiatr przewieje każdy materiał, jaki znajdziemy. A co gorsza, może nam go przykleić do twarzy tak, że nie będziemy mogli oddychać. Niestety w naszym przewodniku nie mamy żadnej maski na twarz. Wtedy mielibyśmy kompletne wyposażenie.

— No to co zrobimy?

Pewna myśl przysłała mu do głowy. Podszedł do swego biurka i zdjął rękawice. W środkowej szufladzie leżały dowody jego wciąż narastającej hipochondrii, będącej nieodłącznym elementem bojaźni: anacyna, aspiryna, różne leki na przeziębienie, kapsułki tetracykliny, tabletki od bólu gardła, termometr. Wyciągnął stamtąd niewielką tubkę.

— Czy to maść na popękane usta? — spytała Connie.

— Podejdź tu.

Podeszła do niego.

— Nie bój się — powiedział. — Jeśli mamy się wystawić na trzaskający mróz, to ta maść może nam tylko pomóc, a nie zaszkodzić.

Następnie wycisnął sobie na dłoń całą tubę i natarł kremem twarz Connie — czoło, skronie, policzki, nos, usta i brodę.

— Nawet jeśli posmaruję cię cienką warstwą, to wiatr będzie potrzebował dużo więcej czasu, żeby odebrać ci ciepło, niż gdybyś była nie posmarowana. I nie wysuszy ci skóry. Utrata ciepła to bardzo poważne zagrożenie. Ale utrata wilgotności razem z utratą ciepła, to już stu procentowe odmrożenie. Pamiętaj, że suchy, mroźny wiatr nie mniej wysusza niż pustynne powietrze.

— Wiedziałam — powiedziała.

— Wiedziałaś o tym?

— Nie. Wiedziałam, że masz w sobie coś z Nicka Charlesa.

O jedenastej Bollinger wszedł po raz kolejny do windy i nacisnął guzik dwudziestego drugiego piętra.



## 32

Framuga wielodzielnego okna wyglądała niezwykle solidnie, nie tak jak te aluminiowe paski, w które oprawia się szyby od bez mała trzydziestu lat. Żłobiony, środkowy węgar był ze stali i miał ponad trzy centymetry szerokości. Wyglądał na to, że się nie wygnie i nie zostanie wyrwany z framugi, utrzymując setki kilogramów.

Harris zaczepił o niego karabinek.

Karabinki to podstawa wyposażenia każdego amatora wspinaczki. Wykonywane są ze stali lub jej stopów i mają różne kształty — litery D, gruszki lub dziurki od klucza, ale najczęściej używane są te w kształcie krągłego D. Mają zwykle wymiary 5x9 cm i przypominają powiększone kółko na klucze albo wydłużone ogniwo łańcucha. Jeden z boków tego urządzenia to zatraskujące się ramię na zawiasie, które umożliwia mocowanie karabinka do haków poprzez specjalne oczka. Następnie można przepuścić przez nie linę. Gładka powierzchnia karabinka zwanego „pierścieniem z zatraskiem” chroni linę przed przetarciem o nie szlifowaną, ostro zakończoną powierzchnię haka lub chropowatą skałę. Za pomocą karabinka można też połączyć dwie liny, by się nie splątały. Jednym słowem karabinek chroni przed wypadkami.

Na polecenie Grahama Connie zerwała plastikową banderolę ze zwoju nylonowej liny. Miała czerwono-niebieski kolor i dwadzieścia siedem metrów długości.

— Nie wygląda na mocną — powiedziała Connie.

— Dopiero siła dwóch tysięcy kilogramów jest w stanie ją zerwać.

— A taka cienka!

— Ma centymetr średnicy.

— Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Uśmiechnął się uspokajająco i powiedział:

— Odpręż się.

Zawiązał pętlę na końcu liny, zaczepił ją na karabinku i zatrzasnął jego ramię. Aby zapobiec ewentualnemu otwarciu się ramienia, osadzono na nim gwintowaną tulejkę, którą teraz Graham starannie dokręcił.

Był zaskoczony tym, jak szybko i z jaką wprawą pracuje. Kierował nim bardziej instynkt niż wiedza. Przez ostatnie pięć lat nie zapomniał niczego.

— Ta lina będzie cię zabezpieczać — powiedział do Connie. Przesuwając linę w dłońmi odwinął na oko dziesięć metrów.

Z kieszeni kurtki wyjął składany nóż i odciął odmierzona długość. Podniósł z podłogi koniec krótszej części liny i przywiązał do uprzęży Connie, łącząc ją tym samym z węgiem framugi okiennej. Resztą liny opasał Connie w talii. Wskazał na parapet i powiedział:

— Usiądź tam.

Usiadła posłusznie, plecami do wiatru i śniegu, i patrzyła na niego.

Dziesięć metrów liny łączącej Connie z węgiem wyrzucił teraz przez okno, gdzie od razu zaczęła tańczyć na wietrze. Następnie odmierzył na podłodze piętnastometrowy odcinek, którym obwiązał się w pasie, a pozostałą część liny starannie zwinął, aby uniknąć splątania, gdy będzie ją popuszczał.

Zamierzał asekurować Connie z pozycji stojącej. W warunkach górskich, przy braku zabezpieczenia drugą liną osadzoną na głęboko wbitym haku, można było stracić równowagę i polecieć w dół razem z ubezpieczoną osobą. Z tego powodu asekuracja z pozycji stojącej była mniej godna polecenia niż z pozycji siedzącej. Ale ponieważ Connie ważyła trzydzieści kilogramów mniej niż Graham, prawdopodobieństwo, że wypadłby przez okno, było niewielkie, zwłaszcza że otwarte zostały tylko dolne jego skrzydła.

Graham stanął na szeroko rozstawionych nogach i przez chwilę balansował ciałem, by ustalić dokładnie swój punkt ciężkości. Następnie złapał drugi koniec piętnastometrowej liny, którą obwiązany był w pasie, i starannie zrobił wokół bioder Connie nie zaciskający się węzeł cumowy.

Cofnął się dwa kroki trzymając linę w lewej, prowadzącej ręce i spytał:

— Jesteś gotowa?

Przygryzła wargi.

— Występ znajduje się tylko dziesięć metrów niżej — dodał szybko.

— Tak, to blisko — powiedziała bez przekonania.

— Zanim się zdążysz obejrzeć, już tam będziesz.

Zmusiła się do uśmiechu.

Spojrzała na uprzęż i szarpnęła nią mocniej, jakby chciała upewnić się co do jej wytrzymałości.

— Pamiętaj, co masz robić? — spytał Graham.

— Trzymać linę obiema rękami nad głową. Nie starać się pomagać. Wypatrywać występu, od razu postawić na nim nogi i nie dać się opuścić niżej.

— A gdy już wylądujesz?

— Odwiązać się.

— Ale dotyczy to tylko tej liny.

— Tak.

— Druga musi pozostać tak, jak jest.

Kiwnęła głową.

— A gdy już się odwiążesz...

— Pociągam dwa razy za drugą linę.

— Zgadza się. Postaram się spuścić cię najdelikatniej, jak tylko potrafię.

Przez otwarte okno dmuchał przenikliwy, lodowaty wiatr. Mimo to policzki Connie były blade.

— Kocham cię — powiedziała.

— Ja też cię kocham.

— Wszystko będzie dobrze.

— Mam nadzieję.

— Jestem tego pewna.

Serce zabiło mu mocniej.

— Mam do ciebie pełne zaufanie — rzekła.

Zdał sobie sprawę z tego, że jeśli dopuściłby do wypadku, w którym zginęłaby Connie, to nie miałby już po co ratować siebie. Życie bez niej byłoby nieznośnym pasmem wyrzutów sumienia i udręki spowodowanej samotnością. Byłoby szarą pustką, gorszą od śmierci. Gdyby spadła, mógłby równie dobrze rzucić się za nią.

Bał się.

Wszystko, co mógł jeszcze zrobić, to powtórzyć:

— Kocham cię.

Connie wzięła głęboki wdech i zsuwając się z parapetu na drugą stronę, powiedziała:

— No to... kobieta za burtą!

Korytarz był ciemny i pusty.

Bollinger wrócił do windy i nacisnął guzik dwudziestego siódmego piętra.

## 33

Zsuwając się z krawędzi parapetu Connie poczuła nagle za plecami bezdenną otchłań. Nie musiała się nawet odwracać, by wiedzieć, że zawieszona jest w pustej przestrzeni na wysokości czterdziestu pięter i pod stopami ma tylko powietrze. Bała się bardziej, niż to sobie wyobrażała. Strach oddziaływał na nią nie tylko psychicznie, ale i fizycznie. Żołądek podszedł jej do gardła, które dusiło ją tak, że ledwie mogła oddychać. W piersiach czuła silny ucisk. Serce waliło jak młot.

Nie przytrzymała się parapetu, ale gdy wisiała już bezwładnie, wyciągnęła rękę nad głowę i chwyciła linę.

Wiatr kołysał Connie na wszystkie strony i powodował bolesne kłucie wokół oczu, czyli w jedynym miejscu na twarzy, którego Graham nie posmarował maścią.

Aby móc cokolwiek widzieć, musiała zmrużyć oczy do granic możliwości, tak że zerkała teraz przez wąskie szparki. W przeciwnym razie oślepią ją własnymi łzami. Niestety, wśród sterty ekwipunku przeznaczonego do sfotografowania nie było gogli śnieżnych.

Spojrzała w dół na występ, do którego się powoli zbliżała. Miał dwa metry szerokości, ale wydawał się jej tak cienki, jak lina, na której wisiała.

Nogi Grahama ślizgały się na dywanie.

Zapierał się obcasami.

Sądząc po długości liny, która pozostała jeszcze za nim na podłodze nie rozwinięta, Connie zrobiła raptem jedną trzecią drogi. On tymczasem czuł się tak zmęczony, jakby spuścił ją na jakieś trzydzieści — czterdzieści metrów.

Z początku ból w barkach i ramionach, spowodowany obciążeniem, był znośny. Ale w miarę upływu czasu Graham coraz bardziej czuł, jaką cenę musi teraz zapłacić za pięć lat braku aktywności. Każdy metr popuszczonej liny odzywał się w mięśniach bolesnym uciskiem, rozchodzącym się po całym ciele płomieniami ognia.

Ale cierpienie fizyczne było najmniejszym zmartwieniem Grahama. Trapiło go teraz coś bardziej niebezpiecznego. Lękliwie spoglądał na drzwi, nie mogąc zapomnieć swej wizji: kula w plecy, krew i potem ciemność.

Gdzie był Bollinger?

Im niżej się Connie znajdowała, tym mniej pozostawało luzu na linie asekuracyjnej, która za pośrednictwem karabinka utrzymywała Connie na węgarku. Miała nadzieję, że Graham prawidłowo odmierzył dziesięć metrów. Jeśli nie, to mogły być niezłe kłopoty. Zbyt długa lina nie przeszkadzała w niczym, ale lina zbyt krótka nie pozwoliłaby jej stanąć na wyłomie. Zawisłaby parę metrów nad nim i musiałaby albo wspiąć się z powrotem do Grahama, by ten odciął właściwą długość liny, albo spuścić się niżej tylko na tej linie, którą trzymał Graham. Connie z niepokojem patrzyła na coraz mniejszy luz liny asekuracyjnej.

Tymczasem lina zjazdowa tańczyła wysoko szarpana podmuchami wiatru, a Connie wraz z nią, ruchem wahadełka, w prawo, w lewo i z powrotem. Do tego dochodziło huśtanie z góry na dół, wywoływane naprzemiennym kurczeniem się i rozprostowywaniem nylonowych włókien w linie. Wszystkie te ruchy powodowały u Connie zawroty głowy.

Nadal nie była przekonana, czy lina nie urwie się. O drżenie serca przyprawiała ją myśl, że od tego huśtania lina mogłaby się przetrzeć w miejscu, w którym dotykała krawędzi parapetu.

Graham wspominał, że lina się czasem w tych miejscach przeciera, ale że Connie zdąży dojść do występu, zanim choć jedno włókno zostanie zniszczone. Nylon jest solidnym materiałem, którego wytrzymałości można być pewnym. Nawet silne tarcie nie spowoduje przez tak krótki czas zerwania liny. Ale Connie i tak się bała.

Osiem minut po jedenastej Frank Bollinger zaczął przeczesywać trzydzieste piętro.

Czuł się jak w jakimś surrealistycznym świecie wypełnionym tylko tysiącami drzwi. Całą noc chodził i otwierał je, w napięciu oczekując zaczajonych napastników. Ale po otwarciu zawsze okazywało się, że czają się nań tylko mrok, cisza i pustka. Napięcie, które wypełniało każdy nerw Bollingera, pozwalało mu czuć, że żyje. Był w swoim żywiole. Każde drzwi, dopóki były zamknięte, obiecywały mu ekscytujący pojedynek. Na razie nie przeszkadzało mu to, że nie dotrzymywały obietnic.

Miał nieodparte wrażenie, że drzwi stały się dla niego istotą nie tylko tej nocy, ale i całego życia. Drzwi. Drzwi, za którymi krył się mrok. I pustka. Opuszczone biura, magazynki, toalety. Nieustannie czekał na te drzwi, które — szeroko otwarte — podarują mu to, na co zasługiwał. Ale wciąż wymykały mu się owe czarodziejskie drzwi; czuł się bardzo skrzywdzony. W końcu był jednym z nowej rasy, człowiekiem przewyższającym całe swe otoczenie. Ale czy w ciągu trzydziestu siedmiu lat swego życia miał coś z tego? Nie był ani prezydentem, ani nawet senatorem. Nie był sławny ani bogaty, był tylko żalonym gliną, który marnował się w śmierdzącym świątku kurew, alfonsów, szulerów, narkomanów i pomniejszych gangsterów.

Dlatego Harris i miliony jemu podobnych muszą umrzeć. To podludzie, nie dorównujący pod żadnym względem rodzącej się nowej rasie. Na razie na każdego

Nadczłowieka przypadały miliony podludzi. Na razie te żalosne kreatury, które dla zaspokojenia swych nienasyconych żądz ryzykowały nuklearną zagładę, dominowały liczebnie i tylko dlatego miały w swych rękach władzę na ziemi oraz pieniądze. Tylko poprzez krwawą i ostateczną rzeź na polach Armageddonu Nowi Ludzie obejmą tę planetę w należne im posiadanie.

Trzydzieste piętro było puste, jak również przyległe doń schody i drabinki w szybie wind.

Bollinger pojechał piętro wyżej.

Connie dotknęła stopą występu. Dzięki silnemu wiatrowi na płycie nie zbierał się padający nieprzerwanie śnieg. Nie było więc niebezpieczeństwa, że Connie ześlizgnęłaby się, gdyby śnieg przemienił się w lód.

Przesunęła się możliwie jak najbliżej do ściany budynku.

Teraz, kiedy miała grunt pod nogami, rozpostarta niżej czeluść wywarła na Connie — ku jej wielkiemu zdziwieniu — jeszcze większe wrażenie niż wtedy, kiedy dyndała na linie. Wtedy, wobec braku odpowiedniej perspektywy, nie była w stanie ocenić ogromu tej kilkusetmetrowej pustki. Teraz wydawała się przepaścią bez dna.

Odwiązała linę zjazdową i pociągnęła dwa razy za linę asekuracyjną. Tak, jak było umówione.

Graham natychmiast zaczął wciągać zwolnioną linę do góry.

Za chwilę powinien zacząć schodzić śladem Connie.

Żeby tylko nie spanikował!

„Wierzę w niego”, pomyślała sobie. „Naprawdę wierzę, muszę wierzyć”.

Ale mimo to czuła lęk, że Graham cofnie się w pół drogi, zdezerteruje i zostawi ją tu samą.

# 34

Graham zdjął rękawice, wychylił się przez okno i dotknął zimnego kamienia. Szlifowany granit, obliczony na wieczne trwanie. Jednak zanim Grahamowi zdążyły na mrozie zdrętwieć palce, odkrył drobną, poziomą rysę. Tym samym zadanie zostało wykonane.

Zatrzymał palec na rysie, by jej nie zgubić, a wolną ręką sięgnął do kieszeni po hak i młotek. Balansując na parapecie, wychylając się tak daleko, na ile pozwalało bezpieczeństwo, Graham włożył ostry koniec haka w szczelinę i zaczął go wbijać młotkiem.

Światło na zewnątrz budynku ledwo oświetlało jego miejsce pracy; pochodziło z czerwonych i białych żarówek sygnalizacyjnych na szczycie budynku, jakieś dziesięć metrów nad głową Harrisa.

W pozycji do góry nogami praca posuwała się dużo wolniej, niż Graham sobie tego życzył. Gdy skończył i cofnął się do pokoju, obejrzał się ostrożnie, by sprawdzić, czy nie stoi za nim Bollinger. Ale wciąż był sam.

Hak wyglądał na umocowany solidnie. Graham poruszał nim w prawo i w lewo. Siedział mocno i nie powinien wypaść.

Harris przełożył karabinek przez ucho haka.

Potem założył jeszcze jeden karabinek na węgarze, zaraz nad karabinkiem, który utrzymywał linę asekuracyjną Connie.

Następnie uwolnił się od liny zjazdowej, po której spuszczał Connie, i rzucił ją na podłogę.

Zamknął jedno skrzydło okna. Zamknięcie drugiego uniemożliwiały zaczepione na węgarze karabinki. Graham planował zamknąć tę drugą połowę od zewnątrz.

Podszedł do zwisających w narożnikach sznurków i zaciągnął z powrotem zielone, welwetowe draperie.

Było bardzo prawdopodobne, że Bollinger po dostaniu się do biura i tak domyśli się, że uciekli przez okno. Graham chciał opóźnić maksymalnie tę chwilę.

Wszedł za zasłony i przesunął się bokiem do nie domkniętego okna, gdzie przez wąską szczelinę wiał wiatr i delikatnie poruszał zielonym welwetem.

Wziął dziesięciometrowy odcinek liny, wcześniej odcięty z innego, trzydziestometrowego zwoju. Jeden jego koniec przywiązał do swej uprząży, a drugi do wolnego karabinka wiszącego na węgarze. Nie było nikogo, kto mógłby spuścić Grahama, tak jak on spu-

ścił Connie, ale wymyślił sposób na uniknięcie schodzenia na pojedynczej linie. Będzie miał nie gorszą niż Connie asekurację.

Na jednym z końców piętnastometrowej liny szybko zawiązał ósemkę, której pęteli, znów wychylając się przez okno, zaczepił na zwisającym z zaczepu karabinku. Zatrzasnął jego ramię i przykręcił tulejkę. Wyrzucił linę na zewnątrz i spojrzął, czy zwiisa prosto, czy dobrze trzyma się na zaczepie. Po niej będzie zjeżdżał.

Graham nigdy nie był fanatykiem ścisłego stosowania wszystkich reguł wspinaczki, tak jak tego uczyły podręczniki. Zresztą ta ściana nie była typową skałą, więc labilność i próby użycia nowych metod były jak najbardziej na miejscu.

Założył z powrotem rękawice i wziął do ręki dziesięciometrowa linę. Obwiązał ją sobie wokół prawego nadgarstka i chwycił mocno dłonią, tak że palce zaciśnięte miał na niej w odległości około stu dwudziestu centymetrów od węgara. Przez pierwsze kilka sekund po wysunięciu się na zewnątrz miał zawisnąć pod oknem na tej właśnie wysokości.

Uklęknął na parapecie twarzą do pokoju. Powoli, ostrożnie i jakby z wahaniem wysunął nogi poza krawędź okna. Zanim stracił równowagę i poleciał w dół, zdążył jeszcze, zgodnie z planem, domknąć drugie skrzydło dolnej kwatery okna.

Choć spadał nie dłużej niż sekundę i tylko na wysokość metra i dwudziestu centymetrów, wymiociny podeszły mu do gardła. Powróciły też wspomnienia spod Everestu. Graham wiedział, że nie może dać im się opanować, że musi je zwalczyć. Zepchnął je głęboko poza obszar świadomości. Następnie przełknął ślinę, powtórzył tę czynność jeszcze raz, aż oczyścił przełyk. Udało się, zwyciężyła jego silna wola. Tym razem przynajmniej.

Lewą ręką złapał zwisającą luźno z okna drugą linę. Nie wypuszczając jej z dłoni chwycił nad głową linę asekuracyjną, którą dzierżył teraz mocno obiema rękami. Podniósł pod brodę kolana, wyprostował je i stanął na ścianie budynku tworząc z nią kąt 45°. Przez chwilę balansował jeszcze ciałem na granitowej płycie, aż wreszcie zaklinował się noskami butów w niewielkiej spoinie.

Usatysfakcjonowany tą niezbyt pewną pozycją, zwolnił lewą dłonią uścisk na krótszej linie.

Pomimo asekuracji na myśl o tym, że mogłoby się teraz przytrafić nieszczęście, znów zebrało mu się na wymioty. Zacisnął usta i jeszcze raz przełknął ślinę. Minęło.

Utrzymywał teraz równowagę dzięki czterem punktom oparcia: prawa ręka na krótszej linie, lewa na dłuższej, po której będzie się spuszczał, obie nogi na ścianie. Siedział tak przyczepiony do budynku jak mucha.

Spojrzął w górę na hak wystający z granitu i kilkakrotnie mocno pociągnął umocowaną tam linę. Trzymała się dobrze. Hak wbity był głęboko. Przeniósł ciężar swego ciała na dłuższą linę, wciąż jednak nie zwalniając prawej dłoni zaciśniętej na linie krótszej. Ale nawet pod obciążeniem osiemdziesięciu paru kilogramów wagi Grahama wraz z ekwipunkiem zaczep nie drgnął.



Dopiero gdy Graham przekonał się, że sworzeń nie wypadnie, zwolnił uścisk na linie asekuracyjnej.

Teraz równowagę utrzymywał dzięki trzem miejscom: lewa ręka na dłuższej linie, obie nogi na ścianie, wciąż pod kątem 45°.

Po puszczeniu liny zabezpieczającej, mimo że był na niej umocowany i w razie zerwania się liny dłuższej ta i tak miała uratować mu życie, czuł się nieswojo.

„Nie panikuj”, powiedział do siebie, „masz asekurację i pamiętaj o tym. Panika to twój największy wróg. Może cię zabić szybciej, niż zrobiłby to Bollinger. Do uprzęży masz przywiązaną linę, która łączy cię z oknem. Jesteś bezpieczny. Pamiętaj o tym...”

Prawą ręką sięgnął do tyłu i wymacał zwisającą mu między nogami dłuższą linę. Była to lina, którą trzymał cały czas lewą ręką ponad głową. Teraz uchwycił palcami prawej dłoni i podniósł do góry, tworząc siodło w kształcie litery U, w którym osadził prawe udo. Przeciągnął linę na skos po brzuchu i po piersiach do szyi, nad lewym ramieniem. Tam pozwolił jej swobodnie opaść po plecach, po czym ponownie złapał ją pod prawym ramieniem na wysokości uda. Nie wykorzystana reszta liny ginęła w mroku.

Znalazł się w pozycji przepisowej do zjazdu po ścianie.

Lewa ręka była prowadząca. — Prawa — była ręką blokującą.

Był gotów do zjazdu.

Dopiero teraz, po raz pierwszy od momentu, kiedy wyszedł przez okno na zewnątrz, rozejrzał się wokół siebie. Spośród złowrogiej zamieci wyłaniały się ciemne monolity gigantycznych drapaczy chmur. Z każdej strony jaśniały setki tysięcy świetlnych punkcików, trochę zmiękczone i jakby oddalone przez padający śnieg. Manhattan z lewej. Manhattan z prawej. Manhattan za nim. Manhattan — to najważniejsze — pod nim. Ponad dwieście metrów nicości czekało, by go pochłonąć. Przez chwilę miał dziwne uczucie, jakby patrzył na miniaturową replikę miasta wykonaną z plastiku, jakby sam był malutką figurką ukrytą pod szklaną półkulą takiej zabawki, która, dzięki specjalnej cieczy, po wstrząśnięciu wypełnia się rojem śnieżnych płatków. Uczucie minęło równie szybko, jak się pojawiło, i miasto znów było ogromne, a betonowy kanion pod stopami Grahama wydawał się nie mieć dna. On sam jedynie pozostał malutki i bez znaczenia, podczas gdy wszystko wróciło do normy.

Zaraz po wyjściu przez okno skoncentrował swą uwagę na zaczepie, linach i manewrach technicznych. Zajęty tym dokumentnie mógł sobie pozwolić na niedostrzeganie otoczenia.

Ale to już się skończyło. Nagle ze zdwojoną siłą zaczął dostrzegać miasto i wysokość, na jakiej się znajdował.

Ta świadomość nieuchronnie musiała przywrócić wspomnienia: *omsknięcie stopy, miażdżące zaciśnięcie się uprzęży, pęknięcie liny, spadanie, spadanie, spadanie, spadanie, upadek, ciemność, straszny ból w nogach, znów ciemność, gorące żelazo zamiast wnętrzości, gwałtowny ból w całym krzyżu, krew, ciemność, szpital...*

Choć mroźny wiatr wiał mu w twarz, to z czoła spływał na oczy i policzki tłusty pot. Trząśnięty całym.

Wiedział, że nie posunie się nawet na metr.

*Spadanie, spadanie...*

Zastygł w bezruchu.

Wiedział, że tak będzie.

Bollinger wszedł do windy i wyciągnął palec, by nacisnąć guzik dwudziestego trzeciego piętra. Nagle zawahał się. Zdał sobie sprawę z tego, że Harris i Davis najprawdopodobniej wcale nie uciekają przed nim w dół. Po tym, jak zgubił ich ślad na dwudziestym siódmym, przeczesał wszystkie piętra w dół aż do tego miejsca i był niemal pewien, że nie znajdzie ich również niżej. Poszli na górę. Może z powrotem do biura Harrisa? Momentalnie uwierzył w to, że się nie myli, i wiedział nawet, dlaczego tam poszli. Zrobili tak dlatego, że był to ostatni krok, o jaki by ich podejrzewał. Gdyby kontynuowali ucieczkę schodami lub po drabinkach w szybie, to bardzo szybko by ich zlokalizował. Jasne jak słońce. A tak zyskali dużo czasu, wyprowadzając go w pole.

„Czterdzieści pięć minut!”, pomyślał. „Ten sukinsyn zrobił ze mnie durnia! Czterdzieści pięć minut! Ale ani minuty więcej!”

Nacisnął guzik czterdziestego piętra.

Dwieście metrów.

Dwa razy tyle, ile zaliczył spadając z Everestu.

I tym razem nie zdarzy się cud, który go uratuje. Nie będzie głębokiej zasy, która zamortyzuje upadek. Policja znajdzie tylko krwawą plamę na chodniku. Jego ciało będzie połamane, zmiażdżone, pozbawione życia.

Choć i tak nic nie widział, wpatrywał się w miejsce, gdzie powinna być ulica. Trotuar i jezdnia ginęły w mroku. Ale Graham nie mógł odwrócić wzroku w inną stronę. Był zahipnotyzowany tym, czego istnienia pod pokrywą zamieci był świadom, tym, co czało się złowrogo w ciemności.

Zamknął oczy. Pomyślał, że musi zdobyć się na odwagę. Pomyślał o tym, jak daleką drogę już przebył. Był gotów do rozpoczęcia zejścia, palcami stóp zaparty w spoinę między płytami granitu, z lewą ręką wzniesioną do góry, prawą na wysokości uda... ale nie mógł się ruszyć.

Kiedy otworzył oczy, na wyłomie zobaczył Connie.

Dawała mu znaki, żeby się pośpieszył.

„Jeśli się nie ruszę” — pomyślał — „ona umrze”. Zupełnie o niej zapomniał. Nie zasługiwała na to po półtora roku, które mu poświęciła, kiedy się nim opiekowała i cierpliwie, niczym święta, starała zrozumieć. Nigdy nie gderała i nie narzekała na jego stany paranoi, litowania się nad sobą, egoizmu. Uczuciowa huśtawka, na której siedziała, była

nie mniej nieprzyjemna niż fizyczny wysiłek, na który musiał się teraz zdobyć. Bo złamana noga nie bolała bardziej niż złamane serce. Musiał zapłacić Connie za to, co dla niego do tej pory robiła. Musiał zejść po tej linie dla niej, tyle jej był winien. Cholera, w s z y s t k o jej był winien.

Pot rozpuścił nieco warstwę kremu na czole i policzkach Grahama. Wiatr wysuszył pot i odmrażał mu teraz twarz. Znow uświadomił sobie, jak krótko mogli przebywać tu, na zewnątrz, bez opadnięcia z sił spowodowanego trudnymi warunkami atmosferycznymi.

Spojrzał w górę na hak.

Connie umrze, jeśli tego nie zrobisz.

Zacisnął lewą dłoń na linie mocniej, niż to było potrzebne. Powinien trzymać ją luźno, gdyż drogę odmierzał i wyhamowywał prawą ręką.

Connie umrze...

Rozluźnił lewą dłoń.

Nakazał sobie nie patrzeć w dół. Wziął głęboki wdech. Wypuścił powietrze. Zaczął liczyć do dziesięciu. „Tracę czas”, pomyślał i odepchnął się od ściany.

Tylko bez paniki!

Poleciał do tyłu, opuszczając się jednocześnie kawałek na linie. Gdy stopami uderzył z powrotem w ścianę granitu, ból rozszedł się po jego chorej nodze. Skrzywił się, ale wiedział, że musi to wytrzymać. Spojrzał w dół i stwierdził, że spuścił się nie więcej, niż kilkadziesiąt centymetrów. Ale sam fakt, że w ogóle się ruszył, oddalił uczucie bólu w tym momencie nieistotne.

Zamierzał początkowo odbijać się od ściany tak mocno, by za jednym skokiem robić po kilka metrów. Ale jeszcze nie był w stanie się na to zdobyć. Było jeszcze za wcześnie. Za bardzo się bał, by móc powtórzyć swe pełne entuzjazmu susy, które robił w przeszłości. Poza tym bardziej energiczne ruchy mogły zintensyfikować ból w nodze i stałby się on nie do zniesienia.

Odbił się znow od ściany, popuścił na linie dwa metry, opadł i wylądował stopami na granicy. I jeszcze raz — teraz tylko pół metra. Małe kroczyki. Zaczął ostrożny taniec strachu na ścianie wysokościowca: odbicie, lot, lądowanie; odbicie, lot, lądowanie; odbicie, lot, lądowanie...

Strach nie ulotnił się, tkwił w nim nadal, gęsty jak wojskowa grochówka. Nie tak łatwo wyleczyć raka, który toczy organizm od lat. Ale teraz Graham nie był już obezwładniony przez swój strach, posiadał utraconą niedawno zdolność wprowadzania w życie podjętych decyzji. Wyobraził sobie dzień, kiedy zupełnie zwycięży strach i była to najpiękniejsza z jego wizji.

Kiedy wreszcie odważył się spojrzeć w dół, odkrył, że jest już tak blisko występu, że nie musi się dalej spuszczać; ostatnie dwa-trzy metry może zeskoczyć.

Gdy wylądował już koło Connie, ta przywarła do niego całym ciałem i przekrzykując wiatr, powiedziała:

- Udało ci się!
- Tak!
- Pokonałeś strach.
- Jak na razie...
- Może tyle wystarczy...
- Co?

Wskazała na okno za ich plecami.

- Może tam wejdziemy?
- Ale po co?
- Tam jest czyjeś biuro. Możemy się w nim ukryć.
- A Bollinger?

Podniosła głos, gdyż wzmógł się wiatr.

- Prędej czy później i tak trafi do twojego biura.
- I co?
- I zobaczy okno. Karabinki i liny.
- Wiem.

— Będzie myślał, że chcemy zejść po linach na ulicę.

— Może tak pomyśli, ale ja w to wątpię.

— Nawet jeśli tak nie pomyśli, to skąd będzie wiedział, na którym piętrze wróciliśmy do budynku? Przecież nie może przejść wszystkich pięter i otwierać wszystkich drzwi!

Nagły podmuch wiatru zawirował pomiędzy nimi, odbił się od ściany i targnął nimi, jakby byli zabawkami przedstawiającymi tylko ludzkie postacie. Potem sypnął Grahamowi w twarz płatkami śniegu.

Były tak drobne i zimne, że zapiekły go w oczach, niczym ziarenka soli. Przymknął powieki, starając się złagodzić nagłe cierpienie. Trochę mu się to udało, ale prawie natychmiast oślepił go silny strumień łez, który pojawił się jako obronna reakcja organizmu.

Przysunęli się do siebie jeszcze bliżej, trochę, by uchronić przed wiatrem, ale bardziej, by się lepiej słyszeć.

— Możemy się ukrywać do czasu, kiedy ludzie przyjdą do pracy — powiedziała Connie Davis.

— Jutro jest sobota.

— Ktoś będzie pracował. Choćby ochrona.

— Do rana całe miasto zostanie sparaliżowane — powiedział Harris. — To burza śnieżna! Nikt nie przyjdzie do pracy.

— No, to będziemy ukrywać się do poniedziałku.

— A woda? Jedzenie?

— W takim wielkim biurowcu jest dużo zbiorników z wodą, automatów z kawą i napojami gazowanymi, znajdą się też pewnie automaty ze słodyczami.

- Do poniedziałku?
  - Jeśli będzie trzeba.
  - To szmat czasu.
- Connie pokazała gwałtownym ruchem ręki przepaść pod ich nogami.
- A to szmat drogi!
  - Racja.
  - No, to idziemy — powiedziała niecierpliwie. — Trzeba wybić szybę.

Bollinger przeszedł przez przewrócony barek i rozejrzał się po biurze Harrisa. Nie zobaczył nic, co by mogło zwrócić jego uwagę. Ani śladu po uciekinierach. Gdzie oni byli, na miłość boską? Odwracał się już do wyjścia, kiedy zauważył, że zielone draperie poruszają się lekko.

Szybko wyjął walthera PPK i niewiele brakowało, a zacząłby strzelać.

Ale zanim nacisnął spust, draperie cofnęły się, jakby od tyłu zassał je wielki odkurzaczy, i oparły się na ścianie. Nikt nie mógł się za nimi ukryć. Nie było na to miejsca.

Podszedł do ściany i znalazł sznurek, za który należało pociągnąć, by odsunąć zasłony. Z cichym szumem welwetowe draperie rozjechały się na dwie strony.

Gdy tylko odsłonięte zostały okna, zobaczył, że ze środkowym jest coś nie tak. Podszedł do niego i otworzył prostokątne skrzydła.

Uderzył go podmuch wiatru, zatrzepotał nie dopiętym kołnierzem, zmierzwił czuprynę i sypnął w twarz płatkami śniegu, wyjąc przy tym jak stado wilków.

Zobaczył karabinki przytwierdzone do węgara oraz zwisające z nich liny.

Wychylił się przez okno i spojrzał w dół.

— Niech mnie szlag trafi! — powiedział.

Graham chciał wyjąć z pętli na uprząży młotek skalny, by zbić nim szybę, ale przeszkadzały mu grube rękawice. Nie mógł ich jednak zdjąć, bo bał się, że spadną poza występ, a mogły być jeszcze potrzebne, gdyby musieli kontynuować zjazd po linie.

U góry rozległo się tępe uderzenie, jakby nagły, silniejszy podmuch wiatru. B u u m! Albo jak przytłumione uderzenie pioruna.

Graham wydobył wreszcie młotek.

Buum!

Connie złapała go za rękę.

— Bollinger!

W pierwszej chwili nie wiedział, o co jej chodzi. Spojrzał w górę tylko dlatego, że i ona patrzyła.

Dziesięć metrów nad nimi wychylał się z okna Bollinger. Graham powiedział do Connie:

— Stań pod ścianą.

Nie ruszyła się. Sparaliżowało ją. Po raz pierwszy wyglądała na przestraszoną.

— Schowaj się, bo jesteś dla niego doskonałym celem! — krzyknął. Popchnął ją plecami do ściany.

— Odwiąż się od liny asekuracyjnej! — rozkazał.

U góry wydobył się z lufy pistoletu język ognia: buum!

Graham uderzył młotkiem w szybę.

Szkło wpadło do wewnątrz.

Gorączkowo, wciąż mając przed oczami wizję siebie z kulą w plecach, zaczął wybijać odporne kawałki szkła, które pozostały we framudze.

Buum!

Graham aż podskoczył usłyszawszy, że strzał rykoszetował. Kula utkwiała w ścianie kilka centymetrów od jego twarzy.

Znów zaczął się obficie pocić.

Bollinger krzyknął coś.

Wiatr rozmył jego słowa w jeden wielki, niezrozumiały bełkot.

Graham nie patrzył w górę. Wybijał resztki szkła z okna.

Buum!

— Wchodź! — krzyknął do Connie, gdy framuga była już oczyszczona z niebezpiecznych kawałków szyby.

Connie stanęła na parapecie i zeskoczyła do ciemnego pomieszczenia.

Graham odciął linę zabezpieczającą od swej uprząży.

Buum!

Strzał nastąpił tak blisko, że Graham mimowolnie krzyknął ze strachu. Kula drasnęła rękaw jego kurtki. Tak go to zaskoczyło, że stracił równowagę i nieomal spadł z występu.

Buum!

Buum!

Przez wybite okno rzucił się do środka. Do ostatniej chwili spodziewał się kuli prosto w plecy.

# 35

Szkło zaskrzypiało pod ich stopami w nie oświetlonym biurze na trzydziestym ósmym piętrze.

— Jak to się stało, że spudłował? — spytała Connie.

Graham wytarł z czoła pot wierzchem rękawic i odpowiedział:

— Jest tak silny wiatr, że mógł lekko odchylić tor pocisku.

— Na tak niewielkiej odległości?

— Dlaczego nie? Poza tym Bollinger strzelał z niewygodnej pozycji wychylając się z okna w dół, z wiatrem w twarz, bez należytego światła. Musiałby mieć nieprawdopodobne szczęście, by nas trafić.

— Nie możemy zostać na tym piętrze — powiedziała Connie.

— Oczywiście, że nie. On wie, na którym piętrze jesteśmy. Najpewniej biegnie właśnie do windy.

— Może wyjdziemy na zewnątrz?

— Nie mam na to najmniejszej ochoty.

— Będzie za nami biegł przez cały czas strzelając, byśmy pospadali.

— Ale chyba nie mamy innego wyjścia.

— Niestety — powiedziała. — Gotów do zejścia po linie?

— Zawsze gotów!

— Dobrze się do tej pory spisujesz.

— To dopiero początek drogi.

— Dalej też ci pójdzie dobrze.

— Czy to ty jesteś teraz jasnowidzem?

— Dalej też ci dobrze pójdzie, bo już pokonałeś swój strach.

— Kto? Ja?

— Ty.

— Nogi trzęsą mi się ze strachu.

— Ale chyba nie tak, jak przedtem. Nie tak bardzo. Zresztą teraz to może być zdrowe, mobilizujące uczucie.

— O, tak. Wprost rozpira mnie ten „mobilizujący strach”.

— Wiedziałam.

— O czym?

— Że jesteś mężczyzną, jakiego pragnę.

— Nie pragniesz wiele.

Abstrahując od tego, co powiedział, usłyszała nutkę zadowolenia w jego głosie. Nie zabrzmiało to jak samoponizenie, co najwyżej jak kokieteria kompleksem niższości. Bo tymczasem Graham odzyskiwał pewność siebie.

Otworzył drugą połówkę okna i powiedział:

— Poczekaj tu. Przybiję zaczep i umocuję nową linę. — Zdjął rękawice. — Potrzyмай, proszę.

— Odmroziś sobie ręce.

— To potrwa tylko dwie minuty. Gołymi rękami zrobię to dużo szybciej.

Ostrożnie wychylił głowę przez okno i spojrzał w dół.

— Czy on tam jeszcze jest?

— Nie.

Graham wczołgał się na brzuchu na występ w ścianie budynku. Nogami zwrócony był do pokoju, głowę i ręce wyciągnął w stronę krawędzi.

Connie cofnęła się kilka kroków od okna. Stała nastawiając uszu i nasłuchując, czy nie zbliża się Bollinger.

Bollinger zatrzymał się jeszcze na chwilę w biurze Wydawnictwa Harrisa, by przeładować swój pistolet, po czym skierował się do windy.

Graham wbił tymczasem hak w poziomą szczelinę między dwoma płytami granitu. Pociągnął kilkakrotnie, by sprawdzić, czy trzyma się mocno, a gdy uznał, że siedzi bezpiecznie, przytwierdził doń karabinek.

Siedząc prosto sięgnął po zwisającą mu u pasa trzydziestometrową linę i na jej końcu zrobił dwa grube supły. Następnie położył się, wychylił za krawędź występu i wsunął linę w karabinek, tak że oba supły zawisły na metalowej obejmie. Zatrzasnął ramię karabinka i dokręcił tulejkę.

Usiadł, zwracając się tyłem do wiatru. Czuł, jak jakieś niewidzialne, ale silne ręce spychają go z występu w przepaść.

Palce miał już prawie odmrożone.

Przed nim zwisały kołysane przez wiatr dwie liny, z których korzystali spuszczać się z czterdziestego piętra. Złapał jedną z nich.

Przywiązana była do karabinka w taki sposób, żeby można ją było z dołu odwiązać. Tak długo, jak długo była obciążona, węzeł pozostawał mocny i gwarantował bezpieczeństwo, co więcej — im większy ciężar spoczywał na linie, tym bardziej pewne było, że się nie odwiąże. Ale gdy lina, pozbawiona obciążenia przez alpinistę, zwisała luźno i podskakiwała na wietrze, węzeł czasem się rozwiązywał. Graham w tym właśnie celu zaczął linę odpowiednio poruszać i po chwili spadła mu na kolana.



Wyjął z kieszeni kurtki nóż sprężynowy, otworzył go i przeciął linę na dwa równe, pięciometrowe odcinki, po czym nóż schował.

Wstał kołysząc się lekko, gdyż w chorej nodze znów odezwał się ból.

Jeden kawałek liny przeznaczył dla siebie. Przywiązał go do uprzęży. Drugi koniec umocował w karabinku, który z kolei przyczepił na węgarze framugi okiennej.

Wsunął przez okno głowę do pokoju i powiedział:

— Connie?

Connie wyszła z cienia i oświetlił ją blady krąg światła bijącego od okna.

— Nadsłuchiwałam.

— Słyszałaś coś?

— Na razie nie.

— Chodź.

Bollinger żałował, że nie było z nim Billy'ego. Billy był jego drugą połową, stanowił pięćdziesiąt procent jego krwi, kości i umysłu. Bez Billy'ego, w chwilach takich, jak ta, nie żył w pełni i mógł doświadczyć tylko połowę przyjemności i emocji, jakich dostarczało zabijanie.

W drodze do windy Bollinger rozmyślał o swym kompanie, przypominając sobie pierwsze noce zaraz po tym, jak się poznali.

Było to w jakiś piątek. Spędzili razem dziewięć godzin w całonocnym klubie na Czterdziestej Czwartej Ulicy. Wyszli dobrze po wschodzie słońca i dziwili się, jak szybko minął czas. Wypełniony ludźmi bar był ulubionym miejscem detektywów z policji, ale Bollinger i Billy, odizolowani w swojej łoży, nie dostrzegali tam nikogo.

Od samego początku nie czuli się skrępowani swą obecnością. Rozumieli się doskonale, jakby byli bliźniakami, którzy na dodatek stale ze sobą przebywają. Rozmawiali gorączkowo i z zaangażowaniem. To nie były jakieś szeptki czy nieśmiałe bąknięcia. To była uczciwa, głośna i odważna rozmowa. Wymiana myśli i odczuć. Bollinger nigdy jeszcze nie odczuwał takiej satysfakcji w rozmowie z kimkolwiek. Nic nie stanowiło dla nich tabu. Polityka. Religia. Poezja. Seks. Samoocena. Okazało się, że na wiele spraw mają zbliżone, nie ortodoksyjne poglądy. Po tych dziewięciu godzinach znali się nawzajem lepiej, niż którykolwiek z nich znał kogoś w swym życiu.

Następnego wieczora znów spotkali się w barze, rozmawiali, pili, poderwali ładną kurwę i zabrali ją do mieszkania Billy'ego. Potem poszli we trójkę do łóżka, ale nie było w tym nic z aktu biseksualnego. To raczej oni dwaj poszli do łóżka z dziewczynką i obrabiali ją, to na zmianę, to równocześnie, to leżąc pod nią, to siedząc na niej, ale ani razu Billy nie dotknął Bollingera, ani Bollinger Billy'ego.

Tej nocy seks był dla Bollingera bardziej dynamiczny, pobudzający, dziki, obłądny i wreszcie — wyczerpujący, niż do tej pory mógł sobie to wyobrazić. Billy oczywiście nie wyglądał na ogiera, wprost przeciwnie, ale nim był. Delektował się wprost wstrzy-

mywaniem orgazmu przez całe godziny, bo im dłużej to trwało, tym bardziej wstrząsający był orgazm, gdy wreszcie nadszedł. Billy był sensualistą, wołał odmówić sobie bezpośredniej, szybkiej satysfakcji na rzecz późniejszego, lecz o ile bardziej doskonałego zadowolenia. Bollinger od pierwszej chwili, kiedy znaleźli się w łóżku, wiedział, że jest sprawdzany. Billy obserwował. Oceniał. Trudno było mu dotrzymać narzuconego tempa, ale nie zawiódł. Nawet dziewczyna zaczęła narzekać, że nadmiernie ją zużywają.

Pamiętał dokładnie pozycję, w jakiej się znajdował podczas szczytowania. Dziewczyna klęczała pochylona i oparta na rękach pośrodku łóżka. Billy klęczał przed nią, a Bollinger posuwał ją od tyłu. Patrzył w oczy Billy'emu przez jej plecy i czuł, że Billy swym wzrokiem kieruje go na osiągnięcie orgazmu, że chce, by Bollinger skończył patrząc na niego.

Bollinger opuścił wzrok obserwując, jak jego organ wchodzi i wychodzi z dziewczyny, potem podniósł głowę i zobaczył, że Billy cały czas patrzy na niego. Jego spojrzenie było elektryzujące, intensywne i niezupełnie zdrowe. Przestraszył się tych szeroko rozwartych oczu, ale odwzajemnił spojrzenie. I tak zaczęło się to halucynogenne przeżycie. Wydawało mu się, że wychodzi ze swego ciała i płynie w stronę Billy'ego. I gdy tak płynął, zmniejszał się do takich rozmiarów, że mógł zmieścić się we wpatrujących się weń oczach. Wiedział, że to złudzenie i nie może ono mieć miejsca, ale jednak wyraźnie czuł, jak zapada się w oczy Billy'ego. Coraz głębiej, i głębiej, i głębiej...

Orgazm był czymś więcej, niż tylko funkcją biologiczną. Na poziomie fizycznym połączył go tylko z kurwą, ale z Billym — na znacznie wyższym szczeblu duchowym. Spuścił jej się głęboko do dziury i w tej samej chwili Billy wstrzyknął jej nasienie do ust. W czasie ekstazy Bollinger miał głupie uczucie, jakby on i Billy gwałtownie rozrosli się we wnętrzu dziewczyny, wydłużyli się, napęcznieli, tak że dotykali niemal jej serca. Potem nastąpiła kolejna faza doświadczenia: Bollinger stracił świadomość obecności tej dziwki, w pokoju znaleźli się nagle we dwóch. Stali naprzeciw siebie z członkami we wzwodzie i dotykali się czubkami żołądździ, aż do wytrysku. Obraz ten był niezwykle sugestywny, ale zupełnie aseksualny. Nie miał absolutnie żadnego podtekstu homoseksualnego. Bollinger nie był odchyleńcem, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Nic a nic. Ta sugestywna scena, która rozegrała się w jego wyobraźni, przypominała bardziej indiański rytuał łączenia się więzami krwi. Indianie, a przynajmniej członkowie niektórych szczepów, nacinali skórę aż do krwi, po czym dotykali się ranami. Wierzyli, że krew jednego przepływa do organizmu drugiego i w ten sposób stają się braćmi po wsze czasy. Wizja Bollingera przedstawiała bardziej taką właśnie ceremonię. To była przysięga wierności, najbardziej święty związek. Bollinger wiedział, że nastąpiła wtedy metamorfoza. Od tamtej chwili nie byli dwoma mężczyznami, lecz jednym.

Connie wygramoliła się przez okno na występ trzydziestego ósmego piętra.

Graham natychmiast przywiązał do jej uprząży koniec trzydziestometrowej liny zjazdowej.

— Już? — spytała.

— Jeszcze nie.

Ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Palce zmarzły na kość, a w środku strzykało go, jakby miał reumatyzm.

Na obu końcach drugiego pięciometrowego odcinka liny umocował po jednym karabinku i oba nadział na szpejarkę\* przy uprzęży Connie. Lina zwisała jej teraz do kolan.

Z kolei wziął młotek i włożył go w pętlę na uprzęży Connie. — A to po co? — spytała.

— Następny występ jest pięć piętér niżej i wygląda na węższy od tego o połowę. Będę cię spuszczał tak samo, jak do tej pory. Będziesz zakotwiczona na węgarze. — Pociągnął za swój kawałek liny. — Ale nie mamy czasu, żeby szykować dla ciebie tak długą linę zabezpieczającą. Będziesz musiała zejść na pojedynczej linie zjazdowej.

Skrzywiła usta i kiwnęła głową.

— Jak tylko znajdziesz się na tym wyłomie — kontynuował Graham — poszukaj od razu wąskiej, poziomej szczeliny między płytami granitu. Im węższa, tym lepsza. Ale nie trać czasu na zastanawianie się. Weź młotek i wbij hak.

— Te króciutkie pięć metrów liny ma być moim zabezpieczeniem, żebyś stamtąd nie spadła?

— Tak. Odczepisz wtedy jeden jej koniec od uprzęży i założysz karabinek na hak. Nie zapomnij o zakrętce.

— Jakiej zakrętce?

Pokazał jej tulejkę zabezpieczającą przed otwarciem się ramienia karabinka.

— Jak tylko zakrętka będzie na swoim miejscu, zwolnij główną linę, żebyś mógł podciągnąć ją do góry dla siebie.

Podawała mu rękawice. Założył je.

— I jeszcze jedno. Będę popuszczal linę dużo szybciej niż, za pierwszym razem. Nie przestrasz się. Tylko trzymaj się mocno, i pilnuj, żeby nie dać się spuścić poniżej występu.

— W porządku.

— Masz jakieś pytania?

— Nie.

Usiadła na krawędzi występu i spuściła nogi.

Graham zaczął gimnastykować zmarznięte palce, by nie zawiodły go w akcji, po czym złapał linę. Słabe ciepło rozeszło mu się po palcach, więc pewniej już stanął na szeroko rozwartych nogach, zaczerpnął powietrza i powiedział:

— Dalej!

Connie ześlizgnęła się z krawędzi i zniknęła.

---

\*Szpejarka — pętla na haki, karabinki, liny i inne akcesoria (przyp. tłum.).]

Nagły ból nieomal sparaliżował ramiona Grahama, kiedy poczuł spoczywający na nich ciężar. Zaciskając zęby zaczął popuszczać linę tak szybko, jak tylko potrafił.

Tymczasem Frank Bollinger był już na trzydziestym ósmym piętrze i zastanawiał się, które z biur mieści się dokładnie pod Wydawnictwem Harrisa. Ostatecznie zdecydował się na dwie możliwości: Agencję Pośrednictwa Patentowego Boswella i Dom Sprzedaży Wysyłkowej Dentowicka.

Jedne i drugie drzwi były zamknięte.

Wpakował trzy kule w zamek Dentowicka. Otworzył drzwi. Strzelił jeszcze dwa razy w ciemność. Dał susa do środka, pochylił się i wyciągnął rękę w stronę ściany szukając wyłącznika światła.

Gdy już je zapalił, stwierdził, że pokój jest pusty. Poszedł ostrożnie zbadać dwa następne.

Lina rozluźniła się, obciążenie ustąpiło.

Connie była już na występie, pięć pięter niżej niż Graham.

Ten jednak trzymał linę i nie wypuszczał jej z ręki czekając, aż Connie wbije hak i będzie bezpieczna na pięciometrowej linii asekuracyjnej.

Nagle usłyszał dwa przytłumione strzały.

Skoro mimo przeraźliwego ryku wiatru dały się słyszeć, użytkownik pistoletu musiał być piekielnie blisko.

Ale do czego strzelał Bollinger?

Nagle Graham zobaczył, że mrok na zewnątrz budynku rozjaśniła struga jasności przepływająca z sąsiedniego biura. Zostało tam zapalone światło.

„Cholera”, pomyślał Graham. „Bollinger jest zbyt blisko!”

Czy to właśnie tu miało się wydarzyć? Czy to właśnie tu miał dostać kulę w plecy?

Wcześniej, niż Graham tego oczekiwał, nadszedł sygnał od Connie: dwa szarpnięcia za linę.

Zaczął ją związać zastanawiając się, czy zdąży przed Bollingerem.

Aby dojść do występu, zanim Bollinger odkryje odpowiednie pomieszczenie, zobaczy wybite okno i zacznie strzelać, Harris będzie musiał zjeżdżać dużo szybciej niż do tej pory.

Oznaczało to dodatkowe niebezpieczeństwo. Poprzednim razem schodził dość wolno, by uniknąć wylądowania na jakiejś szybie. Teraz, odbijając się daleko i mocno może, spadając z powrotem na ścianę, trafić w okno tłukąc szkło i kalecząc się.

Ta wizja odnowiła w nim lęk. Na szczęście nie miał czasu na rozmyślanie, bo niewykluczone, że gdyby nie musiał się śpieszyć, znów zacząłby antycypować ewentualne wydarzenia, a to z kolei sparaliżowałoby go na dobre.

W pomieszczeniach Domu Sprzedaży Wysyłkowej Dentowicka nie było nikogo.

Bollinger wrócił na korytarz. Strzelił dwa razy w klamkę drzwi do biura Boswella.

## 36

Agencja Pośrednictwa Patentowego Boswella zajmowała trzy małe pokoje z tanimi meblami. Tam też nie było nikogo.

Podszedł do wybitego okna i wystawił głowę na zewnątrz. Ujrzał jedynie pokryty śniegiem, dwumetrowej szerokości występ w ścianie wieżowca.

Zawahał się, ale usunął resztki szkła z framugi i przecisnął się przez nią.

Wiatr uderzył mu w twarz gwałtownym porywem, zmierzwił włosy i sypnął garścią śniegu, która, spłynąwszy za kołnierz, stopiła się na szyi. Wstrząsnął nim dreszcz i pożałował, że zdjął płaszcz.

Położył się na brzuchu, wzdychając za jakimiś uchwytami, za które mógłby złapać, by nie spaść. Kamień był tak zimny, iż zdawało się Bollingerowi, że leży gołym brzuchem na tafli lodu.

Spojrzał poza krawędź występu. Graham Harris znajdował się tylko parę metrów niżej, odbijał się od ściany i zjeżdżał w dół na jakiejś cienkiej linie.

Bollinger wyciągnął rękę i dotknął haka. Było tak zimno, że palce o mało mu do niego nie przymarzły. Spróbował otworzyć karabinek, ale nie bardzo wiedział, jak to zrobić.

Chociaż był dokładnie nad Harrisem, wiedział, że bardzo trudno będzie go trafić. Po pierwsze, było za mało światła, po drugie, Bollinger miał oczy wypełnione łzami, które napływały mu ciurkiem wskutek działania wiatru i zimnego powietrza. Po trzecie wreszcie, Harris poruszał się zbyt szybko, by stanowić dobrą tarczę.

Dlatego Bollinger szybko odłożył walthera PPK na bok i z kieszeni spodni wyciągnął nóż. Otworzył go. Był to ten sam sprężynowiec, ostry jak brzytwa, którym zamordował tyle kobiet. A teraz, jeśli uda mu się przeciąć linę, zanim Harris dotrze do kolejnego występu w ścianie budynku, Bollinger będzie mógł zapisać na konto tego noża pierwszą ofiarę płci męskiej. Chwycił jedną ręką zaczep, a drugą zaczął piłować linę przytwierdzoną do karabinka.

Wiatr wiał nieprzerwanie wzdłuż ściany wieżowca i smagał mu twarz.

Oddychał przez usta. Powietrze było tak zimne, że Bollingerowi lodowaciało gardło.

Harris był zupełnie nieświadomy obecności mordercy. Jeszcze raz odepchnął się nogami od granitowej płyty i zsunął na jakieś dwa-trzy metry. I jeszcze raz.

Karabinek podskakiwał na haku, utrudniając Bollingerowi cięcie tego samego miejsca liny.

Harris zjeżdżał bardzo szybko i był już coraz bliżej piętra, na którym czekała Connie. Za kilka sekund porzuci linę.

Zrobił jeszcze parę skoków i znalazł się tuż nad parapetem jakiegoś okna, kiedy nóż Bollingera przeciął wszystkie nylonowe włókna i lina poleciała w dół.

Graham opadł właśnie po raz kolejny na ścianę i miał zamiar oprzeć się czubkami butów na trafiającym się akurat parapecie, kiedy poczuł, że lina wiotczeje.

Wiedział, że to oznacza tylko jedno.

Błyskawicznie ocenił sytuację, i zanim jeszcze lina opadła mu na ramiona, zanim wytracił siłę, z jaką sam opadał, wiedział już, co należy robić.

Parapet miał tylko kilka centymetrów szerokości, mógł na nim stanąć palcami stóp, ale pięty wisiałyby w powietrzu. A więc utrzymanie się na nim bez asekuracji liną było niemożliwe.

Wyciągnął przed siebie nogi, by celując w okno, wybić szybę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Graham miał nadzieję, że uda mu się złapać ręką za węgar, przytrzymać, otworzyć okno i wejść do środka bez nadziewania się na ostre kawałki nie zbitej całkowicie szyby.

Niestety, poślizgnął się na pokrytym cienką warstwą lodu parapecie. Teraz wszystko potoczyło się w mgnieniu oka.

Tracąc równowagę, zaczął przebierać rozpaczliwie nogami, ale po ułamku sekundy przestał już nimi wierzgać, bo stopy trafiły w pustkę.

Ale nie odpadł jeszcze od ściany. Uderzył kolanami o parapet, przeciął materiał spodni i skaleczył skórę. Kolana też ześlizgnęły się w przepaść.

Zdażył jeszcze chwycić rękami parapet i zawisł tak nad ulicą. Palce bolały niemiłosiernie, a nogami na próżno starał się znaleźć jakąś szczelinę między blokami granitu, w której oprzeć by mógł czubki butów. Dyszał ciężko.

Występ, gdzie czekała Connie, oddalony był o jakieś pięć metrów od parapetu, z którego się Graham ześlizgnął, a licząc od miejsca, w którym wisiały jego stopy, było to może dwa i pół metra. Dwa i pół metra! Dla Grahama stanowiło to co najmniej dwa i pół kilometra!

Już wyobraził sobie długie spadanie na Lexington, kiedy przypomniała mu się wizja z kulą w plecy i miał nadzieję, że się wtedy nie pomylił.

Zbyt grube rękawice nie pozwalały Harrisowi długo utrzymać się na śliskim parapecie. Poczuł, że palce ześlizgują mu się coraz bardziej. Odpadł od parapetu.

Spadł z prostymi nogami na metrowej szerokości występ. Ryknął z bólu. Zachwiał się.

Connie krzyknęła.

Jedną nogą trafił w przepaść. Poczuł, że kostucha ciągnie go do siebie. Krzyknął przestraszony. Wiatr dmuchnął mu w plecy. Graham zachwiał się jeszcze bardziej.

Connie była przywiązana do ściany, a jej lina trzymała się na zaczepie, który przybiła czekając na Grahama. Zabezpieczona tak przed runięciem w przepaść rzuciła mu się na ratunek. Złapała go za poły kurtki i zaczęła ciągnąć w swoją stronę.

Trwało to może sekundę albo dwie, ale dla nich, balansujących na krawędzi życia i śmierci, czas płynął niezwykle powoli.

Wiatr spychał ich w stronę ulicy.

Wreszcie Connie pokazała, że nie jest wymoczkim. Udało jej się pociągnąć Grahama do siebie na tyle mocno, że stanął wreszcie pewnie obiema nogami na kamieniu. Objął ją mocno i oboje odeszli od krawędzi betonowego kanionu, bliżej ściany, przy której byli bezpieczni.

## 37

— Na pewno odciął ci linę — powiedziała Connie. — Ale teraz już go tam chyba nie ma.

— Idzie do nas.

— I znowu odetnie linę.

— Tak. A więc musimy się pośpieszyć.

Graham położył się na kamieniu równoległe do ulicy.

Chora noga wypełniona była niemiłosiernym bólem od uda aż po palce stóp. Czekala ich jeszcze długa droga i Graham miał świadomość, że ta noga — na razie spijająca się nie najgorzej — może go zawieść w najbardziej dramatycznym momencie, kiedy wszystko zależeć będzie od jej sprawności.

Wyjął hak i wyciągnął rękę do Connie.

— Młotek.

Podala mu młotek.

Pokręcił się trochę, wygiął w bok i wychylił poza krawędź występu.

Daleko w dole, aleją Lexington jechał powoli ambulans. Nawet z trzydziestego trzeciego piętra ulica nie była najlepiej widoczna, ale migające światła jadącego na sygnale pojazdu przebijały przez zadymkę. Ambulans minął Bowertona i zniknął w mroku nocy.

Graham znalazł wąską szczelinę bez zdejmowania rękawic. Zaczął wbijać w nią hak.

Nagle spostrzegł jakiś ruch dwa piętra niżej. Ktoś otworzył okno. Jedno skrzydło. Do środka. Ale niczyja głowa nie wychyliła się z niego. Jednak Graham czuł obecność człowieka w biurze pod nimi.

Złapały go dreszcze nie mające nic wspólnego z zimnem ani wiatrem.

Udał, że nic nie widzi, i skończył wbijanie haka. Potem odsunął się od krawędzi i wstał.

— Nie możemy tutaj zejść — powiedział do Connie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Dlaczego?

— Bollinger jest pod nami.

— Co?

— Przy oknie. Czekaj, żeby zacząć do nas strzelać.



Jej szare oczy rozwarły się szerzej.

— Ale dlaczego nie przyszedł tutaj?

— Może myślał, że już zaczęliśmy schodzić albo że zaczniemy, zanim on dotrze na to piętro.

— I co teraz zrobimy?

— Myślę.

— A ja się boję.

— Nie bój się.

— Nie potrafię.

Brwi i futerko okalające brzeg kaptura przysypane miała śniegiem. Graham przytrzymał ją, gdy wiatr dmuchnął gwałtownie i zagwizdał wokół nich.

— To jest budynek narożny — powiedział.

— Co to oznacza?

— Wychodzi również na ulicę prostopadłą do Lexington.

— No to co?

— Możemy kontynuować zjazd po linie — powiedział podekscytowany — ale z drugiej strony. Nie będzie wcale trudniejszy od schodzenia po tej ścianie.

— A Bollinger może ze swojego okna widzieć tylko Lexington — skonstatowała.

— Masz rację.

— Cudowne!

— No to do dzieła.

— Prędzej czy później domyśli się, co zrobiliśmy.

— Później.

— Lepiej, żeby tak było.

— I tak będzie. Teraz straci parę ładnych minut czekając, aż pojawimy się na linie.

A potem zmarnuje jeszcze sporo czasu, szukając nas po całym piętrze.

— I na klatkach schodowych.

— I w szybach wind. Zanim nas znajdzie, zdążymy opuścić się na dużą odległość.

— Dobra — powiedziała Connie i odwiązała swój węzeł.

## 38

Frank Bollinger czekał przy otwartym oknie na trzydziestym pierwszym piętrze. Zapewne przygotowywali linę, którą zaczepią na tym metalowym kołku, który Harris wbijał w ścianę.

Czekał w napięciu, by zestrzelić gramolącą się po linie kobietę. Ekscytował się wyobrażaniem sobie tej sceny. Ach, co to będzie za przyjemność!

Gdy to się stanie, Harris będzie trafiony, nie będzie mógł ani działać logicznie, ani wystarczająco szybko uciekać. Będzie bezbronny. Wtedy Bollinger będzie mógł bez przeszkód kontynuować polowanie. Jeśli uda mu się zabić Harrisa w wybranym miejscu, to nawet uratuje plan wymyślony wspólnie z Billym.

Gdy tak czekał na swój łup, zaczął znów myśleć o tamtej nocy w mieszkaniu Billy'ego.

Gdy kurwa już sobie poszła, zjedli w kuchni kolację. Zjedli po sałatce, dwa steaki, dwa plastry bekonu, trzy jajka, cztery tosty, a do tego wypili dużą butelkę whisky. Do jedzenia mieli taki sam stosunek, co do kobiet: łapczywy, nastawiony na samozadowolenie i żarłoczny, jak przystało na Nadludzi.

Po północy i po opróżnieniu butelki Bollinger zaczął opowiadać o latach, które spędził z babcią.

Nawet teraz mógł na życzenie przypomnieć sobie każdą część rozmowy. Obdarzony był doskonałą pamięcią. To efekt całych lat poświęconych uczeniu się na pamięć poematów.

— *A więc nazywała cię Dwight. Ładne imię.*

— *Dlaczego tak dziwnie mówisz?*

— *Chodzi ci o akcent z Południa? Urodziłem się w Teksasie. Miałem ten akcent aż do dwudziestego roku życia. Kosztowało mnie niemało wysiłku, by się go wyzbyć. Brałem lekcje wymowy. Ale jeśli tylko chce, potrafię go używać. Czasami robię to dla zabawy.*

— *Dlaczego brałeś lekcje wymowy? Przecież to taki miły akcent.*

— *Nikt na Północy nie bierze cię poważnie, kiedy mówisz jak cowboy. Czy mogę ci mówić Dwight?*

— *Jeśli chcesz.*

— *Przecież jestem ci bliższy niż ktokolwiek inny z wyjątkiem twojej babci.*

- *To prawda.*
- *Też będę ci mówił Dwight, tak jak ona. Chyba nawet jestem ci jeszcze bliższy niż babcia.*
- *Chyba masz rację.*
- *I ty też znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny.*
- *Tak? No, chyba tak...*
- *A więc musimy używać imion na własny użytek.*
- *Dobra, mów mi Dwight. Lubię to imię.*
- *A ty mi mów Billy.*
- *Billy?*
- *Billy James Plover.*
- *Skąd to?*
- *Tak nazywałem się od urodzenia.*
- *Zmieniłeś nazwisko?*
- *Tak jak i akcent.*
- *Kiedy?*
- *Dawno temu.*
- *Dlaczego?*
- *Chodziłem na Północy do college'u. Nie szło mi tak dobrze, jak powinno. Nie dostałem promocji, choć na nie zasługiwałem. W końcu mnie wywalili. Potem dowiedziałem się dlaczego. W tamtych czasach, kiedy miałeś południowy akcent i nazywałeś się jak cowboy, nie miałeś na Północy szans nawet w szkole.*
- *Przesadzasz.*
- *Skąd ty możesz wiedzieć? Skąd możesz wiedzieć, do cholery? Ty od początku nazywałeś się ładnie, jak porządny biały, anglo-saksoński protestant z Północy. Franklin Dwight Bollinger.*
- *Chyba masz rację.*
- *Wtedy wszyscy intelektualiści z Północy zaangażowani byli w konspirację przeciwko Południowi i Południowcom. Zresztą są i nadal, ale teraz nie jest to tak powszechne i złowrogi zjawisko. Ale wtedy, nie mając porządnego anglo-saksońskiego nazwiska, jak twoje, albo żydowskiego, jak Soi Cohen, nie mogłeś nic osiągnąć w społeczności na Północy. Nikt by cię nie zaakceptował, gdybyś nazywał się Billy James Plover.*
- *A więc przestałeś nazywać się Billy.*
- *Najszybciej, jak się dało.*
- *I czy wtedy dopisało ci szczęście?*
- *Tego samego dnia.*
- *Ale chcesz, żebym j a mówił ci Billy.*
- *To nie imię było nie w porządku, ale ludzie, którzy źle na nie reagowali.*
- *Billy...*

- *Czy nie powinniśmy mieć na swój użytek specjalnych imion?*
- *Nieważne, ale jeśli sobie tego życzysz...*
- *Czy my nie jesteśmy czymś specjalnym, Frank?*
- *Może...*
- *Czy nie jesteśmy inni od reszty ludzi?*
- *Jesteśmy zupełnie inni.*
- *A więc nie powinniśmy mówić do siebie imionami, którymi oni nas nazywają.*
- *Skoro tak twierdzisz...*
- *Jesteśmy Nadludźmi, Frank.*
- *Co?*
- *Ale nie takimi jak Clark Kent.*
- *Pewnie, ja nie widzę w podczerwieni.*
- *Jesteśmy Nadludźmi tak, jak to rozumiał Nietzsche.*
- *Nietzsche?*
- *Nie są ci znane jego poglądy?*
- *Nieszczególnie.*
- *Pożyczę ci jego książkę.*
- *Dobra.*
- *Nietzschego należy czytać na okrągło. Dam ci ten tom w prezencie.*
- *Dziękuję, Billy.*
- *Proszę bardzo, Dwight.*

Przy na wpół otwartym oknie Bollinger spojrział na zegarek. Było wpół do pierwszej w nocy.

Z występu na trzydziestym trzecim piętrze nie zaczął jeszcze nikt schodzić.

Nie mógł czekać dłużej. Zmarnował już zbyt dużo czasu. Musi iść i poszukać ich.

## 39

Connie wbiła hak w wąską, poziomą szczelinę między płytami. Przyczepiła do niego karabinek ze swoją liną zabezpieczającą, po czym zwolniła linę główną.

Graham natychmiast podciągnął ją do siebie, do góry.

Zejsście po tej stronie budynku okazało się bez porównania łatwiejsze niż od strony Lexington. Nie dlatego, żeby było tu więcej występów, półek czy krawędzi, na których można oprzeć stopę, bo tych było tyle samo, ale dlatego, że wiatr nie dął tu tak dziko, a płatki śniegu nie przypominały ołowianych kulek. Powietrze było co prawda równie zimne, ale nie powodowało bolesnego drętwienia kończyn czy wręcz odmrożeń.

Connie opuściła się już dziesięć pięter, a Graham, postępujący za nią, pięć. Był właśnie przy wąskiej, metrowej może szerokości półce dwudziestego ósmego piętra. Poniżej widniała już tylko gładka, granitowa powierzchnia i kolejny występ dopiero przy szóstym piętrze, ponad sto metrów niżej. Niewielkie pocieszenie stanowił na dwudziestym trzecim piętrze wążiuteńki gzyms, typowy element dekoracyjny w kształcie kiści winogron, a więc obły i nie będący najlepszym oparciem dla nogi. Ale to właśnie tu czekała Connie, i czuła się w miarę bezpieczna. Za minutę, może mniej, Graham będzie już przy niej.

Nie bardzo wiedziała, co dalej. Występ na szóstym piętrze, do którego zmierzali, był nadal bardzo daleko. Przyjmując czteroipółmetrową wysokość każdego piętra, musieli pokonać prawie osiemdziesiąt metrów, by dotrzeć do szóstego pietra. Ich liny miały długość jedynie trzydziestu kilku metrów, a poniżej gzymsu z winogronami nie było już, aż do szóstego piętra, żadnych występów.

Graham zapewniał ją, że wszystko będzie dobrze, ale mimo to bardzo się martwiła.

Graham już gramolił się po linie w dół. Była zafascynowana tym widokiem. Równoległe z tym, jak schodził, rozwijał linę. Wyglądało to tak, jakby wypuszczał ją z siebie, produkował ją w miarę opuszczania się. Przypominał jej pająka pełznącego po tworzonej przez siebie sieci.

Jeszcze kilka sekund i już był przy niej.

Podawała mu młotek.

W ścianę pomiędzy dwoma oknami, w dwie różne szczeliny, wbił po jednym haku.

Oddychał ciężko, a z jego szeroko otwartych ust wydobywała się para.

— Nic ci nie jest? — spytała Connie.

— Na razie nie.

Nie asekurowując się liną, zaczął przesuwac się wzdłuż gzymsu, plecami do ulicy, stając ostrożnie po kamiennych kiściach winogron i parapecie okna. Musiał uważać na zlodowacenia podstępnie ukryte pod nawianym przez wiatr śniegiem.

Connie chciała zapytać Grahama, dokąd idzie, co zamierza zrobić, ale bała się mu przeszkadzać. Gdyby coś się wtedy stało, gdyby zakłóciła jego koncentrację i spowodowała wypadek, nie wybaczyłaby sobie tego do końca życia.

Graham minął okno, zatrzymał się, przybił jeszcze jeden hak i schował młotek.

Zaczął wracać powoli, krok po kroku, do miejsca, gdzie przybił dwa pierwsze uchwyty.

— Po co to? — spytała Connie.

— Będziemy schodzić razem — powiedział Graham. — W tym samym czasie. Na dwóch osobnych linach.

Przełknęła ślinę i odparła twardo:

— O, nie.

— O, tak.

Serce zabiło jej tak gwałtownie, że pomyślała, iż wyskoczy.

— Ja nie potrafię.

— Potrafisz.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Oczywiście, że nie w ten sposób, jak ja to robiłem.

— Co do tego nie ma wątpliwości.

— Będziesz teraz schodzić w siodełku. Tak jest łatwiej i bezpieczniej. Chociaż zapewnienie Grahama nie rozwiało jej wątpliwości, zapytała:

— A co to za różnica?

— Za chwilę ci pokażę.

— Nie musisz się spieszyć.

Złapał jedną ręką trzydziestometrową linę, po której zszedł tu z dwudziestego ósmego piętra i pociągnął za nią trzykrotnie, jednocześnie ciągnąc w bok. Pięć pięter wyżej zwolnił się węzeł i lina spadła w dół.

Nie wypuszczając jej z ręki, sprawdził koniec liny, czy nie jest uszkodzony. Usatysfakcjonowany jego stanem, zawiązał tam kolejny węzeł i wsunął linę w karabinek, który z kolei umocował na jednym z haków.

— Nie damy rady zejść na sam dół — powiedziała Connie.

— Mylisz się.

— Liny są za krótkie.

— Zejdiesz najpierw pięć pięter, usadowisz się na parapecie okna, puścisz linę prawą ręką...

— Usadowić się na parapecie? On ma pięć centymetrów szerokości!

— Nie zapominaj, że nadal trzymać się będziesz liny lewą ręką.  
— A co mam zrobić z prawą?  
— Wybić szyby w obu połówkach okna.  
— I co dalej?  
— Przywiązać linę asekuracyjną do okna. Potem zaczep drugi karabinek na środkowym węgarku. Jak tylko to zrobisz, możesz puścić linę główną...  
— ...i ściągnąć ją z góry, tak jak ty to zrobiłeś przed chwilą?  
— Tak. Pokażę ci, jak to się robi.  
— I mam złapać tę linę?  
— Oczywiście.  
— I przywiązać ją do karabinka, który umocowałam na węgarku?  
— Zgadza się.  
Było jej już zimno w nogi i zaczęła lekko przytupywać, w miarę możliwości.  
— Zgaduję, że następnie mam odzepić linę asekuracyjną i zejść kolejne pięć pięter.  
— I na parapecie jakiegoś okna powtórzysz te same czynności. W ten sposób, spuszczać się tylko po pięć pięter, zjedziemy na sam dół.  
— W twoich ustach brzmi to tak nieskomplikowanie.  
— Zrobisz to lepiej, niż ci się wydaje. Zaraz ci pokażę, jak wykonać siodełko.  
— Jest jeszcze inny problem.  
— Jaki?  
— Nie wiem, jak zrobić taki węzeł, żeby potem z dołu go rozwiązać i ściągnąć linę.  
— To nie jest trudne. Pokażę ci.  
Odwiązał linę zjazdową od karabinka, który miał na wprost siebie.  
Connie przesunęła się do Grahama i pochyliła nad liną, którą trzymał w obu dłoniach. W dole mieli słynną nocną panoramę Manhattanu, przymgloną przez szalejącą śnieżycę. Pokryte białym puchem ulice odbijały światło latarni, ale nie docierało ono tu, na wysokość dwudziestego trzeciego piętra, gdzie panował mrok. Dlatego Connie musiała się nachylić, żeby zobaczyć dokładnie, co robi Graham.  
Bardzo szybko nauczyła się wiązać linę tak, by dała się potem na odległość rozsypać. Connie powtórzyła potem węzeł sama kilka razy, by nie zapomnieć, jak to się robi.  
Następnie Graham owinął ją liną wokół bioder i pomiędzy nogami, a w miejscu, gdzie poszczególne odcinki liny zbiegały się ze sobą, założył karabinek.  
— A więc to jest siodełko? — powiedziała Connie i złapała za główną linę. Wysiliła się na uśmiech, którego Harris na szczęście i tak nie zauważył. Na szczęście, gdyż był to uśmiech niepewny, wymuszony, mógłby tylko zatroskać Grahama.  
Ten wyjął natomiast kolejny karabinek i powiedział:  
— Teraz muszę przywiązać do uprząży linę, po której będziesz zjeżdżać. A potem ci pokażę, jaką trzeba przyjąć pozycję...  
Przerwał mu głuchy odgłos wystrzału: b u u m!

Connie spojrzała do góry.

Nie było tam Bollingera.

Nie wiedziała, czy naprawdę usłyszała strzał, czy też dźwięk ten był wytworem dmącego wiatru.

Ale zaraz usłyszała jeszcze raz: buum! Już nie miała wątpliwości. Strzał. Dwa strzały. Bardzo blisko. W budynku. Gdzieś na dwudziestym trzecim piętrze.

Frank Bollinger pchnął kopniakiem otwarte drzwi i wszedł do środka. Zapalił światło w biurze. Przeszedł koło biurka sekretarki, stołu z maszyną do pisania i kserokoparki. Zmierzał w stronę okien, które wychodziły na boczną ulicę.

Kiedy Graham zobaczył, że w oknach nad ich głowami zapaliło się światło i usłyszał tam jakiś hałas, błyskawicznie podjął decyzję:

— Chodź za mną — powiedział do Connie.

Znów się pocił. Twarz miał mokrą od potu, a pod kapturem swędziała go wilgotna skóra.

Odwrocił się od Connie w lewą stronę i bez liny asekuracyjnej ruszył po gzymsie w stronę Lexington. Szedł jak po chodniku, gdyż nie było czasu, by skradać się powoli, tyle że stopy stawiał równo jedna przed drugą, jakby tańczył na linie. Prawą ręką przytrzymywał się ściany.

Znajdował się w odległości dwudziestu kilku metrów od narożnika, za którym była aleja Lexington. Gdy schowają się po tamtej stronie, nie dosięgną ich już strzały Bollingera.

Oczywiście Bollinger znajdzie biura, których okna wychodzą na Lexington, ale w ten sposób straci kilka minut. Teraz każda minuta życia liczyła się dla Grahama i Connie podwójnie.

Chciał spojrzeć za siebie, czy Connie nie ma jakichś trudności, ale wiedział, że nie może, że musi patrzeć prosto przed siebie i starannie stawiać kroki.

Nie przeszedł nawet trzech metrów, kiedy usłyszał, że Bollinger znów strzela.

Skurczył ramiona, antycypując wypadki ze swej wizji.

Z przerażeniem skonstatował, że Connie stanowi dla niego tarczę ochronną. Powinien był puścić ją przodem, powinien był sam wystawić się na ewentualne strzały Bollingera. Jeśli kula miałaby zatrzymać się w jej ciele, to dla Grahama życie straciłoby sens. Tyle że za późno już było na rozpamiętywanie. Gdyby się teraz zatrzymali, staliby się jeszcze lepszymi tarczami.

W ciemności rozległ się kolejny strzał.

I jeszcze jeden.

Graham zaczął posuwać się szybciej, niż to było bezpieczne, świadom tego, że jeden fałszywy krok i poszybuje w dół, na ulicę. Buty ślizgały mu się na oblodzonym kamieniu.



Jeszcze tylko dziesięć metrów.

Osiem...

Bollinger znów strzelił.

Sześć metrów...

Czwarty strzał poczuł, zanim go usłyszał. Kula przeszła przez lewy rękaw jego kurtki i raniła go w ramię.

Uderzenie spowodowało, że zachwiał się. Runął przed siebie, robiąc kilka nie kontrolowanych kroków. Ulica zapulsowała mu w oczach, to zbliżając się, to oddalając. Prawą ręką zaczął jeździć bezradnie po ścianie. Jedna noga omsknęła mu się i zawisła w próżni. Usłyszał swój krzyk, ale nie potrafił rozróżnić słów. Kiedy odzyskał równowagę, co trwało kilka sekund, sam dziwił się sobie, że nie spadł w przepaść.

Z początku nie odczuwał bólu. Miał po prostu sparaliżowaną lewą rękę, ale nic poza tym. Tak, jakby mu ją ucięto. Przez chwilę zastanowił się, czy rana nie jest przypadkiem śmiertelna. Ale wtedy strzał byłby na tyle silny, że powaliłby go na kolana, może nawet zepchnął z gzymsu, a poza tym bolałby niemiłosiernie.

Pięć metrów...

Dostał zawrotu głowy.

Stracił siłę w nogach.

„To szok”, pomyślał.

Trzy metry.

Jeszcze jeden strzał. Ale nie tak głośny jak poprzednie. Nie tak przerażająco bliski. Jakieś piętnaście metrów za nim.

Gdy wreszcie doszedł do narożnika budynku i silny powiew wiatru z Lexington uderzył mu w twarz, obejrzał się za siebie. Gzyms był pusty.

Connie zniknęła.

# 40

Connie wisiała zawieszona nad ulicą jakieś cztery-pięć metrów pod winogronowym gzymsem i kołysała się na wietrze. Bała się spojrzeć w dół.

Obiema rękami wyciągniętymi do góry ścisnęła nylonową linę. Miała już trudności, by ją utrzymać. Palce zdrętwiały jej z wysiłku i nie była pewna, jak długo jeszcze wytrzyma, na ile wystarczy jej sił. Rozluźniła na chwilę uchwyt, nieświadoma tego, co robi, i zjechała parę metrów w dół, zanim zdołała wyhamować.

Próbowała znaleźć zaczepienie dla swych nóg, ale bez rezultatu.

Wlepiła wzrok w gzyms nad swoją głową. Oczekiwała, że zobaczy Bollingera.

Kilka minut temu, kiedy otworzył okno z jej prawej strony i wystawił przez nie rękę z pistoletem, wiedziała, że jest zbyt blisko, żeby spudłował. Nie mogła już pójść za Grahamem w stronę narożnika. Gdyby to zrobiła, Bollinger strzeliłby jej w plecy. Zamiast tego złapała linę i rzuciła się na niej w przepaść. Rachuby Connie sprawdziły się. Jedynym ratunkiem było dla niej zmylić Bollingera. Gdyby rzuciła się do ucieczki albo nie zrobiła nic, to w obu przypadkach byłaby już martwa. A tak istniała zawsze szansa, choć Connie wydawała się ona niewiarygodna, że uda jej się zgrać swój upadek ze strzałem, aby wyglądało na to, iż Bollinger trafił ją i zestrzelił. I chyba się udało!

Modliła się, by pomyślał, iż ona już nie żyje. W razie jakichkolwiek wątpliwości wychyliłby się z okna, zobaczył ją i przeciął linę.

Chociaż położenie Connie było na tyle poważne, że wymagało koncentracji na tym, co ma robić, to martwiła się również o Grahama. Wiedziała, że Bollinger jego nie zestrzelił, bo wtedy dostrzegłaby, jak spada. Ale mógł być ciężko ranny.

Czy był, czy nie był ranny, jej życie zależało od powrotu Grahama.

Connie nie znała się na alpinizmie. Nie wiedziała, jak ma się opuszczać, bo Graham nie zdążył jej powiedzieć. Nie potrafiła zrobić nic innego, jak tylko trzymać się tej liny i to też nie za długo.

Nie chciała umierać, nie godziła się na to, żeby umrzeć. Nawet jeśli w tym czasie Bollinger zastrzelił Grahama, ona nie chciała pójść w jego ślady. Kochała go bardziej niż kogokolwiek innego w całym swym życiu. Czasami czuła się sfrustrowana, bo nie potrafiła wyrazić głębi swego uczucia. Język miłości był tu nieadekwatny. Była gotowa do największych poświęceń dla niego. A z drugiej strony była hedonistką. Lubiła przyjemności w życiu, całe życie składało się dla niej z drobnych przyjemności i za to je ko-

chała. Grzanka na śniadanie, praca w antykwariacie, czytanie dobrej książki, oglądanie podniecającego filmu, miłość. Oczywiście miłość dostarczała nieporównywalnie więcej przyjemności niż inne elementy życia, ale gdyby jej zabrakło, zadowoliliby się resztą. Wiedziała, że jej stosunek do życia w żadnym stopniu nie zubażał miłości do Grahama i nie rzucał podejrzeń na ich związek. Jej miłość do życia była tym, co przyciągnęło Grahama do Connie, i co sprawiło, że tak dobrze do siebie pasowali... Jediną rzeczą w życiu, z którą Connie nie potrafiła się pogodzić, była śmierć, Pięć metrów poniżej ktoś poruszał się w świetle zapalanej lampy.

Bollinger?

Boże, nie!

Ale zanim Connie oddała się rozpacz, zobaczyła, że okno się otwiera i wychyla z niego głowę Graham. Ujrzał ją też i zdębiał. Oczywiście spodziewał się, że Connie jest już miazgą na trotuarze, dwadzieścia trzy piętra niżej.

— Pomóż mi — powiedziała.

Graham, zaciskając zęby, zaczął ją ściągać za pomocą liny.

Frank Bollinger zatrzymał się na korytarzu dwudziestego trzeciego piętra, by przeładować pistolet. Kończyła mu się amunicja.

— *A więc przeczytałeś już tę książkę Nietzschego. I co myślisz?*

— *Zgadzam się z nim.*

— *Na jaki temat?*

— *Na wszystkie tematy.*

— *A sprawa Nadludzi?*

— *O, to podoba mi się szczególnie.*

— *Dlaczego?*

— *On musi mieć rację. Ludzkość, taka jaką my znamy, musi być przejściowym stopniem ewolucji. W przeciwnym razie wszystko nie ma sensu.*

— *Nie uważasz, że my jesteśmy tym rodzajem istot, o których mówi?*

— *Jasna sprawa! Ale niepokoi mnie jedna rzecz. Zawsze myślałem o sobie, że jestem, jeśli chodzi o politykę, liberałem.*

— *No i co?*

— *Jak tu pogodzić liberalizm z wiarą w rasę Nadludzi?*

— *To żaden problem, Dwight. Prawdziwi, zatwardziali liberałowie wierzą w Nadludzi. Sami myślą, że nimi są. Wierzą, że są bardziej inteligentni od przeciętnego człowieka, że lepiej się nadają do wszystkiego. Uważają, że tylko oni mają jasny i skuteczny program rozwiązania wszystkich problemów współczesnego świata. Preferują silne rządy, bo od nich już tylko jeden krok do totalitaryzmu, nie kwestionowanych rządów elity. I oczywiście jako elitę widzą oni siebie. A więc pogodzić Nietzschego z liberalizmem nie jest trudniej niż z filozofią skrajnie prawicową.*

Bollinger zatrzymał się przed drzwiami firmy Opway Electronics. Jej okna wychodziły na aleję Lexington. Wyjął walthera i strzelił dwukrotnie. Zamek zamienił się w metalową miazgę.

Trzymając linę zdrową ręką i udzielając Connie niezbędnych do bezpiecznego zejścia wskazówek, Graham sprowadził ją wreszcie na twardy grunt.

Ściskając się i płacząc ze szczęścia, stali oboje na ośnieżonym występie i cieszyli się, że znów są razem. Gdyby nie grube kurtki, w które byli odziani, to ścisłaliby się tak mocno, że nie mogliby oddychać. Przez chwilę zapomnieli o tym, gdzie się znajdują, zapomnieli o grożących im niebezpieczeństwach. Nie mieli najmniejszego zamiaru wypuszczać się ze swoich objęć. Graham czuł się jak pod wpływem jakiegoś narkotyku, był wprost upojony radością. Okoliczności sprawiły, że popadł w niezwykle nastrój. Chociaż długa droga ich jeszcze dzieliła od absolutnego bezpieczeństwa, Graham był w siódmym niebie. Connie żyła.

— Gdzie Bollinger? — spytała.

Okno za plecami Grahama ukazywało pusty, oświetlony pokój. Nie było w nim żadnego śladu obecności mordercy.

— Prawdopodobnie poszedł wyjrzeć na Lexington — powiedział Graham.

— W takim razie myśli, że ja nie żyję.

— Na pewno. Ja też już byłem o tym przekonany.

— Co ci się stało w rękę?

— Trafił mnie.

— Och!!!

— Drętwieje i boli, ale nic więcej.

— Tyle krwi...

— Nie tak dużo. Kula tylko drasnęła skórę. To powierzchowna rana — Graham zgiął i wyprostował rękę, by udowodnić, że to naprawdę nic poważnego. — To nie będzie nam przeszkadzać w dalszej ucieczce.

— Nie powinieneś schodzić po linie w takim stanie.

— Nic mi nie będzie. A poza tym nie mam innego wyboru.

— Moglibyśmy wejść do środka i wrócić na klatkę schodową.

— Jak tylko Bollinger zauważy, że nie ma mnie na ścianie od strony Lexington, wróci tu. A gdy tu również mnie nie znajdzie, sprawdzi schody. I tam nas dopadnie.

— To co zrobimy?

— To samo co poprzednio. Pójdziemy po występie do narożnika. Zanim dojdziemy do ściany od strony Lexington, Bollingera już tam nie będzie. Zaczniemy schodzić dalej.

— Z twoją ręką?

— Tak. Z moją ręką.

- A ta wizja z kulą w plecy...?
- Co wizja?
- Dotknęła jego ręki.
- Może to chodzi o ten strzał?
- Niestety nie.

Bollinger odwrócił się od okna, które wychodziło na Lexington. Wypadł z biura Opway Electronics i pobiegł korytarzem w stronę pomieszczenia, z którego przed kilkoma minutami strzelał do Harrisa.

- *Chaos, Dwight.*
- *Chaos?*
- *Tak. Jest, cholera, za dużo tych podludzi. Przez to my, Nadludzie, nie zdołamy przejąć władzy w najbliższym czasie. Wzniesiemy się na tron tylko poprzez pola Armageddonu.*
- *Masz na myśli... wojnę nuklearną?*
- *To tylko jedna z możliwości. Tylko tacy jak my mieliby dość odwagi i wyobraźni, by wyprowadzić cywilizację z ruin. Ale czy to by nie było niedorzeczne, gdybyśmy czekali, aż zniszczą wszystko, co my powinniśmy po nich przejąć?*
- *Masz rację.*
- *Objawiła mi się taka idea, że moglibyśmy przyspieszyć potrzebny nam chaos i doprowadzić do mniej destrukcyjnego końca świata.*
- *Jak?*
- *Czy mówi ci coś nazwisko Albert DeSalvo?*
- *Nie.*
- *Grał w „The Boston Stranglers”.*
- *Pamiętam! Morderca wielu kobiet!*
- *Powinniśmy prześledzić sprawę DeSalvo. On oczywiście nie był jednym z nas. To był kompletny wariat i psychopata. Ale myślę, że powinien nam posłużyć jako model. Działając w pojedynkę wzbudził tyle strachu, że nieomal cały Boston ogarnęła panika. Strach będzie naszym podstawowym narzędziem. Strach może przerodzić się w panikę. Odpowiednia liczba spanikowanych ludzi może wywołać histerię. Histeria objąć może całe miasto albo i cały kraj.*
- *Ale DeSalvo ani trochę nie zagroził istnieniu cywilizacji.*
- *Bo i nie było to jego celem.*
- *Nawet jeśli by było...*
- *Dwight, załóżmy, że Albert DeSalvo... nie, lepiej załóżmy, że Kuba Rozpruwacz krążyłby gdzieś po Manhattanie. Załóżmy, że zamordowałby nie dziesięć, nie dwadzieścia kobiet, ale setkę. Dwie setki. W szczególnie brutalny sposób. Każde morderstwo miałyby widoczne i bezsprzeczne podłoże seksualne. Tak żeby nie było żadnych wątpliwości, że wszystkie zginęły z tej samej ręki. Co by było, gdyby wszystkiego tego dokonał na przestrzeni kilku miesięcy?*

— *Strach. Blady strach. Ale...*

— *To byłaby największa afera w mieście, stanie, a może nawet w całym kraju. A teraz założmy, że po zamordowaniu pierwszej setki kobiet poświęcilibyśmy się zabijaniu mężczyzn. Za każdym razem odcinalibyśmy im narządy płciowe i zostawiali informację łączącą zbrodnię z jakąś wymyśloną przez nas organizacją feministyczną.*

— *Co?!*

— *Sprawilibyśmy wtedy, iż opinia publiczna byłaby przekonana, że mężczyzn zabito w rewanżu za zabicie stu kobiet.*

— *Z wyjątkiem tego, że kobiety zwykle nie popełniają zbrodni w ten sposób.*

— *Nieważne. To tylko sytuacja modelowa.*

— *A jaką sytuację ty zamierzasz stworzyć?*

— *Jeszcze nie rozumiesz? W tym kraju są cholerne napięcia między kobietami i mężczyznami. Obrzydliwe napięcia. Z roku na rok, w miarę jak rozrasta się ruch emancypacji kobiet, napięcia te stają się prawie nie do zniesienia, gdyż są kamuflowane, ukrywane. My je wypchniemy na powierzchnię.*

— *Nie jest tak źle. Przesadzasz.*

— *Wcale nie. Uwierz mi. Już ja wiem. A za tym idą inne możliwości. Po ziemi chodzą tysiące zboczeńców, potencjalnych morderców. Wystarczy tylko, że ktoś ich lekko popchnie, da niezbędne wskazówki. Tyle się nasłuchają i naogłdają wiadomości o zbrodniach, że zaczęła realizować własne pomysły. Wystarczy, że zarżniemy sto kobiet i ze dwudziestu mężczyzn, udając, że to robota wariata, a znajdziemy wielu naśladowców, którzy będą robili tę robotę za nas.*

— *Może...*

— *Na pewno. Wszyscy masowi mordercy mieli swoich naśladowców. Ale jeszcze żaden z nich nie popełnił zbrodni tak wielkiej, by zainspirować całe legiony naśladowców. My to osiągniemy. I wtedy zmienimy nasze zainteresowania.*

— *Co?*

— *Zacniemy mordować białych na chybił trafił, pozorując działalność jakiejś, również nie istniejącej w rzeczywistości, rewolucyjnej grupy murzyńskiej. Po dokonaniu kilkunastu morderstw...*

— *...zacniemy zabijać czarnych, żeby zasugerować odwet.*

— *Rozumiesz poprawnie. Dolejemy oliwy do ognia.*

— *Zaczynam rozumieć twój zamiar. W mieście tej wielkości zawsze są jakieś antagonizmy — czarni i biali, Portorykańczycy i Azjaci, mężczyźni i kobiety, liberałowie i konserwatyści, radykałowie i reakcyjniści, katolicy i żydzi, bogaci i biedni, młodzi i starzy... Spróbujemy zwrócić ich przeciwko sobie, napuścimy jednych na drugich i wszystkich razem przeciwko komu tylko się da. Zacznie się jedna wielka walka, czy to religijna, czy polityczna, czy ekonomiczna, czy jedna i druga, i trzecia... Eskalacja przemocy nie znajdzie granic.*

— Dokładnie. To się musi udać, wystarczy, że dokładnie wszystko zaplanujemy. W przeciągu sześciu miesięcy będzie co najmniej dwa tysiące ofiar. A może i pięć razy tyle.

— I wprowadzą stan wojenny. To uspokoi sytuację, zanim zdąży się rozwinąć na zaplanowaną przez ciebie skalę.

— Nieprawda. Spójrz na Irlandię Północną. Tam żołnierze stoją na każdym rogu, a zabijanie nie ustaje. Będziemy mieli chaos, jak się patrzy, Dwight. I rozszerzy się na inne miasta, jak...

— Trudno mi w to uwierzyć.

— We wszystkich stanach ludzie będą słyszeć o tym, co dzieje się w Nowym Jorku. Dzięki temu...

— To nie rozszerzy się tak łatwo, Billy.

— W porządku, w porządku. Ale przynajmniej tu będzie panował chaos. Wyborcy będą wtedy głosować na twardego kandydata na burmistrza, który obieca twardą ręką zaprowadzić porządek.

— No tak.

— To może być jeden z nas, jeden z reprezentantów nowej rasy. Burmistrzostwo Nowego Jorku jest dobrą bazą polityczną dla przebiegłego człowieka, który chciałby wystartować w wyborach prezydenckich.

— Wyborcy mogą wybrać silnego polityka, ale nie każdy silny polityk musi być jednym z nas.

— Jeśli zaplanowaliśmy chaos, możemy także zaplanować udział jednego z nas w zwalczaniu tego chaosu.

— Jednego z nas? Ale, do cholery, oprócz siebie nie znamy przecież nikogo!

— Ja bym był doskonałym burmistrzem.

— Ty?

— Mam dobrą bazę do rozpoczęcia kampanii.

— Boże, co jemu przyszło do głowy!

— Mogę wygrać wybory.

— Z drugiej strony, naprawdę mógłbyś wygrać.

— To byłby krok do przodu w naszym dążeniu do przejęcia władzy przez naszą rasę.

— Boże, ale ile po drodze zabijania!

— Nigdy jeszcze nie zabijałeś?

— Jednego alfonsa. I dwóch handlarzy narkotyków, którzy wyskoczyli na mnie z bronią. I jeszcze jedną kurwę, której i tak nikt nie znał.

— Czy zabijanie sprawia ci przykrość?

— Nie. To dla mnie pestka.

— To dobrze. To dla nas musi być pestka. Będziemy zabijać podludzi, zwierzęta...

— Nie złapią nas?

— Obaj znamy gliny. Wiemy, kogo będą szukać. Znanych im psychopatów. Znanych im kryminalistów. Radykałów. Ludzi, którzy mieli motyw. Nie znaleźliby nas i przez milion lat.

— Cholera, jeśli wypracujemy każdy szczegół naszego planu, to naprawdę może nam się to udać.

— Czy wiesz, co Leopold napisał do Loeba, zanim zamordowali Bobby'ego Franksa? „Nadczłowiek nie jest odpowiedzialny za nic, co robi, z wyjątkiem jednego jedyne go przestępstwa, jakim jest popełnienie błędu”.

— Gdybyśmy się zdecydowali na coś takiego...

— „Gdybyśmy?”

— Jesteś zdecydowany?

— A ty nie, Dwight?

— Zaczniemy od kobiet?

— Tak.

— Będziemy je zabijać.

— Tak.

— Billy?

— Tak?

— Będziemy je najpierw gwałcić?

— O, tak!

— To może być nawet niezła zabawa.

Bollinger wychylił się przez okno i spojrział w prawo, potem w lewo, a wreszcie w górę i w dół. Harrisa nie było z tej strony budynku.

Chociaż w ścianie nadal tkwiły metalowe kołki jak wtedy, gdy strzelał do Harrisa, to lina przyczepiona do jednego z nich zniknęła.

Bollinger wdrapał się na parapet i wychylił poza krawędź występu. Na ulicy powinno leżeć ciało kobiety. Ale nie było tam ciała! Nic tylko śnieg, puszysty, biały śnieg.

Cholera, ona wcale nie spadła! Nie trafił tej dziwki!

Dlaczego oni jeszcze, cholera, żyją?!

Był wściekły. Wszedł z powrotem do pokoju i strzepał ze spodni śnieg. Opuścił biuro i wyszedł na korytarz. Skierował się w stronę najbliższych schodów.

Connie żałowała, że nie może zjechać po linie z zamkniętymi oczami. Zawieszona na wysokości dwudziestego trzeciego piętra nad Lexington miała oczy otwarte i lęk paraliżował jej ruchy. Zwłaszcza że nie było liny asekuracyjnej.

Prawa ręka na wysokości uda.

Lewa ręka wzniesiona.

Prawa ręka hamuje.

Lewa ręka prowadzi.

Stopy wyciągnięte i mocno oparte o ścianę.

Powtarzając w myślach wszystko, czego nauczył ją Graham, odepchnęła się mocno i głęboko wciągnęła powietrze. Czuła się jak samobójczyni, która właśnie decyduje się na ten ostateczny krok.



Zamiast zjechać w dół, zakołysała się na linie. Zorientowała się więc, że zbyt mocno zaciska na niej dłoń. Zwolniła chwyt. Zjechała kilka metrów, zanim prawą ręką wyhamowała.

Ale zapomniała, że nogi musi mieć szeroko rozstawione i wyprostowane, by uniknąć upadku na ścianę całym ciałem. Zanim zdążyła sobie o tym przypomnieć, grzmotnęła plecami o granitowe płyty. Uderzenie nie było na tyle mocne, żeby połamać jej kości, ale wystarczająco silne, żeby zadać dotkliwy ból.

Zamroczyło ją, ale nie wypuściła liny z rąk. Oparła się nogami o ścianę, podnosząc do góry kolana i przybierając właściwą pozycję. Spojrzała w lewo na Grahama dając mu znać, że wszystko w porządku.

Znajdował się około trzech metrów dalej. Kiwnął głową. Connie zaczęła kontynuować zejście. Tym razem nie zrobiła już żadnych błędów.

Graham uśmiechnął się patrząc, jak Connie opuszcza się po linie. Jej odwaga i determinacja sprawiały mu przyjemność. Naprawdę było w niej coś z Nory Charles. I z Nicka też, cholera jasna!

Kiedy zorientował się, że Connie dobrze sobie radzi na linie i nawet zdążyła go już wyprzedzić, odepchnął się od ściany. Robił większe skoki i jeszcze przed nią dotarł do osiemnastego piętra.

Przycupnął na tak małym, że prawie nie istniejącym parapecie, wybił szyby w oknie i na środkowym węgarze przyczepił karabinek. Umocował na nim linę asekuracyjną, zwolnił linę zjazdową, ściągnął ją w dół, przywiązał do tego samego karabinka, przełożył sobie wokół ciała i przyjął pozycję do dalszego zejścia.

Connie wylądowała jakieś dziewięć metrów od niego i też już była gotowa do dalszej wędrówki.

Odepchnął się nogami od ściany.

Był bardzo zdziwiony nie tylko tym, że jeszcze nieźle pamiętał techniki alpinizmu, ale również tym, jak szybko pokonał strach. Co prawda nadal bał się, ale nie był to już ten paralizujący lęk, którego musiał się wstydzić. Warunki oraz miłość sprawiły cud, którego nie dokonałby najlepszy nawet psychiatra.

Przyszło Grahamowi na myśl, że uda im się uciec przed Bollingerem. Nie zwracał uwagi na ból w lewej, ranionej ręce ani na sztywniejące palce. Chora noga od dawna przestała go zaprzętać — od czasu, kiedy po prostu przyzwyczyił się do nieustannego cierpienia, tak że nie przeszkadzało mu w opuszczaniu się po linie.

Nie minęło pięć minut, a był już na wysokości siedemnastego piętra. Jeszcze dwa odbicia od ściany i znalazł się na niewielkim gzymsie szesnastego piętra. Nie wiedział, że tam zaczął się Frank Bollinger.

Okno było zamknięte, ale odsunięte zasłony. Na biurku w środku paliła się lampa.

Bollinger był po drugiej stronie szyby. Wielka, przerażająca sylwetka mordercy. Właśnie otwierał okno.

„Nie!” pomyślał Graham.

Ledwo dotknął stopami okna, odbił się momentalnie od framugi i zjechał po linie w dół.

W tej samej chwili Bollinger strzelił nie bawiąc się już dalej klamką okna. Szkło rozprysnęło się na boki.

Choć Bollinger zareagował na widok Harrisa niezwykle szybko, Graham był już poza zasięgiem strzału. Znalazł się trzy metry niżej, mniej więcej na wysokości piętnastego piętra.

Spojrzał w górę. Zobaczył, jak z lufy pistoletu Bollingera błysnął ogień, kiedy ten strzelił w kierunku Connie.

Strzał wytrącił ją z jej pozycji. Znów uderzyła plecami o ścianę. Błyskawicznie podkurczyła kolana i zaczęła opuszczać się dalej.

Bollinger strzelił jeszcze raz.

# 41

Bollinger zdał sobie sprawę, że znów nikogo nie trafił.

Opuścił biuro i pobiegł do windy. Włożył klucz w odpowiedni otwór i nacisnął guzik dziesiątego piętra.

Jadąc w dół znów zaczął myśleć o planie, który przygotował wczoraj wspólnie z Bilym.

— *Najpierw zabijesz Harrisa. Z kobietą rób, co chcesz, bylebyś i jej poderżnął gardło.*

— *Zawsze to robię. Na taki pomysł wpadłem przy pierwszej z nich.*

— *Harrisa powinieneś zabić w takim miejscu, gdzie spowoduje to jak najmniej bałaganu, żebyś mógł potem posprzątać.*

— *Posprzątać?*

— *Gdy już załatwisz kobietę, musisz wrócić do zabitego Harrisa i zetrzeć każdą plamkę krwi, a jego ciało zapakować do plastikowego worka. Tak więc nie dźgaj go na przykład na dywanie, gdzie plamy nie dadzą się usunąć. Zrób to w pokoju, gdzie jest posadzka z PCW. Albo w łazience.*

— *A po co ten worek?*

— *Będę na ciebie czekał na podwórku Bowertona. Równie o dziesiątej. Zjedziesz do mnie z ciałem. Zapakujemy je do samochodu. Potem będziemy je mogli wywieźć z miasta i zakopać gdzieś na przedmieściach.*

— *Zakopać? Dlaczego?*

— *Będziemy się starali tak wszystko zaaranżować, żeby wyglądało na to, iż to właśnie Harris zabił swoją narzeczoną, i że to on jest Rzeźnikiem. Zmienię głos i zadzwonię na policję. Będę udawał Harrisa. Powiem im że to ja jestem Rzeźnikiem.*

— *Żeby wprowadzić ich na fałszywy trop?*

— *Dokładnie.*

— *Prędzej czy później zorientują się.*

— *Naturalnie. Ale przez kilka tygodni, może nawet kilka miesięcy będą szukać Harrisa. Nie będą mieli żadnego innego tropu, a już na pewno — właściwego tropu.*

— *Jednym słowem — zmyłka.*

— *Tak właśnie.*

— *To da nam dużo czasu.*

— *Tak.*

— *Będziemy mogli zrobić, co tylko będziemy chcieli.*

— *Prawie wszystko.*

Plan został zaprzepaszczony.

Jasnowidz okazał się zbyt twardy, żeby go można było tak łatwo zabić.

Rozsunęły się drzwi windy.

Bollinger potknął się wychodząc na korytarz. Upadł, a pistolet wyleciał mu z ręki łądując na ścianie.

Podniósł się na kolana i wytarł z czoła pot.

— Billy? — powiedział.

Ale nie było nikogo.

Pokaszłując i parszcząc doczołgał się na kolanach do swojego pistoletu i wstał.

Przeszedł przez ciemny korytarz do biura, którego okna musiały wychodzić na Lexington.

Ponieważ bał się, że może mu zabraknąć amunicji, na przestrzelenie zamka użył tylko jednego naboju. Wycelował dokładnie. W korytarzu odbiło się echem głośne *b u u m!* i poszło rykoszetem po ścianie. Zamek został zniszczony, ale nie na tyle, by można już było otworzyć drzwi. Nadal trzymały się mocno we framudze. Nie chciał tracić jeszcze jednej kuli. Postanowił spróbować siły swych barków. Napał na drzwi i ustąpiły.

Akurat wtedy, gdy mocował się z nimi, Harris i jego narzeczona minęli na linach dziesiąte piętro. Gdy Bollinger doszedł do okna wychodzącego na Lexington, byli już dwa piętra niżej.

Bollinger wrócił do windy. Chyba będzie musiał wyjść na zewnątrz i czekać na nich na ulicy. Nacisnął guzik parteru.

## 42

Skuleni na parapecie ósmego piętra Graham i Connie postanowili, że ostatnie czterdzieści metrów, jakie pozostały im do zejścia na ulicę, pokonają w dwóch równej długości odcinkach. Zmiana lin nastąpiłaby na czwartym piętrze.

Graham, gdy już tam dotarł, wybił tradycyjnie szyby w obu dolnych skrzydłach okna, przyczepił doń karabinek, do niego linę asekuracyjną... i wtedy kula trafiła w ścianę metr od jego głowy.

Od razu wiedział, co to oznacza. Odwrócił się powoli i spojrzał w dół.

Nie mylił się.

Dwadzieścia metrów pod nim, na ośnieżonym trotuarze stał Bollinger i patrzył na niego tak, jak pies myśliwski na swoją zwierzynę.

Graham odwrócił się w stronę Connie i krzyknął:

— Wejdz do środka! Przez okno!

Bollinger strzelił jeszcze raz.

*Błysk światła, ból, krew: kula w plecy...*

Czy to się teraz działo?

Desperackim ruchem osłoniętej rękawicą dłoni Graham wybił z framugi resztę odłamków. Drugą ręką złapał za środkowy węgar i chciał podciągnąć się do góry, by następnie wskoczyć do wnętrza pokoju, kiedy z dołu dobiegł go odgłos przejeżdżającego samochodu.

Zza rogu skręcił w Lexington wielki, żółty pojazd do odśnieżania ulic. Swymi grubymi, czarnymi oponami ciął białą pierzynę śniegu, zostawiając za sobą błotniste ślady. Z przodu zawieszony miał pług o wysokości dwóch metrów i co najmniej trzymetrowej szerokości. Na dachu błyskały czerwone koguty ostrzegające o zbliżaniu się tego monstrum, gęstą watę zamieci zaś przeszywały dwa snopy światła płynące z wielkich jak talerze reflektorów.

Oprócz pługa na całej ulicy nie było żadnego innego pojazdu.

Graham spojrzał na Connie. Zdaje się, że miała kłopoty z wyplątaniem się z lin i dostaniem do środka. Ale nie mógł jej teraz pomóc. Odwrócił się i zaczął machać do kierowcy pługa. Ten był ledwo widoczny przez brudne szyby.

— Na pomoc! — krzyczał Graham. Zdawał sobie sprawę, że nie przekrzyczy jazgotu silnika, ale mimo to nie ustawał. — Na pomoc! Jestem tutaj! Pomocy!

Connie przyłączyła się do niego.

O dziwo, Bollinger zrobił w tym momencie coś, czego nie powinien był robić pod żadnym pozorem. Odwrócił się i strzelił w stronę pojazdu.

Kierowca przyhamował, nieomal zatrzymując się zupełnie.

— Na pomoc! — krzyczał Graham.

Bollinger strzelił jeszcze raz i znów w stronę pług. Kula odbiła się rykoszetem od metalowej obudowy kabiny.

Kierowca zmienił biegi i dał całą naprzód.

Bollinger zaczął uciekać.

Kierowca podniósł ramię pług metr nad ziemię i wjechał na chodnik.

Uciekając przed pojazdem Bollinger przebiegł kilkadziesiąt metrów i znalazł się po drugiej stronie ulicy. Spod jego butów unosiły się, jak delikatna mgiełka, kłęby śniegowego puchu.

Connie przypatrywała się temu z największą uwagą.

Bollinger zatrzymał się i zaczekał, aż pojazd będzie już blisko niego. Wtedy zaczął szybko biec w przeciwną stronę, z powrotem w kierunku Bowertona.

Ciężki pług nie mógł zawrócić tak szybko, jak zrobiłby to sportowy samochód. Zanim kierowca wykonał kilka niezbędnych i długotrwałych czynności, Bollinger znów stał pod Grahamem Harrisem.

Podniósł do góry pistolet. Broń błysnęła w promieniu światła pobliskiej lampy.

Strzelił. Głuchy huk był w tym miejscu bardziej słyszalny niż na górze, gdyż wiatr nie wiał tu tak wściekle. Kula trafiła w ścianę kilka centymetrów od prawej nogi Grahama.

Tymczasem pług nabrał prędkości i z włączonym sygnałem dźwiękowym nacierał na Bollingera.

Ten odwrócił się plecami do budynku, twarzą zaś do mechanicznego behemota.

Nie czekając, co wydarzy się dalej, Graham odpiął przytroczoną do uprząży kieszonkową wiertarkę.

Pług był już tylko kilkanaście metrów od Bollingera, który wyciągnął przed siebie rękę uzbrojoną w pistolet i wymierzył dokładnie w kabinę kierowcy.

Ze swego gniazda na czwartym piętrze Graham spuścił wiertarkę. Mierzył w ciemność Bollingera i — choć trafił tylko w kark — swój cel osiągnął. Bollinger przestraszył się, zachwiał, stracił równowagę, zamachał rękami i gruchnął twarzą prosto do przysypanego śniegiem rynsztoka.

Kierowca pojazdu sądził, że mężczyzna podniesie się i zacznie uciekać, ale Bollinger leżał bez ruchu. Nie można już było wyhamować pług, gdyż odległość od leżącego ciała wynosiła tylko pięć lub sześć metrów.

Kierowca podniósł ramię pług, ale nie dało się ono już bardziej wychylić do góry niż na cztery centymetry. Było to o wiele za mało, by uchronić Bollingera od kolizji z metalową szuflą. Dolna jej krawędź uderzyła w pośladki, przeorała plecy, zmiażdżyła czaszkę i przygniotła do krawężnika.

Krew trysnęła na biały dywan śnieżny.

# 43

Ciała MacDonalda, Otta i strażników zapakowano do plastikowych worków z kostnicy miejskiej. Worki spoczywały właśnie na marmurowej posadzce.

Koło nieczynnego kiosku na początku korytarza, na ustawionych w półkole krzesłach siedzieli Graham, Connie, Ira Preduski i trzech innych policjantów.

Preduski jak zwykle wyglądał jak łajza. Brązowy garnitur wisiał na nim niewiele lepiej, niż wisiałoby prześcieradło, a mankiety spodni przemoczył mu topniejący śnieg. Mokre miał również buty i skarpety. Choć w domu miał parę kaloszy i dwie pary gumowców, zawsze zapominał je założyć, gdy było to wskazane.

— Nie chciałbym być namolny — powiedział do Grahama. — Wiem, że już się o to pytałem. I że dostałem odpowiedź. Ale nadal się martwię. Nic na to nie mogę poradzić. Wieloma rzeczami martwię się niepotrzebnie. Taki już jestem. Ale co ci się stało w rękę? Strzelił, tak? Nic ci nie jest?

Graham musnął bandaż pod koszulą. Jakiś pielęgniarz o niezdrowym oddechu, ale pewnych dłoniach, założył mu opatrunek godzinę temu.

— Wszystko w porządku.

— A jak tam noga?

Graham skrzywił się.

— Ani gorzej, ani lepiej. Boli tak jak zawsze.

Preduski odwrócił się do Connie i powiedział:

— A co z panią? Lekarz z karetki powiedział, że nieźle się pani potłukła.

— To tylko potłuczenia — odpowiedziała beztrwosko, trzymając Grahama za rękę.  
— Nic takiego.

— Oboje przeżyliście straszną noc. Piekielną noc. To moja wina. Bo nie złapałem Bollingera wcześniej, tak jak powinienem. Gdybym miał choć trochę rozumu, rozwiązałbym te zagadkę na długo przed tym, jak zostaliście w to wszystko wplątani.

— Spojrzał na zegarek. — Już prawie trzecia. — Wstał. Spróbował wyprostować pogięty kołnierz płaszcza. Bez rezultatu. — Zbyt długo was tu męczył. Zbyt długo. Ale chyba będę musiał was jeszcze przetrzymać z piętnaście lub dwadzieścia minut, żeby moi koledzy mogli zadać kilka pytań. Chyba nie macie nic przeciwko temu? Chyba nie żądam zbyt wiele? Wiem, że nadużywam swej władzy i bardzo was za to przepraszam.

— W porządku — powiedział Graham znużony.

Preduski zwrócił się do siedzącego obok drugiego detektywa w cywilu.

— Jerry, przypilnuj, żeby nie trwało to dłużej niż piętnaście — dwadzieścia minut.

— Rozkaz, Ira — powiedział Jerry, wysoki, klockowaty mężczyzna pod czterdziestkę. Jego cechą charakterystyczną był dołek w brodzie.

— Dopilnuj, żeby odwieziono ich radiowozem do domu.

Jerry kiwnął głową.

— I nie dopuszczać do nich dziennikarzy!

— Dobrze, Ira, choć nie będzie to łatwe.

Preduski powiedział do Grahama i Connie:

— W domu od razu wyłączcie telefon. Jutro znajdziecie dość czasu dla prasy. I jeszcze będziecie ich mieli dosyć. Będą się wam naprzykrzać przez całe tygodnie. Jeszcze jeden powód, żeby wyrazić wam moje ubolewanie. Przepraszam. Naprawdę. Dlatego postaram się chociaż przez tę noc trzymać ich od was z daleka, żeby dać wam trochę spokoju. Jednak będzie to cisza przed burzą.

— Dziękujemy — powiedziała Connie.

— A teraz muszę już iść. Do pracy. Załatwić to, co już dawno powinno być załatwione. Zawsze mam zaległości. Zawsze. Ja chyba naprawdę nie jestem stworzony do tego zawodu.

Uścisnął dłoń Grahamowi i uklonił się w stronę Connie.

Potem odszedł korytarzem, a jego mokre buty skrzypiały na marmurowej posadzce.

Na zewnątrz rzucił dziennikarzom kilka wymijających odpowiedzi na pierwsze pytania, po czym odmówił dalszej współpracy.

Jego samochód stał na końcu podwójnego rzędu wozów policyjnych, karetek i samochodów reporterów. Usiadł za kierownicą, zapiał pas i zapalił silnik.

Jego partner, detektyw Daniel Mulligan, będzie przez najbliższe kilka godzin bardzo zajęty. Samochód nie będzie mu potrzebny.

Nucąc pod nosem jakąś na poczekaniu skomponowaną melodyjkę, Preduski wyjechał na Lexington. Na koła założone miał łańcuchy, które przebijały się przez śnieg i znaczyły ślady w nawierzchni. Na najbliższym skrzyżowaniu skręcił w Piątą Aleję prowadzącą do śródmieścia.

Nie dalej jak po piętnastu minutach parkował już na szerokiej ulicy Greenwich Village.

Wyszedł z samochodu. Przeszedł kilka metrów trzymając się z dala od strug światła rzucanych przez latarnie. Rozejrzał się szybko dokoła, by upewnić się, że nie jest przez nikogo obserwowany, i wszedł w wąski zaułek między dwoma eleganckimi budynkami.

Pasaż zakończony był gołą ścianą, ale tak po prawej, jak i lewej ręce znajdowały się furtki prowadzące do owych eleganckich willi. Preduski wybrał tę po lewej stronie.

W zaułku wiatr nie operował, choć słychać było jego wycie z ulicy. Śnieg opadał tu na ziemię powoli, niemal majestatycznie.



Preduski wyjął z kieszeni pęk wytrychów. Zabrał je kiedyś z mieszkania włamywacza, który popełnił samobójstwo. Przez kilka minionych lat Preduski miał co prawda niewiele okazji, by ich używać, ale za to wszystkie one były niezwykle ważne. Otwarcie taniego i prostego zamka w furtce zajęło detektywowi niespełna dwie minuty.

Willę Grahama Harrisa otaczało małe podwórko. Trawnik. Dwa drzewka. Murowane patio. Kwietniki były o tej porze roku martwe oczywiście, ale pozostawione przy nich na zimę metalowe krzeselka i stół sprawiały wrażenie, jakby jeszcze po południu ktoś używał ich do partyjki brydża.

Preduski przeszedł przez podwórko, wszedł na ganek na tyłach domu i przekręcił gałkę pierwszych, siatkowych drzwi.

Były otwarte. Teraz należało tylko otworzyć wytrychem drzwi właściwe.

Preduskiego rozczarowała łatwość, z jaką przyszło mu wykonać te czynności. Czy ludzie nigdy nie nauczą się kupować porządnych zamków?

Kuchnia Harrisa była ciepła i pogrążona w mroku. Pachniało w niej pieczonym ciastem i bananami, które ktoś zostawił na wierzchu, by szybciej dojrzały, a teraz były już zleżałe.

Preduski bezgłośnie zamknął za sobą drzwi.

Przez chwilę stał w zupełnym bezruchu, wsłuchując się w ciszę panującą w tym domu i czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Wreszcie, gdy widział już dokładnie każdy przedmiot znajdujący się w kuchni, podszedł do stołu, odsunął krzesło i usiadł.

Z wewnętrznego naramiennika wyjął rewolwer.

Ukrył go pod połą płaszczka i czekał.

# 44

Radiowóz stał na ulicy, dopóki Graham nie otworzył głównych drzwi swej wili. Potem odjechał, zostawiając szerokie ślady opon na dziewiczej warstwie śniegu. Tu, w Greenwich Village, ruch był niewielki i pług nie zdążył jeszcze zepchnąć śniegu z ulic na chodniki.

Graham wszedł do domu i zapalił światło w hallu. Connie zamknęła drzwi, a Harris udał się sam do salonu. Światło było tam zgaszone, więc wyciągnął rękę do stojącej na biurku lampy, by ją zapalić i... zamarł w bezruchu. Nie był nawet zdolny zdjąć palców z wyłącznika. W jednym z foteli siedział jakiś mężczyzna. Trzymał rewolwer.

Connie położyła Grahamowi rękę na ramieniu.

— Co pan tu robi? — zwróciła się do mężczyzny.

Anthony Prine, gospodarz programu „Manhattan o północy”, wstał z fotela. Skierował w ich stronę lufę pistoletu i powiedział:

— Czekałem na was.

— Dlaczego tak dziwnie pan mówi?... — spytała Connie.

— Z południowym akcentem? Tak mówiłem od urodzenia. Pozbyłem się akcentu wiele lat temu, ale kiedykolwiek zechcę, potrafię go używać. To właśnie proces pozbywania się akcentu spowodował, że zacząłem interesować się naśladownictwem. Rozpocząłem karierę w show-businesie jako parodysta znanych postaci. Teraz udaję Billy'ego Jamesa Plovera, człowieka, którym kiedyś byłem.

— Jak pan się tu dostał? — nacierał Graham.

— Obszedłem dom od tyłu i wybiłem okno.

— Wynocha! Niech się pan stąd wynosi!

— Zabiłeś Dwighta — powiedział Prine. — Po zakończeniu programu przejeżdżałem koło budynku Bowertona. Widziałem gliniarzy. Wiem, że go zabiłeś. — Z bladej twarzy Prine'a dało się wyczytać olbrzymie napięcie.

— Kogo? — zapytał Graham.

— Dwighta. Franklina Dwighta Bollingera.

Graham zniecierpliwił się.

— Przecież to on chciał zabić nas!

— Był jednym z najwartościowszych ludzi na świecie, najlepszym człowiekiem, którego znałem. Kiedyś robiłem program o policjantach i zaprosiłem go do studia. Już po kilku minutach wiedzieliśmy, że należymy do jednego gatunku ludzi.

— To Rzeźnik, morderca... — zaczęła Connie.

Prine był silnie podniecony. Ręce trzęsły mu się, a lewy policzek pulsował w nerwowym tiku. Przerwał jej:

— To tylko połowa Rzeźnika.

— Jak to?

Graham opuścił powoli rękę i chwycił stojak ciężkiej, mosiężnej lampy stołowej.

— Ja byłem drugą połową Rzeźnika — wyjaśnił Prine. — Mieliśmy identyczne osobowości, Dwight i ja. — Zrobił krok w ich stronę. — A nawet więcej. Jeden bez drugiego czuliśmy się jak ryba bez wody. Stanowiliśmy dwie części tego samego organizmu. — Wymierzył z pistoletu w głowę Grahama.

— Wynos się stąd! — krzyknął Graham. — Connie, uciekaj! — I w tym samym momencie rzucił lampą w Prine'a.

Cios był silny, bo posadził go z powrotem na krześle.

Graham zaczął uciekać na korytarz.

Connie otwierała już drzwi na ulicę.

Wtedy Prine strzelił mu prosto w plecy.

*Silne szarpnięcie i straszny ból w prawym ramieniu, błysk światła i krew tryskająca na wykładzinę...*

Graham upadł na podłogę. Kątem oka dostrzegł postać detektywa Preduskiego, wyłaniającą się z krótkiego korytarzyka prowadzącego do kuchni.

Co się tu działo? Niespokojne myśli przytłumiły na chwilę tępy ból rozlewający się po całym ciele.

Detektyw krzyknął coś i strzelił do Prine'a. W samoobronie. Raz. Prosto w piersi.

Gwiazdor nowojorskiej telewizji zachwiał się i upadł na stół z kolorowymi magazynami.

I znów ból. Kolejne fale cierpienia.

Graham zamknął oczy. Czy to nie był przypadkiem błąd? Jeśli zaśniesz, to umrzesz. Czy też dotyczyła ta rada tylko obrażeń głowy? Na wszelki wypadek otworzył oczy.

Connie wycierała mu pot z twarzy.

Preduski przyklęknął koło Grahama i powiedział:

— Karetka już w drodze.

Mijał czas. Graham miał świadomość utraty przytomności w trakcie jednej konwersacji i odzyskiwania jej przy następnej.

Zamknął oczy.

I otworzył je.

— A więc teoria selekcjonerów życia na ziemi — mówił Preduski. — Z początku wydawała mi się dziwaczna, ale im dłużej o niej myślałem...

— Pić mi się chce — poskarżył się Graham. Miał ochryply głos.

— Pić? Noo... nie wątpię — powiedział Preduski.

— Przynieś... mi coś... do picia.

— Nie wiem, czy ci wolno pić. Lepiej poczekajmy na karetkę — powiedziała Connie.

Pokój zawirował wokół niego. Uśmiechnął się. Czuł się jak na karuzeli.

— Nie powinienem był przyjeżdżać tu sam — odezwał się Preduski. — A wiesz, dlaczego to zrobiłem? Bollinger był gliną. Jego kumpel mógł więc również być gliną. Komu mogłem w takiej sprawie zaufać? No, powiedz. Komu?

Graham obliznął wargi i spytał:

— Czy Prine... nie żyje?

— Obawiam się, że nie trafiłem go śmiertelnie.

— A ja?

— Co ty?

— Czy ja żyję?

— Żyjesz.

— Na pewno?

— Kula nie uszkodziła kręgosłupa ani żadnego innego ważnego narządu.

— Jesteś pewien?

— Bądź spokojny — odpowiedziała Connie.

Graham zamknął oczy.

---

# EPILOG

---

## Niedziela

Ira Preduski stał w szpitalnym oknie, a promienie popołudniowego słońca tworzyły wokół niego bursztynową aureolę.

— Prine zeznał, że chcieli rozpętać wojny rasowe, religijne, gospodarcze...

Graham leżał na boku podparty poduszkami.

— Żeby potem przejąć władze na ziemi? — kontynuował myśl Preduskiego. Mówił powoli, osłabiony środkami uśmierzającymi ból, które przyjmował.

— Dokładnie tak.

Na krześle koło łóżka Grahama siedziała Connie.

— To teoria szaleńców. Czyż banda Charlesa Mansona, ci psychicznie chorzy mordery nie mieli podobnych idei?

— Wspomniałem Prine'owi o Mansonie — powiedział Preduski. — Ale odpowiedział mi, że Manson to przy nich mięczak i półgłówek.

— Podczas gdy Prine jest Nadczłowiekiem...

Preduski pokiwał smętnie głową.

— Biedny Nietzsche. Był jednym z najbardziej błyskotliwych filozofów w historii. A przy tym jednym z najmniej rozumianych. — Pochylił się i zaczął wachać kompozycję z kwiatów stojącą na stoliku przy oknie. Po chwili zwrócił się znów do Harrisa: — Przepraszam, że pytam. Ale jestem bardzo ciekawski. To jedna z moich wad. Ciekawość. Ale... kiedy wesele?

— Wesele? — spytała Connie.

— Tylko bez bajerów. Przecież wy zamierzacie się pobrać.

Graham odparł zmieszany:

— Skąd ty to możesz wiedzieć? Rozmawialiśmy o tym dziś rano, ale tylko we dwoje.

— Jestem w końcu detektywem — powiedział Preduski. — Wnioskuje tak z zebranego materiału.

— Jakiego materiału? — spytała Connie.

— Na przykład ze sposobu, w jaki na siebie dziś patrzycie.

— No cóż, zamierzamy się pobrać w kilka tygodni po tym, jak wyjdę ze szpitala — powiedział Graham nie bez zadowolenia, że może przytaknąć — jak tylko odzyskam siły.

— Których będzie potrzebował — dodała Connie.

Preduski obszedł łóżko spoglądając na bandaż okrywający lewe ramię Grahama i górną część pleców.

— Kiedykolwiek myślę o tym, co się wydarzyło w nocy z piątku na sobotę, dziwię się, jaki cud sprawił, że wyszliście z tego cało.

— Nie było to trudne — powiedziała Connie.

— Nietrudne? — spytał Preduski nie dowierzając własnym uszom.

— Wcale nie takie trudne, prawda, Nick?

Graham uśmiechnął się i poczuł wewnątrz błogie ciepło.

— Prawda, Nora.

# SPIS TREŚCI

## **Część pierwsza**

Piątek od 12:01 do 20:00 3

## **Część druga**

Piątek od 20:00 do 20:30 69

## **Część trzecia**

Piątek od 20:30 do 22:30 84

## **Część czwarta**

Od godz. 22:30 w piątek do godz. 4:00 w sobotę 119

## **EPILOG**

Niedziela 181